

Pamela Norton

Jutro mnie pokochasz

Wydawnictwo PRIMA, Poznań 1991

Dziewczyna, która stała przed Maxem Bradbury, dyrektorem domu towarowego „U nas”, była wysoka, szczupła i niewątpliwie bardzo ładna. Na jej twarzy malowało się zadowolenie.

Liz Hartley obrzuciła dziewczynę niechętnym spojrzeniem, a potem spod oka zerknęła na dyrektora. Bradbury nie zauważył tego jednak. Spoglądał na stojącą przed nim szczupłą piękność. Na jego twarzy Liz dostrzegła ową mieszaninę życzliwości i zachwyty, którą zwykle prezentował swym najlepszym klientom. Tym razem wydawało się jednak, że nie udaje. Stary zboreźnik, pomyślała ze złością Liz. Ale też ta spryciara robi do niego słodkie oczy. Czy on naprawdę nie widzi, jaki sztuczny jest jej uśmiech? Ale w końcu nie była to jej sprawa.

- Pan dyrektor mnie wzywał? - zapytała grzecznie.

- Hm... Tak, moja droga - Bradbury przybrał swój zwykły, znany jednak tylko pracownikom, odpychający wyraz twarzy.

Liz poczuła napięcie. Kiedy Bradbury zwracał się do sprzedawczyń „moja droga”, nie wróżyło to nic dobrego.

- Panna... hm... panna James została dziś przyjęta do pracy - ciągnął dyrektor. - Zacznie w dziale bielizny dziecięcej. Proszę wprowadzić ją w swoje obowiązki. Niestety, moja droga - spojrzał na Liz chłodno - od poniedziałku... hm... będziesz wolna. Nie znaczy to, że jesteśmy z ciebie niezadowoleni - dodał szybko, jakby uprzedzając słowa Liz. - Niemniej jednak... hm... Przyjęliśmy cię na okres próbny i wydaje się nam, że... Owszem, doceniamy twoje starania i dostaniesz dobre referencje. Niemniej... To jest duży dom towarowy, ale specyficzny... hm... Trudno się dziwić, że miałaś trudności z włączeniem się w naszą wielką rodzinę...

- Rozumiem, panie dyrektorze - przerwała mu Liz. Oświadczenie Bradburego spadło na nią jak grom z jasnego nieba. Po prostu czuła, jak ugięły się pod nią nogi. Nie mogła jednak dłużej słuchać obłudnych słów dyrektora. Niby grzecznych, niby współczujących, ale w gruncie rzeczy zimnych i obraźliwych. I patrzył przy tym na nią, jakby... Jakby była śmieciem!

- No cóż... To tyle, panno Hartley - zakończył oficjalnie Bradbury. - Proszę teraz zaprowadzić pannę James do swego działu i zająć się nią. Pani Wilcox jest już powiadomiona.

Pani Wilcox była kierowniczką działu dziecięcego, dość miłą, ale bardzo wymagającą osobą. Liz wydawało się, że pani Wilcox ją lubi, ale okazuje się, że w niczym jej nie pomogła. Pozwoliła, by Liz wyrzucono z pracy.

- Tak jest, panie dyrektorze - powtórzyła Liz, choć słowa z trudnością wydobywały się z jej ściśniętego gardła.

Kiedy wyszła z nowo zatrudnioną sprzedawczynią z biura dyrektora, poczuła, że za chwilę się rozplacze. W windzie, przez napływające do oczu łzy ledwie mogła odczytać numery pięter.

- Myślisz pewnie, że to z mojego powodu - odezwała się cicho towarzysząca jej dziewczyna. - Bardzo mi przykro...

Winda stanęła na trzecim piętrze, gdzie znajdował się dział dziecięcy.

- Bielizna jest w rogu, tam gdzie siedzi niebieski miś - wyjaśniła Liz. - Pani Wilcox stoi przy kasie. To ta w okularach. Ja zaraz przyjdę. Muszę iść do toalety.

Zostawiła zdumioną pannę James przed windą i biegiem, potracając zagapione na towary klientki, ruszyła do toalety. Nie zadała sobie nawet trudu, by pofatygować się do toalety dla personelu, znajdującej się za stoiskiem z zabawkami, w wąskim, ciemnym korytarzyku, tylko wpadła do tak zwanej „odświeżalni”, przeznaczonej dla klientów. W bocznym pomieszczeniu królowała tam starsza, siwowłosa kobieta, nazywana przez sprzedawczynię miss Daisy, powiernica dziewcząt z całego piętra.

Liz usiadła na krześle miss Daisy, która rozmawiała akurat z jakąś klientką myjącą ręce nad błękitną, lśniącą umywalką i dała wreszcie upust łzom.

Wyrzucili ją! Znowu była bez pracy! Znow trzeba będzie całymi dniami studiować ogłoszenia, telefonować, by usłyszeć najczęściej krótkie i nieuprzejme: zajęte. I trzask odkładanej słuchawki. Znow trzeba będzie przemierzać ulice, wchodzić do sklepów, tłumić strach i treść, z wysiłkiem przywoływać uśmiech na twarz, pytać, prosić... I znosić niegrzeczną odprawę. A pieniądze pozostałe z ostatniej wypłaty będą się kurczyć. Wreszcie przyjdzie do spotkania ze starą znajomą, panią Fox, która zajmowała się zasiłkami dla bezrobotnych... Ta zacznie jej proponować prace sprzątaczek, pomywaczek naczyń w dużych restauracjach albo czyścicielok okien w zajezdniach autobusowych... A ciotka Fanny będzie dwa razy oglądać każdego pensa, nim go wyda. Ciotka Fanny choruje od prawie pół roku, a leki tyle kosztują...

Łzy, spływające po policzkach Liz, zaczęły kapać na ciemnoniebieską kurteczkę ze złotymi guzikami - służbowy strój sprzedawczyń działu dziecięcego. Liz chwyciła leżący na stoliku papierowy ręcznik i zaczęła pospiesznie wycierać twarz. Gdyby poplamiała ubranie, potracono by jej za jego czyszczenie.

Otarłszy twarz spojrziała w lustro. I poczuła nową falę łez zalewającą jej oczy. Zwolnili ją, oczywiście, że ją zwolnili. Z takim wyglądem! Miała okrągłą, pucułowatą twarz, nieładną, skłoną do przetłuszczeń cerę i matowe, nieokreślonej barwy włosy. Ciotka Fanny dobrotliwie nazywała je ciemnoblond, ale one miały po prostu szary, mysi kolor. I do tego ta figura. Liz nie była zbyt wysoka, a że od dziecka miała skłonność do otyłości, nie prezentowała się najlepiej. Służbowy strój - kloszowa błękitna spódnica i luźna, krótka, ciemnoniebieska kurteczka - nie dodawały jej wdzięku, pogrubiały ją jedynie.

Wyglądam jak klocek, pomyślała i rozplakała się znowu. Panna James, którą dyrektor przyjął dziś do pracy, była taka właśnie jak trzeba: zgrabna, urodziwa, czarująca. Wszystkie sprzedawczynie w domu towarowym „U nas” były takie. Kiedy Liz zobaczyła je po raz pierwszy, zdawało się jej, że startują do konkursu miss piękności, a nie sprzedają w sklepie. I nawet zdziwiła się, że przyjęto ją tu do pracy. No, ale referencje ze sklepu z wózkami dziecięcymi, gdzie poprzednio pracowała, miała znakomite. Był to niewielki sklep, położony dość daleko od centrum, ale stosunkowo dobrze prosperujący. Liz pracowała tam ponad rok. Sklep zlikwidowano jednak, jako że dom, w którym się znajdował, postanowiono wyburzyć. Obok znajdowały się duże tereny zielone i miał być tam zbudowany szpital.

Miss Daisy, uporawszy się z marudną klientką, która narzekała, że mydełko nie jest dość pachnące, przysiadła na chwilę obok Liz.

- Co się stało? - zapytała.

- Bradbury mnie zwolnił - wyjąkała Liz przez łzy.

Miss Daisy spojrziała na nią współczująco.

- O, jak mi przykro. Ale nie martw się, dziecko. Świat nie kończy się tutaj. Może znajdziesz łżejszą pracę i będziesz zadowolona, że stąd odeszłaś.

Do pewnego stopnia miss Daisy miała rację: praca w „U nas” nie była lekka. „U nas” należał do najbardziej renomowanych domów towarowych w mieście i ruch panował tu od rana ogromny. Klientki nie zawsze jednak przychodziły, by coś kupić, Oglądały, przebierały, rozrzucały towar. Cały dzień trzeba było odpowiadać na ich pytania, zachwalać rozmaite

wyroby, porządkować, uśmiechać się, uśmiechać, uśmiechać. Pod wieczór bolał krzyż, czasem puchły nogi, ciało pocilo się pod elegancką kurteczką.

Jednak praca w „U nas” miała też swoje zalety, które dla Liz były bardzo istotne. Główną z nich była wysoka pensja.

Ale nie chodziło tylko o to. W domu towarowym „U nas” było po prostu pięknie. Miękkie wykładziny na podłodze, błękitno-różowy wystrój wnętrza, dyskretna muzyka płynąca z ukrytych głośników i towary tylko w najlepszym gatunku. Klientki w większości dość dobrze ubrane, pachnące drogimi perfumami. Żadnego hałasu, jedynie stonowany gwar. Dla dziewczyny takiej jak Liz, pochodzącej z robotniczej dzielnicy, był to nieznany dotąd świat. Piękny świat. Dlatego tak bardzo zależała jej na tej pracy.

- Od początku bałam się, że mnie zwolnią - wyznała starej, poczciwej Daisy. Łzy spływały po jej twarzy. - Ja... Ja tu nie pasuję.
- Nie pasuję - poprawiła ją machinalnie miss Daisy.
- No, sama pani widzi - chlipnęła Liz - nawet mówić dobrze nie umiem.
- Musisz się starać - rzekła miss Daisy.
- Staram się, ale u nas wszyscy mówią właśnie tak. Nauczyłam się tego i teraz trudno mi mówić inaczej.
- Rozumiem, to typowa gwara... - tu miss Daisy przerwała zakłopotana.
- Ludzi niewykształconych - dokończyła za nią Liz.
- W szkole powinni byli zwracać na to większą uwagę. Przecież chodziłaś do szkoły - powiedziała prędko miss Daisy.
- Chodziłam, ale za krótko - wyjąkała niewyraźnie Liz, wycierając nos.
- To zawsze można naprawić - uśmiechnęła się rozmówczyni. - No, nie płacz tak, dziecko. Jesteś jeszcze bardzo młoda. W twoim wieku cały świat stoi jeszcze przed tobą otworem. Głowa do góry! Nie można się poddawać. Pomyśl, co stałoby się ze mną i z moimi dziećmi, gdybym usiadła i zaczęła płakać, kiedy umarł mi mąż. Musiałam sobie poradzić i poradziłam sobie - miss Daisy z dumą uniosła głowę. - Trzeba tylko chcieć.
- Tak - chlipnęła Liz.
- No, otrzyj teraz twarz i wracaj na swoje stanowisko, bo pani Wilcox będzie zła. Zobaczysz, że znajdziesz niedługo lepszą pracę. A jak przyjdzie wiosna, zakochasz się i sama się zdziwisz, jakie życie jest piękne - uśmiechnęła się miss Daisy.

Styczniowy wieczór był zimny i ponury. Kiedy Liz wyszła ze stacji metra, deszcz zaczął ostro w twarz i dziewczyna skuliła się od przejmującego chłodu. Najchętniej opóźniłaby swój powrót do domu, wyobrażała sobie bowiem, jak zmartwi się ciotka Fanny na wiadomość, że Liz straciła pracę. Gdzież mogła jednak iść w taką pogodę? Mary, jej przyjaciółka ze szkolnej ławy, wieczorami pracowała pilnując dzieci, których rodzice pragnęli wyrwać się z domu. A lokale w tej dzielnicy nigdy nie podobały się Liz. Były stare, brzydkie i cuchnące piwem. Poza tym dziewczyna, która przychodziła do nich sama, narażona była na niewybredne zaczepki. Mary śmiała się z tego, Liz uważała to za obrzydliwe.

W pobliżu stacji metra ulice oświetlone były dość dobrze, wystawy sklepów duże i ładnie udekorowane. Dalej wysokie domy ustępowały niższej zabudowie, sklepów było coraz mniej i ulice stawały się coraz ciemniejsze. Liz zawsze odczuwała niepokój chodząc tędy wieczorem. Gdy było ciepło, gromady wyrostków stały pod domami i zdarzało się, że byli natarczywi. Dziś na szczęście chłód wygnał ich z ulicy.

Liz szła szybko. Nie spieszyło się jej do domu, ale było zimno i odczuwała strach przed ciemnymi zaułkami. Skręciła za róg i weszła na swoją ulicę. Była to właściwie uliczka, wąska i krótka, zabudowana po obu stronach przylegającymi do siebie, piętrowymi domkami z czerwonej cegły, absolutnie identycznymi, starymi i przygnębiająco brzydkimi. Każdy z nich miał po lewej stronie nieduże, odrapane drzwi, obok okienko i dwa małe okienka na górze.

Dachy były płaskie. Przed domami nie zachowało się żadne, bodaj najmarniejsze drzewko, chociaż ciotka Fanny mówiła, że gdy wprowadzała się tu z mężem przed kilkudziesięciami laty, na ulicach rosły lipy. Teraz były tu tylko wąskie chodniki i jezdnia między nimi. Latem kamienie rozgrzewały się i na ulicy robiło się duszno. Zawsze też cuchnęło. Zimą było pusto i ciemno.

Liz nienawidziła tego miejsca. Nieraz przychodziło jej do głowy, by się stąd wyprowadzić, ale jak to zrobić? Ciotka Fanny była chora i potrzebowała opieki. Och, zawsze znalazłby się ktoś, kto by się nią zajął, ale Liz nie miała sumienia skazywać ciotki na zależność od obcej i obojętnej na jej cierpienia osoby. Liz była przywiązana do ciotki i zawsze pamiętała, ile jej zawdzięcza.

Ciotka Fanny nie była nawet krewną Liz, a tylko żoną jej rodzzonego wuja, młodszego brata matki Liz. Rodzice Liz posiadali niegdyś niewielką farmę na południu kraju i wiodło się im dość dobrze. Jednak ojciec pewnego dnia przy okazji kupna nowego konia poznał właścicielkę dużej stadniny, wiekową już, ale bardzo zamożną wdowę i w niedługim czasie rozwiódł się dla niej z żoną. Liz miała wtedy cztery lata. Ojciec zostawił żonie i córce farmę, bo cóż znaczył dla niego ów kawałek ziemi wobec posiadłości, którą wносиła mu w posagu leciwa wdówka. Matka Liz nie bardzo jednak radziła sobie sama. Sprowadziła do pomocy młodszego brata z żoną, którą Liz nazywała ciotką Fanny, ale niewiele to pomogło. Brat nie miał ani zamiłowania, ani koniecznej zręczności do pracy na roli. Farmę trzeba było sprzedać. Po przeniesieniu do miasta matka Liz pracowała w fabryce. Kiedy Liz miała 10 lat, wuj porzucił ciotkę Fanny i wyjechał do Ameryki. Matka Liz i ciotka Fanny zamieszkały razem. A potem umarła na zapalenie płuc matka Liz. Ciotka Fanny nie pozwoliła jednak oddać dziecka do zakładu dla sierot, ale postanowiła wychować je sama. Była dobrą, choć prostą kobietą i Liz traktowała ją jak matkę. Nie wyobrażała sobie, by mogła zostawić ją teraz w potrzebie. A ciotka od paru lat chorowała na serce. Miewała bóle i duszności, nie wolno jej było się męczyć ani denerwować.

Otwierając drzwi Liz zastanawiała się, jak powiedzieć ciotce, że straciła pracę. Ciotka była bardzo dumna, że Liz pracuje w tak eleganckim i modnym domu towarowym! Sama nigdy tam nie chodziła, bo nie stać jej było na zakup drogich towarów.

Tego dnia ciotka Fanny leżała w łóżku.

- Bardzo mi przykro, kochanie, że nie przygotowałam ci nic ciepłego na kolację - usprawiedliwiała się, gdy Liz pocałowała ją na powitanie. - Źle się jakoś czuję...

- Wezwać doktora Crosby? - przestraszyła się Liz.

- Nie, nie trzeba. Nic mnie nie boli, tylko mam taki kamień na piersi.

- Wzięłaś tabletkę?

- Tak. I zdrzemnęłam się trochę. Może teraz wstanę...

- Lepiej nie. Ja zaraz przygotuję coś do jedzenia. Brr, czemu tak zimno? Wyłączyłaś ogrzewanie?

- Kiedy się leży w łóżku, szkoda ogrzewać cały pokój. Zawsze lepiej oszczędzić. -

Ciotka westchnęła. - Kiedy dostaniesz wypłatę, kupimy nowy grzejnik. Wiesz, taki oszczędniejszy, jak ma pani Dick.

- Niedługo wiosna. Szkoda pieniędzy na nowy grzejnik - powiedziała Liz, starając się, żeby wypadło to przekonywująco. Głos ją jednak zawiódł.

- Betty, co się stało? - zapytała cicho ciotka.

Liz nie znosiła, by mówiono do niej Betty. Poczula, jak łzy znowu napływają jej do oczu.

- W piątek kończy mi się okres próbny. Niestety, Bradbury powiedział, że nie mogą mnie zatrzymać, bo redukują personel - skłamała. Nie lubiła kłamać i czyniła to bardzo rzadko, ale musiała przecież jakoś osłodzić ciotce Fanny tę gorzką pigułkę. - Wiesz, ciociu, że

są jakieś przejściowe kłopoty gospodarcze. Mówili w telewizji. Wszędzie teraz redukują personel. Ale nie martw się, już mam coś na widoku.

- Dzięki Bogu - westchnęła ciotka. - Czy to coś pewnego?

- Na dziewięćdziesiąt procent.

- Dzięki Bogu - powtórzyła ciotka. - Bo co byśmy zrobiły, gdybyś została bez pracy?

Musimy zapłacić za reperację pralki...

- Nie ma o czym mówić, ciociu - Liz uśmiechała się do ciotki, chociaż przychodziło jej to z trudnością. - Nic się nie stało.

- Ale pewnie zarobisz mniej? Co to w ogóle za praca?

- Odrobinę mniej, nie ma znaczenia. Zrobić ci świeżej herbaty? - Liz rozpaczliwie starała się odwrócić uwagę ciotki od tematu pracy. - Poza tym będę miała bliżej i zaoszczędzę na metrze. No i rano nie będę musiała tak wcześnie wstawać.

- Ach, powinnaś wyjść za Toma Dicka, Betty. W ogóle nie musiałybyś chodzić do pracy. Tom zarabia tyle, że na was dwoje by wystarczyło. Zresztą... Czas leci, Betty. A kiedy miną twoje najlepsze lata, nikt ci nie zaproponuje, abyś za niego wyszła.

- Ciociu! Ja mam dopiero dziewiętnaście lat!

- Akurat tyle, ile trzeba, by rozejrzeć się za mężem. Dziewczyna nigdy nie powinna myśleć, że ma na to dość czasu. Powinnaś się cieszyć, że Tom ci się trafił. To porządny chłopak. Nie pije. I tyle lat się koło ciebie kręci. Będzie dobrym mężem.

- Jak jego ojciec - mruknęła Liz.

- Ojciec jego nie winien, ale matka. Nie umiała chłopca w domu utrzymać i tyle - ucięła ciotka.

Liz zaparzyła herbatę, postawiła na tacy dzbanuszek z mlekiem i cukier. Była zmęczona, rozzalona i czuła się okropnie. Chciała pójść do swego pokoju, wypłakać się jeszcze trochę. I nie słuchać mądrości życiowych ciotki.

Ciotka była kochana, ale...

Liz wzdrygnęła się na myśl, że miałyby wyjść za Toma Dicka i zamieszkać z nim i jego matką w domu obok. Toma znała od dziecka i chodziła z nim nawet do tej samej szkoły, choć nie do tej samej klasy, bo Tom był parę lat starszy. Edukacja jego trwała zresztą jeszcze krócej niż jej. Przez jakiś czas wałęsał się po ulicy i chwycił się dorywczych zajęć, wreszcie znalazł stałą pracę w położonej dwie ulice dalej fabryce konserw. Pracował tam już kilka lat i nawet otrzymał podwyżkę. Po pracy rzadko wychodził - tyle, co z kolegami na piwo do pobliskiego pubu. Przeważnie siedział z matką na szerokiej kanapie i oglądał telewizję. Ciotka Fanny i matka Toma znały się od wielu lat i jako sąsiadki często się odwiedzały. Czasem i Liz bywała zapraszana. Siedziała wtedy koło Toma i gryząc słone paluszki także oglądała telewizję. Tom i jego matka prawie się nie odzywali, chyba że się ich o coś zapytało. Jednak i odpowiedzi udzielali krótkich. Tom nie był całkiem głupi, ale nawet Liz zdawała sobie sprawę, że był mocno ograniczony. A jego gruba, ponura matka była doprawdy koszmarna!

- Nie miałybyś źle, gdybyś wyszła za Toma - ciotka Fanny z przyjemnością kontynuowała swój ulubiony temat. - Pani Dick jest bardzo pracowita i nie musiałybyś wiele robić w domu.

- No, mogłabym już od rana oglądać telewizję - mruknęła Liz. - Zanudziłabym się na śmierć siedząc cały dzień z założonymi rękoma.

- Miałybyś zajęcie, gdyby przyszły dzieci.

Dzieci! Dzieci były prawdziwym postrachem tej ulicy. Rodziny tu zamieszkałe posiadały wiele dzieci. Latem i zimą wrzeszczały one bez opamiętania pod oknami, brudne, zasmarkane i niegrzeczne. Matki zajęte zwykle najmłodszym niemowlęciem i prowadzeniem domu, wiecznym praniem, sprzątaniem i gotowaniem, w ogóle nie zwracały na nie uwagi. Dzieci! W dodatku dzieci Toma Dicka! Liz bez trudności mogła je sobie wyobrazić - krepę

jak ojciec, milczące, ponure jak babka wyrostki. Nie, Liz nie często myślała o swojej przyszłości, ale jednego była całkowicie pewna: nie będzie żyć tak jak jej sąsiadki, nie spędzi całego życia na tej okropnej ulicy! Zbyt dobrze wiedziała, czym tu życie kobiet. Ciężką pracą, wiecznym kieratem, rodzeniem dzieci i kłótniami z mężem pijakiem. Nie, Liz tak na pewno żyć nie będzie!

- Kiedy przychodził tu John, myślałam, że wyjdiesz za niego - powiedziała ciotka.

- Nie chcę jeszcze wychodzić za męża, ciociu. Poza tym John nie oświadczył mi się.

- Och, gdybyś go trochę zachęciła... Każda kobita to potrafi.

- Kobieta. Mówi się kobieta - Liz nie potrafiła opanować rozdrażnienia. - Czy potrzebujesz coś jeszcze, ciociu? Chciałabym się położyć. Zrobię jeszcze małą przepierkę i położę się.

Tak. położyć się. Tego tylko pragnęła. Wyciągnąć się na łóżku, przykryć po czubek głowy i odprężyć w ciemności. Nie myśleć o panu Bradbury, o Tomie, o Johnie. Johna lubiła bardzo. No, prawdę mówiąc była w nim zakochana. Poznała go przed ponad rokiem w dyskotecce Joego, brata Mary. Czasem chodziły tam z Mary, ponieważ nie musiały płacić za wstęp. John pracował jako kierowca w dużej mnie transportowej. Był pierwszym chłopakiem Liz. Czasem przyjeżdżał po nią którąś z tych wielkich ciężarówek i zabierał ją gdzieś poza miasto. Kochali się wtedy w samochodzie. Miłość ta zresztą bardzo Liz rozczerowała. Sadząc z tego, co oglądała w telewizji... No, wyobrażała sobie to jako coś szczególnego, naprawdę wspaniałego, tymczasem jedynym uczuciem, jakiego doznała, było rozczarowanie. A potem zmęczenie i znudzenie. W ciężarówce było ciemno i duszno, John pocił się i śmiesznie posapywał. A ona usiłowała sobie panicznie przypomnieć, czy na pewno połknęła poprzedniego wieczoru pigułkę. Zgadzała się na to tylko dlatego, że... No właśnie, dlaczego, pytała dziś samą siebie. Byłam głupia, ot co! Mary powiedziała, że skoro mam chłopca, tak musi być. Podobnie jak ciotka mówi, że skoro mam swoje lata, muszę wyjść za męża. Muszę? To nieprawda, niczego nie muszę!

John o małżeństwie nie mówił, chociaż nie był już taki młody - miał dwadzieścia pięć lat. Na początku to właśnie głównie imponowało Liz. Był taki pewny siebie, dużo widział - woził rozmaite ładunki nawet za granicę - i potrafił dość barwnie opowiadać. Dopiero po jakimś czasie zauważyła, że jego historyjki powtarzają się, a jego dowcipy bywają bardzo niewybredne. Raz czy dwa razy odmówiła mu, gdy zaprosił ją na eskapadę za miasto i wtedy zaczął pojawiać się coraz rzadziej, a potem zniknął jej z oczu. Z niejakim zdziwieniem stwierdziła, że wcale jej go nie brakuje.

Zastanawiała się przez chwilę, co by zrobiła, gdyby oświadczył się jej na początku znajomości. Była taka młoda i taka głupia! Po namyśle stwierdziła jednak, że chyba jednak odmówiłaby. Już wtedy czuła, że pragnie w życiu czegoś innego. Już wtedy zazdrościła dziewczętom, które były bohaterkami filmów i pięknych zdjęć w ilustrowanych magazynach. Nosiły piękne ubrania, miały ciekawą pracę - przeważnie w dużych firmach, gdzie kręciło się mnóstwo przystojnych, eleganckich mężczyzn. Dziewczęta śmiało nawiązywały rozmowy z tymi mężczyznami i potrafiły rozmawiać na każdy temat. Nie peszyły się w żadnej sytuacji i zawsze zdobywały to, czego chciały. No i żadna z nich nie powiedziałaby nigdy: ja tu nie pasuję!

- Popraw mi poduszkę, Betty i idź się połóż. Wyglądasz dziś kiepsko - westchnęła ciotka.

- Zgasić ci światło, czy przyjść później, kiedy będę się kładła?

- Przyjdź za kwadrans - powiedziała ciotka, a Liz powstrzymała się tym razem i nie poprawiła jej. - Zapomniałam ci powiedzieć, że był u mnie rano Ben. Pogadaliśmy troszkę. Przyniósł mi kilka gazet, które dała mu córka.

- Dobrze.

Innym razem Liz może by się ucieszyła, bo Ben przynosił zwykle stopy kolorowych czasopism dla pań. Ani Liz, ani ciotki Fanny nie było stać na to, by wyrzucać pieniądze na taką ilość papieru! Ale córka Bena, starego przyjaciela rodziny, właściciela małego sklepu z artykułami żelaznymi - jak szumnie głosił napis nad drzwiami - a w rzeczywistości z gwoździami, śrubami, nakrętkami i rozmaitymi dziwnymi drobiazgami o przeznaczeniu całkowicie Liz nie znanym - bardzo dobrze wyszła za mąż, prawdę mówiąc była przedmiotem zazdrości wszystkich kobiet w tej dzielnicy, poślubiła mianowicie maklera giełdowego, posiadała własny, duży dom i dwa samochody! A także psa - białego pudelka, dochodzącą Murzynkę do sprzątania i dochodzącego ogrodnika. I doprawdy mogła sobie pozwolić na kupowanie takiej ilości gazet, jakiej tylko zapragnęła.

- Ach, Betty - zaczęła jękliwie ciotka.

- Dobranoc - rzekła szybko Liz. Doskonale wiedziała, że teraz przez dłuższy czas ciotka zacznie rozwodzić się nad szczęściem córki Bena i rozważać, czy Liz także dostąpi takiego szczęścia.

- Poczekaj chwilkę, Betty - zatrzymała ją ciotka. - Ben pytał, czy nie mogłabyś wpaść do niego jutro albo pojutrze wieczorem i pomóc mu w liczeniu.

- A ten chłopak, który u niego pracuje? W końcu Ben za coś mu płaci! Nie jest chyba taki głupi, żeby nie umiał liczyć. Ben był bardzo z niego zadowolony.

- On się już zwolnił. Wiesz, że Ben dużo nie może zapłacić, a i robota dla młodego chłopaka nieciekawa. Ben oczywiście wywiesił ogłoszenie, że potrzebuje sprzedawcy, ale nikt się nie zgłosił. To co, pomożesz mu?

- Pomogę, ciociu. Dobranoc.

- Zawsze byłaś mocna w rachunkach - dogonił ją głos ciotki na schodach, ale Liz już się nie odezwała. Rachunki była to jedyna rzecz, w której Liz przodowała w klasie.

Nauczycielka, panna Robson, ogromnie ją chwaliła i czasami wydawała się być zaskoczona postępami Liz. Podobnie był potem zaskoczony właściciel sklepu z wózkami dziecięcymi, kiedy Liz zaczęła w głowie sumować ceny sprzedawanych artykułów w czasie, gdy sam reperował zepsutą kasę! No tak, ale to nie miało żadnego znaczenia. W domu towarowym „U nas” niczego nie trzeba było liczyć. Należało ładnie wyglądać, umieć pięknie się wystawiać i gawędzić miło z klientkami nakłaniać je do kupna tego, co w ogóle nie było im potrzebne! Tego zaś Liz nie potrafiła. Była otyła i nieładna, miała złą, rażącą w tak eleganckim miejscu wymowę ludzi z gorszych dzielnic, a zamożne, patrzące na nią z góry klientki peszyły ją. Świat miękkich, puszystych dywanów, błękitno-różowych zasłon i kojących dźwięków fortepianu pośród pachnących, dziecięcych fatałaszków w „U nas” nie był dla niej!

Kiedy się położyła, długo nie mogła zasnąć. Postanowiła, że nie będzie płakała, ale przychodziło jej to z trudnością. Nie jest łatwo mieć dziewiętnaście lat, być nieatrakcyjną i nie widzieć przed sobą żadnych perspektyw. A ciotka jest taka chora... I jeszcze w dodatku musiała ją okłamać! A co robi, kiedy kłamstwo się wyda? Nie miała przecież pojęcia, gdzie mogłaby szukać pracy! W końcu rozplakała się i płakała, póki nie zmorzył jej sen.

Idąc wczesnym rankiem tego dnia do stacji metra, Liz zauważyła, że krzewy na pobliskim skwerze okryły się zielonymi pąkami. I przypomniało jej się, jak miss Daisy powiedziała jej przed dwoma miesiącami, że gdy przyjdzie wiosna, Liz zakocha się i stwierdzi, że życie jest piękne. Dobry Boże, co za bzdura!

Liz uśmiechnęła się z goryczą. W kim miała się zakochać w sklepie Bena? We właścicielu liczącym już chyba ze sto lat? A może w którymś z jego klientów - mrukliwych, zmęczonych ciężką pracą mężczyzn z okolicy? Klientów tych było zresztą tak niewiele! Gdyby nie fakt, że Ben był już tak stary i potrzebował trochę pomocy w sklepie, nie musiałby zatrudniać żadnej dodatkowej siły roboczej. Interes szedł nie najlepiej. Sklep był ciasny, zawsze ciemny, bo posiadał małą szybę wystawową, a przy tym Ben oszczędzał

elektryczność - zaś wewnątrz, urządzone przed kilkudziesięciu laty, nic a nic nie zmieniło się z biegiem czasu. Ben z wiekiem stał się niechlujny i sklep wyglądał jak właściciel - nieporządnie. Do takich sklepów przychodzili tylko ci, którzy znaleźli się w nagłej potrzebie, a jak często człowiekowi brakuje akurat gwoźdźca? Liz, odkąd pracowała u Bena, usiłowała zaprowadzić tam jakiś porządek - umyła szybę wystawową, wyrzuciła kilka starych, brudnych pudełek, powiesiła kolorowy kalendarz z uśmiechającą się uwodzicielsko dziewczyną na drzwiach i przynajmniej raz dziennie przecierała na mokro podłogę. Zdawała sobie jednak sprawę, że niewiele to zmienia. Jednak Ben był człowiekiem wyjątkowo uczciwym i przynajmniej płacił jej dodatkowo za sprzątanie. No i za prowadzenie rachunków. Chociaż pożał się Boże, co to były za rachunki!

Liz była zmuszona przyjąć pracę u starego Bena. Poszukiwania jej i starania o jakiegokolwiek zajęcie nie dawały rezultatu. Miała pecha albo też była tak przygnębiona, że nie potrafiła zrobić dobrego wrażenia na pracodawcach i w rezultacie odsyłano ją z kwitkiem. Mary załatwiła jej kilka razy pilnowanie dzieci wieczorem, inna koleżanka, która złamała nogę, wcisnęła ją jako swą zastępczynię do fryzjera, gdzie myła klientkom głowy. Wszystko to jednak były tylko zajęcia okresowe i nie rozwiązywały sprawy.

Liz być może szukałaby dalej, ale w lutym ciotce Fanny pogorszyło się i w końcu zabrano ją do szpitala. Liz czuła się w obowiązku dostarczyć jej ulubione czasopisma z plotkami z wyższych sfer i zdjęciami radośnie uśmiechniętych koronowanych głów, owoce, a także sok pomarańczowy i czekoladę z rodzynkami, ulubione przysmaki ciotki. Lekarze nie ukrywali, że stan ciotki jest bardzo zły i Liz czuła, że teraz nie mogła ciotce niczego odmawiać. Ciotka Fanny miała sześćdziesiąt siedem lat, była spracowana i schorowana i niewiele miała życia przed sobą.

A Ben - licząc sprzątanie i pomoc w rachunkach - płacił jednak więcej niż wynosił zasiłek dla bezrobotnych.

Tak więc Liz pracowała u Bena. Nienawidziła tej pracy. Nienawidziła brzydkiego sklepu, zapachu pleśni i kurzu, który się tam unosił, nienawidziła szarości zgromadzonego tam towaru. Długie godziny siedziała sama, patrzyła w ścianę, marzyła, bo ogrzewanie przeważnie było wyłączone i nawet nie mogła przeglądać gazet przeznaczonych dla ciotki Fanny, jako że światło było za słabe. A na domiar złego musiała ubierać się do pracy we wstętny, szaro-granatowy, drelichowy fartuch. Niektóre towary przychodziły z fabryki owinięte w natłuszczony papier i ubrania brudziły się od nich natychmiast.

Liz zeszła po schodach do stacji metra. Ben prosił ją, by zanim przyjdzie do sklepu, zawiozła jego córce kilka kolanek do rur. W domu córki Bena zakładano wodę do ogrodowego kranu i kolanka potrzebne były na dzisiaj. Ben wybrał je starannie, bardzo zadowolony, że córka zwróciła się do niego, i zapakował w szary, gruby papier. Paczka prawdę mówiąc wyglądała okropnie, ale cóż Liz mogła zrobić? Ben był stary i przejazd metrem, a potem jeszcze autobusem do odległej dzielnicy, gdzie mieszkała jego córka, był dla niego prawdziwą wyprawą. Straciłby na to zapewne cały dzień. Źle widział i bał się przechodzić przez ulicę. Liz miała nadzieję, że córka Bena da jej przynajmniej stos czasopism dla ciotki.

Kiedy usiadła w metrze, obok niej na ławkę rzucił się - bo trudno to było określić inaczej - krzepki wyrostek, ubrany w dżinsowe spodnie i także kurtkę. W rękach trzymał duży, srebrzysty magnetofon, nastawiony, rzecz jasna, na cały regulator. Hałaśliwa muzyka wypełniła przedział. O Boże, ależ ja mam szczęście, pomyślała Liz. Przypomniała sobie miłe, łagodne melodie, których słuchała „U nas”. I nagle przyszło jej do głowy, że teraz, póki ciotki nie ma w domu, mogłaby zabrać z domu radio do sklepu. Nikomu by to nie przeszkadzało, a jej nie nudziłoby się tak okropnie. Tak, to było jakieś wyjście. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Siedzący obok niej wyrostek opacznie zrozumiał jej uśmiech.

- Bajka, co? - zarechotał wskazując na trzymane na kolanach srebrne pudło. - Czekaj, jeszcze podreguluję...

Za chwilę muzyka stała się jeszcze głośniejsza. Kobieta siedząca naprzeciwko aż się wzdrygnęła i na następnej stacji ostentacyjnie wyszła. Liz zauważyła, że wsiadła do przedziału obok.

- Dzisiaj darmowy koncert życzeń. Tylko dla ciebie, laluniu - chłopak ukazywał w zachęcającym uśmiechu zepsute zęby. - Tylko mi powiedz, na co masz ochotę. Zawsze jestem zabezpieczony - odpiął kieszeń kurtki i wyjął dwa pudełka z taśmami. - A jak masz ochotę na coś ekstra, to też jestem zabezpieczony - pochylił się ku Liz i wygrzebał z kieszeni charakterystyczne opakowanie prezerwatywy.

Liz odsunęła się od niego i spojrzała w okno. Obrzydliwy typ. I jeszcze w dodatku cuchnął, jakby się nie mył dobry miesiąc. No, może zresztą tak było.

Jak na złość odcinki między stacjami były dość długie. A w przedziale prócz Liz, jej sąsiada i starszej kobiety z torbą pełną zakupów nie było nikogo.

- No, lalunia, zabawimy się - wyrostek przysuwał się do Liz coraz bliżej. - No, nie pożałujesz, dobry jestem. No, lala...

Liz widziała teraz całkiem blisko przed sobą jego obsypaną czerwonymi, ropiejącymi pryszczami twarz i zrobiło jej się niedobrze. Na szczęście pociąg wjeżdżał już na stację.

Liz wstała, ale chłopak również wstał.

- Tu wysiadamy? - zapytał napierając na Liz całym ciałem. - Idziemy do ciebie? - Zarechotał znowu. - Dobra.

Kiedy Liz wysiadła, poszedł za nią. Przyspieszyła kroku w nadziei, że na schodach, wśród ludzi, uda jej się go pozbyć. Ale na tej stacji wysiadło niewiele osób i Liz nie mogła się wmieszać w tłum. A gdy przyspieszyła kroku, wyrostek przyspieszył także.

- No, co taka sztywna, lala? - czuła na szyi oddech chłopaka. - A może ci się nie podobam? A ty sama co? Lady Diana? Pewnie masz wielbiiciela na każdym rogu, co? No to pokaż mi, który to, no?

Kiedy Liz wyszła na ulicę, dostrzegła ku swej uldze stojącego przed wejściem policjanta. Bez wahania ruszyła w jego kierunku. Chłopak zatrzymał się.

- Głupia dziwka - rzucił jeszcze za Liz i zniknął wśród przechodniów.

Liz odetchnęła z ulgą. Ale tak była zdenerwowana zająściami, że długą chwilę nie mogła sobie przypomnieć numeru autobusu, w który powinna wsiąść. Ale też zaczął jej się dzień.

Kiedy wysiadła wreszcie nieopodal miejsca zamieszkania Anny Alison, córki Bena, było już dość późno. A właśnie tutaj chętnie Liz przeszłaby się powoli, rozkoszując się ładnymi widokami. Po obu stronach ulicy, szerokiej i wysadzonej kasztanami, rozpościerały się nieduże, ale schludne ogródki - pięknie utrzymane, soczystozielone trawniki, porośnięte tu i ówdzie krzewami rododendronu, drzewami magnolii, które lada dzień miały zakwitnąć, i niewielkimi, srebrnymi świerkami. W głębi stały domy, jedno, rzadziej dwupiętrowe, jasno otynkowane, przeważnie o spadzistych dachach, pokrytych czerwoną dachówką, ozdobione tarasami, wykuszami, a nawet małymi wieżyczkami. W oknach domów, za lśniącymi, czysto wymyтыми szybami wisały marszczone, śnieżnobiałe firany. Gdzieś na podjeździe stały samochody - bez śladu kurzu, błyszczące nowym lakierem. Liz nie знаła się na markach samochodów, ale po kształcie poznawała, że nie były to samochody tanie.

Na ulicy było cicho, ani śladu biegających, brudnych dzieciaków...

Liz westchnęła. Tak, to była dobra dzielnica. Kiedy ktoś mówi, że tu mieszka, wiadomo, że jest człowiekiem zamożnym i dobrze mu się wiedzie.

Anna Alison otworzyła jej drzwi osobiście. Była to uderzająco ładna kobieta wyglądająca na trzydzieści pięć lat. Miała ich jednak dokładnie dziesięć więcej - Liz wiedziała o tym od Bena.

- Ciężka praca dodaje lat - mawiała ciotka Fanny - a próżniactwo odejmuje.

- Dzień dobry, kochanie - przywitała uprzejmie Liz pani Alison. - Obawiałam się już, że nie przyjdiesz dzisiaj.

- Dzień dobry pani. Jakiś ciemny typ przyczepił się do mnie w metrze. Nie wiedziałam, jak się go pozbyć, no i trochę to trwało.

- Zdenerwowałaś się, prawda? - Pani Alison przyjrzała się jej uważnie. - Wejdz, proszę, zrobię ci herbaty.

- Pewnie, że się zdenerwowałam. Akurat musiał sobie mnie upatrzeć - wybuchnęła Liz. - Zawsze mam takie szczęście. Parę tygodni temu, jak wracałam z pracy, jakiś pijak usiłował mnie objąć i wciągnąć do piwiarni. No, niech pani sama powie, czy ja wyglądam na kogoś, kto tylko rzeka na to, by go zaczepiono? Ten z metra, dzisiaj, nazwał mnie w dodatku... - Liz zamilkła. W obecności pięknej, eleganckiej pani Alison, w tym pięknym otoczeniu, nie miała śmiałości powtórzyć słów chłopaka, który ją zaczepił.

- Rozumiem - powiedziała łagodnie pani Alison. - Usiądź. Zaraz podam herbatę.

Liz uwielbiała pić herbatę u pani Alison. Córka Bena nigdy nie podawała jej w grubych, dużych kubkach, w jakich Liz piła w domu, ale w niewielkich, cieniutkich filiżankach, białych w niebieskie kwiatki. I sama herbata była jakaś inna, zawsze bardzo aromatyczna. Dziś jednak Liz nie rozkoszowała się nią jak zwykle, wspomnienie pryszczatej twarzy i słów, które zabolaly ją bardziej niż chciałyby się do tego przyznać, było denerwujące i przygnębiające.

- Nie bierz sobie tego do serca, Liz - pani Alison nigdy nie mówiła do niej Betty, musiała chyba wiedzieć, że Liz tego nie lubi. - Chociaż... Wiesz, dawno już ci chciałam to powiedzieć, ale jakoś nie było okazji... Nie chciałabym cię urazić, kochanie, ale może to twój makijaż...

- Mój makijaż? - nie rozumiała Liz.

- Tak, kochanie - pani Alison była wyraźnie zakłopotana. - Bo widzisz, może to on powoduje, że tym młodym ludziom wydaje się...

Teraz Liz już rozumiała.

- Myśli pani, że jest... że jest wyzywający? - zdziwiła się. Liz malowała się od piętnastego roku życia. Dość szybko pojęła, że nie jest ładna, że cerę ma bledszą od koleżanek, jaśniejsze od nich brwi i rzęsy. No i te nieszczęsne włosy mysiego koloru... To Mary poradziła jej, by pomalowała brwi i rzęsy, czarną obwódką podkreśliła powieki, zrobiła rumieńce na policzkach i używała szminki w pięknym, czerwonym kolorze.

- Naprawdę jest niedobry? - powtórzyła swe pytanie Liz.

- No cóż - pani Alison wyglądała na niezadowoloną, że w ogóle poruszyła ten temat. - Zdaje mi się, że jest trochę za mocny...

- Ale ja jestem taka blada!

- Jasna cera to duża zaleta, kochanie. Zawsze o takiej marzyłam.

Liz spojrzała na siedzącą naprzeciwko niej kobietę z niedowierzaniem. Jakże pani Alison mogła marzyć o tym, by się zmienić? Była przecież doskonała!

Liz przyjrzała się twarzy pani Alison. Nigdy, rzecz jasna, nie zastanawiała się nad tym, ale miała wrażenie, że pani Alison używa tylko szminki, raczej jasnej, koralowej, i to w niewielkiej ilości. Teraz, spoglądając na nią z bliska i bardziej uważnie, dostrzegła, że córka starego Bena powieki pokryte ma bardzo jasnym odcieniem błękitu, który sprawiał, że oczy jej wydawały się intensywnie niebieskie, rzęsy ma niewątpliwie pokryte tuszem, choć musiało go być niewiele, bo rzęsy się nie sklejały. Brwi... Nie, brwi nie miała umalowanych, z natury miała je bardzo ciemne. Ale ich piękna, równa linia sugerowała, że muszą być regulowane, a ponadto pod samymi brwiami nałożoną miała odrobinę białego pudru. Ta biel właśnie powodowała, że brwi wydawały się takie ciemne. Poza tym skóra siedzącej naprzeciw Liz kobiety była delikatna, matowa, utrzymana w odcieniu lekkiej opalenizny. A zatem pani Alison używała też pudru, i różu, bo skąd miałyby tak delikatnie zaróżowione policzki... Ach,

jaką piękną kobietą była pani Alison. Nic dziwnego, że udało jej się „złapać” - jak mawiała ciotka Fanny - tak zamożnego męża.

- Rzadko zdarzają się twarze idealne - ciągnęła pani Alison - naturę trzeba poprawić. Sama pomyśl, czy nie jest ci przyjemniej patrzeć na ładnie utrzymaną kobietę niż na szarą i zaniedbaną?

- Ma pani rację - przyznała Liz. - Czy ja naprawdę tak okropnie wyglądam? - zapytała przygnębiona.

- Ależ kto powiedział, że okropnie - roześmiała się pani Alison. - Chodzi mi raczej o to, że gdyby co nieco zmienić, byłoby lepiej.

- Co powinnam zrobić? - Liz spojrzała bezradnie na rozmówczynię.

- Och - zawahała się pani Alison. - Nie wiem... Ja...

- Proszę mi powiedzieć szczerze.

- Nie chciałam ci sprawić przykrości - rzekła łagodnie pani Alison.

- Wiem. I bardzo pani dziękuję, że zwróciła mi pani uwagę. Ja nigdy nie pomyślałam o tym, że coś jest nie tak... Moje koleżanki...

- Tak, wiem, młode dziewczęta mają teraz taki zwyczaj, że bardzo mocno się malują. Ale raczej wszystko psują niż sobie pomagają.

- Więc co powinnam zrobić? Proszę mi powiedzieć szczerze.

- Pamiętaj przede wszystkim o dwóch podstawowych zasadach. Po pierwsze makijaż musi być dyskretny. A po drugie nie kupuj kosmetyków byle gdzie. Żadnych produktów nieznanych, podrzędnych firm. Tak, zdaję sobie sprawę, że kosmetyki znanych wytwórców są drogie, ale na to trzeba odżałować trochę grosza, bo są to kosmetyki dobre. Nie popsują ci cery, nie dostaniesz uczulenia. A poza tym dobrze się trzymają. Weźmy twoją szminkę - pani Alison znów przerwała, zakłopotana.

- Kupiłam ją na dworcu od pewnego Murzyna. Miał mnóstwo szminek i lakierów do paznokci. We wszystkich kolorach. Skusiłam się, bo była tania - wyznała Liz. - Uważa pani, że jest zła?

- Była tania, bo jest z taniego surowca. I dlatego źle się rozsmarowuje. Nie zauważyłaś, że wargi masz nierówno pomalowane? W jednym miejscu cienie, a w drugim grubiej. To wygląda fatalnie. Poza tym w niektórych miejscach zbija się w grudki. Naprawdę wygląda to brzydko i nawet nieapetycznie. Poza tym wydaje mi się, że ma nieodpowiedni kolor.

- Mary mówiła, że tak ładnie mnie ożywia...

- Nie sądzę, Liz. Kolor jest zbyt jaskrawy. W jaskrawym kolorze nigdy nie będziesz wyglądać elegancko. Zwłaszcza w dzień, na ulicy. Przy sztucznym świetle można sobie na to pozwolić, ale też jedynie przy pełnym makijażu i odpowiedniej barwie pudru.

- To jaki powinnam kupić sobie kolor?

- Hm - pani Alison przyjrzała się Liz uważnie. - Masz niebieskie oczy. Myślę, że dobrze by ci było w takim odcieniu jak mój. Pamiętaj jednak, że zawsze powinnaś mieć przynajmniej dwie pomadki, jedną w odcieniu różowawym, drugą w czerwawym. Bo trzeba też pamiętać o kolorze ubrania. Nie można przecież używać czerwonej szminki do różowej bluzki!

- Nie pomyślałam o tym - przyznała Liz. Ach, wszystko, co mówiła Anna Alison, wydało jej się takie fascynujące!

- Pracowałaś przecież u Bradbury'ego. Dział kosmetyczny jest tam wspaniale zaopatrzone. Ja sama zawsze kupuję tam moje kosmetyki. Czemu sobie niczego nie wybrałaś?

Liz pomyślała o zawrotnych cenach w domu towarowym „U nas”. Szminka kosztowała tam tyle, że można sobie było za to sprawić nowe spodnie i nowy T-shirt!

- Kiedy masz urodziny? - zapytała nagle pani Alison.

- Za dwa miesiące - odparła zdziwiona Liz.

- A więc zapraszam cię w dzień twoich urodzin do domu towarowego „U nas” i obie wybierzemy dla ciebie nową szminkę. I coś jeszcze, co będzie ci potrzebne. To będzie mój prezent urodzinowy.

Liz poczuła, że się rumieni. No tak, pani Alison domyśliła się, że Liz nie stać na zakupy u Bradbury'ego. Zapewne poczuła się niezręcznie zdając sobie sprawę, że Liz zrobiło się przykro.

- Ależ nie... Nie trzeba - zaprotestowała Liz.

Pani Alison położyła palec na ustach.

- Cicho, sza. Nie ma o czym mówić. Należy ci się ogromny prezent na urodziny, Liz. Choćby za to, jaka jesteś miła dla mojego ojca. Dbasz o sklep i o niego... Ach, dawno mu już mówiłam, żeby sprzedał tę rudere i przeniósł się do nas - westchnęła. - Ale on nie chce.

- Pan Ben jest bardzo uparty - uśmiechnęła się Liz. Nie dodała, że Ben zapewne źle by się czuł w eleganckim domu swojej córki.

- O tak, wiem coś o tym - roześmiała się pani Alison i przez chwilę śmiały się obie. Upór starego Bena potrafił dać się we znaki!

- No, to załatwione - dodała pani Alison. - I przy okazji: nie rób sobie takiej mocnej, czarnej obwódki wokół powiek. Wystarczy odrobina szarego pudru na górnej powiece. W zewnętrznym kącie może być troszkę mocniej, ale też niewiele. A kiedy tuszujesz rzęsy, rozczesz je potem.

- Gdyby mi pani jeszcze coś poradziła na mój błyszczący nos i czoło - westchnęła Liz. - Ciotka Fanny mówiła zawsze, że wyrosnę z tego, ale rosnę, rosnę i nic - próbowała uśmiechnąć się Liz, chociaż była nieco zawstydzona.

- To żaden problem, kochanie. Musisz kupić dobre przesuszające skórę mydło i specjalny tonik do tłustej cery, no i puder. Odrobina pudru sprawi, że nosek nie będzie się błyszczał.

- Ciotka Fanny twierdzi, że puder szkodzi na cerę.

- Prawdopodobnie było tak w czasach młodości ciotki, kiedy wytwarzano nie tak dobre kosmetyki jak dziś. Zapewniam cię, że dobry puder nie szkodzi cerze.

- Nie szkodzi cerze - powtórzyła machinalnie Liz. A więc znów się źle wyraziła.

W głębi mieszkania zadzwonił telefon.

- Przepraszam cię na chwilę, kochanie - pani Alison wstała.

Liz spojrzała na zegarek.

- O, Boże - przestraszyła się - już jedenasta. Dawno już powinnam być w sklepie!

- Zaczekaj jeszcze moment. Zaraz wrócę - pani Alison wyszła z kuchni, gdzie siedziały i zniknęła w jednym z pokoiów.

Liz zebrała ze stołu naczynia i odstawiła je do zlewozmywaka. Odkręciła wodę i przez chwilę rozkoszowała się jej ciepłem. W domu ciotki nie było ciepłej wody. Zaczęła ostrożnie zmywać delikatne filiżanki i spodeczki. Ach, nawet zmywanie tak pięknych rzeczy było przyjemne!

Pani Alison weszła do kuchni.

- Liz, kochanie... - coś takiego było w jej głosie, że Liz odwróciła się do niej gwałtownie i o mało nie wypuściła z dłoni kruchej filiżanki.

- Liz, dzwonił mój ojciec. Pani Dick jest u niego...

- Ciotka Fanny? - przeraziła się Liz. Wiedziała, że pani Dick wybierała się przed lunchem odwiedzić ciotkę Fanny w szpitalu.

- Ciocia... Ciocia poczuła się gorzej, kochanie. Musisz zaraz jechać do szpitala. Moje biedactwo - powiedziała pani Alison i objęła Liz.

Ciotka Fanny zmarła tego samego popołudnia.

Pani Alison okazała Liz wiele serca. Przede wszystkim wyprowadziła natychmiast z garażu samochód i zawiozła ją do szpitala, gdzie leżała ciotka. I nie zostawiła jej samej.

Potem zaś, widząc ogromne przygnębienie dziewczyny, dzielnie walczącej ze łzami, poszła z nią do administracji, załatwić konieczne formalności. Sama zadzwoniła do zakładu pogrzebowego. Doprawdy okazała się niezastąpiona. I obiecała pomoc w załatwieniu wszystkiego, co będzie trzeba. Wreszcie odwiozła Liz do domu.

- Napij się gorącej herbaty, zjedz coś i połóż się do łóżka, kochanie. I wypłacz się w spokoju, to przyniesie ci ulgę.

Nie będę płakać, postanowiła Liz, ostatnio ciągle płacząc.

- Nie chciałabym teraz wracać do domu - powiedziała cicho.

- Rozumiem - powiedziała pani Alison. - Pojedziemy do mnie.

- Nie... Ja bardzo dziękuję, ale chciałabym pojechać do sklepu.

- Nie sądzę, by mój ojciec oczekiwał, że przyjdiesz dziś do pracy - rzekła łagodnie

Anna Alison.

- Tak, wiem, ale zdaje mi się, że powinnam.

Liz była bardzo wdzięczna pani Alison i lubiła ją szczerze, ale wiedziała, że pani Alison ma swoje życie. A pan Alison zawsze ją onieśmielał. Nie miała teraz ochoty spotkać go, ani tym bardziej narażać panią Alison na kłopot zajmowania się nią. Pani Alison знаła ciotkę Fanny, ale pan Alison chyba nawet nigdy jej nie widział. Pani Alison od dwudziestu już lat nie żyła problemami swego ojca i ludzi mu podobnych. Ani ona, ani jej mąż nie bardzo wiedzieliby, o czym rozmawiać teraz z Liz. A stary Ben... Stary Ben znał ciotkę chyba z pięćdziesiąt lat - podobno, kiedy została porzucona przez męża, chciał się z nią ożenić. Bardzo byli zaprzyjaźnieni. I jej śmierć niewątpliwie dotknęła go podobnie jak Liz.

- Myślę, że panu Benowi potrzebne będzie towarzystwo - wyjaśniła Liz.

- Rozumiem - głos pani Alison nadal był bardzo łagodny. Znad kierownicy rzuciła szybkie spojrzenie na Liz. - Jesteś dobrą dziewczyną, Liz. Dobrze, jedziemy do sklepu. Ja też chętnie zobaczę się z ojcem.

Ben zamykał zwykle swój sklep o siódmej. Mógł to zrobić bez żadnej ujemy dla interesów dobre dwie godziny wcześniej, bo rzadko kiedy przychodził ktoś pod wieczór. Jednak sklep był dla Bena całym życiem. Co miał robić w domu sam? Zamiast siedzieć na górze w pokoju, siedział po prostu w sklepie.

Dzisiaj jednak Ben wcześniej poszedł do siebie, namówiony do tego przez córkę, która zaoferowała się, że zrobi mu kolację. Potem kazała mu się położyć i jak powiedziała Liz - podała ojcu tabletkę nasenną. Wreszcie sama pojechała do domu, bo przecież i panu Alison należała się kolacja.

- Czy chcesz, żebym odwiozła cię do domu, Liz? - zapytała przed wyjściem.

- Dziękuję, przecież to pięć minut drogi stąd. Muszę zresztą zamknąć sklep.

- Poczekam na ciebie.

- Naprawdę dziękuję, ale proszę się nie trudzić. To trochę potrwa, bo te stare, żelazne żaluzje zacinają się.

- Daj sobie z nimi spokój. Nie wydaje mi się, by jakkolwiek włamywacz zechciał połakomić się na sklep mego ojca.

- Pan Ben byłby niezadowolony.

- A zatem dobranoc, Liz. Na pewno nie chcesz pojechać do mnie?

- Dziękuję. Dam sobie radę. Proszę się o mnie nie martwić.

- Jutro przyjadę po ciebie o dziesiątej. Umówiłam się w zakładzie pogrzebowym na dziesiątą trzydzieści. Radzę ci, weź sobie tabletkę nasenną i dobrze się wyśpij. Dobranoc.

- Dobranoc.

Kiedy pani Alison wyszła, Liz odeszła od drzwi i usiadła ciężko na krześle obok kasy. Nie miała najmniejszej ochoty wracać do domu. Do domu, który teraz zawsze będzie pusty. Do domu, gdzie na stole leżą okulary ciotki Fanny przeznaczone do oglądania telewizji, a w wazonie stoi bukiet żółtych, zrobionych przez nią własnoręcznie - a ciotka miała bardzo

zręczne ręce - narcyzów. Gdzie wisi na ścianie nad kanapą ślubne zdjęcie ciotki i wuja, młodych, roześmianych i zapatrzonych w siebie.

Nie, Liz nie mogła iść do domu. Spojrzała na zegarek - było wpół do siódmej. Pomyślała, że posiedzi jeszcze z godzinkę. Wczoraj przysłano paczkę kluczy francuskich, trzeba je wypakować i ułożyć w pojemniku. Ben zapomniał o tym zupełnie.

Liz westchnęła ciężko. Siary Ben przejął się śmiercią ciotki Fanny bardziej niż myślała. Był to dla niego prawdziwy cios. Dobrze, że córka dała mu coś na sen. Także pani Dick, którą zastały jeszcze w sklepie przyjechawszy tu z panią Alison, bardzo była wytrącona z równowagi. Powiedziała dziś chyba więcej słów niż normalnie mówi przez pół roku. No, prawda, że powtarzała głównie: „biedna Fanny, biedna Fanny”, ale zawsze...

Liz z wysiłkiem próbowała się uśmiechnąć. Nie płakać, za wszelką cenę nie płakać! Włożyła szaro-granatowy, drelichowy kitel, podwinęła rękawy i zaczęła rozpakowywać klucze francuskie. Starła się poruszać cicho. Gdyby Ben obudził się, nie daj Boże, zdenerwowałby się, że ktoś jest jeszcze w sklepie.

Nagle zabrzączał dzwonek przy drzwiach wejściowych. Był bardzo głośny, bowiem stary Ben nie dosłyszał. Liz instynktownie uniosła głowę ku sufitowi. Czy usłyszy szuranie pantofli Bena? Ten dzwonek słyhać było chyba na miłę!

Kiedy spojrzała ku drzwiom, zobaczyła, że stoi w nich jakiś mężczyzna. Stał, jakby się wahał.

- Niechże pan wejdzie i zamknie drzwi - zwróciła się do niego ostro Liz - inaczej dzwonek sprowadzi tu policjanta. Czym mogę służyć?

Mężczyzna wszedł i kiedy zrobił krok do przodu i stanął pod jedyną, płonąca u sufitu żarówką, Liz wydało się, że chyba śni. Dobry Boże, to nie był jeden z klientów, jacy bywali u Bena!

Przede wszystkim ubranie. Mężczyzna miał narzucony na ramiona ciemny płaszcz, a pod spodem nosił najprawdziwszy frak! Czarny frak i nieskazitelnie biały, błyszczący gors koszuli. I muszkę. Liz nie знаła nikogo, kto chodziłby w muszce!

Kiedy zaś spojrzała na twarz przybysza, oszołomienie jej sięgnęło szczytu. Nigdy w życiu, nawet w kinie, nie widziała tak pięknego mężczyzny. Miał na pewno nie więcej niż dwadzieścia pięć czy dwadzieścia sześć lat. Jego twarz była lekko opalona, oczy bardzo niebieskie, a włosy jasne i falujące. Uczesany był starannie, tylko nad czołem wymykał mu się z nienagannej fryzury niewielki, wijący się kosmyk.

- Czym mogę służyć? - powtórzyła Liz i aż się zdziwiła, tak dziwnie brzmiał jej głos. Wysunęła się z kontuaru, gdzie rozpakowywała towar.

- O, czyżby wzięła mnie pani za włamywacza? - roześmiał się mężczyzna. Miał piękne, białe zęby, a jego twarz, gdy się śmiał, wyglądała jeszcze młodziej i jeszcze urodziwiej.

Liz powędrowała oczyma w kierunku jego spojrzenia i zobaczyła, że trzyma w ręce ciężki klucz francuski.

- Co? Ach, tak... Nie. To znaczy nie - nagle brakowało jej słów. - Miałam to poukładać. A o tej porze nikt tu nie przychodzi.

- Tak, obawiałem się, że już zamknięte. I właściwie nie wiem, czy dobrze trafiłem... Wie pani, potrzebuję kleju.

- Kleju? - Liz zastygła z kluczem w ręce na środku sklepu. Zdawała sobie sprawę, że nie wygląda zbyt mądrze, ale całkiem osłupiała. - To... To jest sklep z wyrobami żelaznymi - wyjąkała wreszcie.

- Tak, widzę - mężczyzna zdawał się być nieco zniecierpliwiony. - Ale pomyślałem, że możecie mieć tu jakiś klej. No, wie pani, taki uniwersalny, który wszystko klei. Materiał, metal, szkło. Widzę tu sporo rzeczy przydatnych do majsterkowania. A do tego potrzeba też zwykle takiego kleju.

Liz czuła kompletną pustkę w głowie. Jaki był przystojny, jaki wysoki, szczupły. Wąska, pociągła twarz, mały nos z takim ślicznym garbkiem...

- No, więc dostanę u pani ten klej?

- Klej do majsterkowania - wyjąkała Liz i nadal czuła pustkę w głowie. To wszystko przez to zmęczenie, przemknęło jej przez myśl. Klej? Czy Ben ma klej? To przez ten okropny dzień, to wszystko przez to. Świat jej się zawalił, skąd ma wiedzieć, gdzie Ben ma klej!

- Klej do majsterkowania? - powtórzyła.

- Do majsterkowania? - roześmiał się. - Skądże znowu. Do majsterkowania mam dwie lewe ręce. Muszę skleić futerał na skrzypce - podniósł w górę rękę i dopiero teraz Liz zauważyła, że trzyma w niej duży, czarny futerał. - Byłem na wsi u przyjaciela, spędzałem tam weekend i kiedy miałem wsiadać dziś do samochodu, jakiś dzieciak rzucił w moją stronę piłkę. Skoczyłem, żeby mu ją odbić i zahaczyłem futerałem o sztachety ogrodzenia. Wie pani, takie żelazne szpikulce. No i oddarł się kawałek skóry. Wygląda to okropnie, a za - spojrzął na zegarek - za niecałą godzinę mam koncert.

Za niecałą godzinę miał koncert. Był skrzypkiem! Liz знаła kilku chłopców, którzy umieli grać na gitarze, no, przynajmniej tak im się wydawało, bo nauczyli się tego sami, a jeden umiał nawet grać na perkusji, co zresztą w oczach Liz nie było żadną sztuką, bo co to za problem narobić trochę hałasu. Ale skrzypce... Wiele lat żmudnego pobierania lekcji i opłacania ich, wiele lat ćwiczeń. Skrzypek! I grał w najprawdziwszej orkiestrze, dawał koncert! Liz nigdy w życiu nie była na koncercie. Nie tylko dlatego, że bilety były bardzo drogie i jak mogła to czasem obejrzeć w telewizji - bywało tam wyłącznie bardzo eleganckie towarzystwo. Przede wszystkim Liz zupełnie nie rozumiała, jaką z tego można było czerpać przyjemność. Siedzieć prawie dwie godziny bez ruchu i tak straszliwie się nudzić. Liz miała oczywiście niejasne przeczucie, że skoro tylu ludzi chce w tym uczestniczyć i to w dodatku płacąc za to grube pieniądze - jakaś przyjemność musi się w tym kryć. Na czym ona jednak polegała - nie potrafiła sobie wyobrazić. Często zazdrościła tym ludziom, miała bowiem wrażenie, że zostali w coś wtajemniczeni, w coś, co na zawsze miało ją ominąć. Tamci ludzie żyli w innym świecie i Liz żyła w innym. Było to jak zaklęty krąg i nie można było przejść z jednego do drugiego świata. A teraz ten oto stojący przed nią młodzieniec należał do tego drugiego - niewątpliwie lepszego - świata. Potrafił grać na skrzypcach i wiedział, jaka tajemnica kryje się w słuchaniu ich. Liz, skup się, proszę cię, skup się, pomyślała.

- Klej. Chodzi panu zapewne o „Uni ultra”, uniwersalny klej do wszystkiego.

- „Uni ultra”. Tak - ucieszył się. - Przypominam sobie, że słyszałem tę nazwę. Ma pani coś takiego?

- Nie prowadzimy tego, ale wiem, że na pewno mamy gdzieś tubkę do własnego użytku. Czasem trzeba przykleić jakąś cenę na pudełku, albo coś w tym rodzaju... Zaraz go poszukam.

- Bardzo byłbym wdzięczny.

Liz nie miała pojęcia, gdzie Ben mógłby przechowywać klej. Sama nigdy go nie używała. Najbardziej prawdopodobnym miejscem było duże, białe pudło z różnymi rupieciami, które Ben trzymał na najwyższej półce w rogu sklepu.

Liz rozstawiła małą, żelazną drabinkę i zaczęła na nią wchodzić. Kątem oka dostrzegła spojrzenie, jakim obrzucił ją skrzypek. Nie było ono przyjemne - rozbawienie mieszało się w nim ze zdziwieniem. I dopiero teraz Liz zdała sobie sprawę ze swego wyglądu. Wielki, bezkształtny, brudny kitel, pobrudzony przy wypakowywaniu francuskich kluczy, nieuczesane włosy, bo gdzie jej dziś były w głowie myśli o fryzurze, i na pół rozmazany napływającymi do oczu łzami makijaż. Makijaż, o którym zresztą pani Alison powiedziała, że jest fatalny...

Liz poczuła, że drżą jej ręce. Dlaczego ten piękny mężczyzna musiał przyjść akurat dzisiaj? I zastać ją przy takiej brudnej robocie, zmęczoną, przygnębianą i okropnie wyglądającą. I w ogóle jak tu trafił? Tacy ludzie nie przychodzili tu nigdy.

Młody człowiek, jakby czytając w jej myślach, powiedział:

- Zawsze jeżdżę do miasta bocznymi ulicami, bo jest tu mniejszy ruch i tym samym tracę mniej czasu. Dzięki temu odkryłem dziś ten sklep. Miałem szczęście.

Albo i nie, pomyślała ponuro Liz. Bo czemu wszyscy mieliby mieć szczęście, tylko nie ona?

Klej jednak był w pudełku.

Skrzypek położył futerał na kontuarze, i pokazał Liz dość duże, trójkątne rozdarcie skóry na dole pudła.

- Pomoże mi pani? - zapytał

- Mam brudne ręce - szepnęła Liz i poczuła się jeszcze gorzej niż przed chwilą, gdy prezentowała na drabinie swój roboczy strój.

- No cóż, trudno - powiedział szybko, jakby zirytowany. - Proszę mi potrzymać futerał, bo sam niczego tu nie zdziałam.

Liz czuła się okropnie. Kiedy stała obok niego, czuła świeży, przyjemny zapach delikatnej wody kolońskiej. A jego ręce wyglądały jak ręce pani Alison - były gładkie, białe, o równo opilowanych, lśniących paznokciach. Tyle tylko, że dłonie pani Alison były mniejsze. No, o wiele mniejsze. Liz zawstydzona się swoich pobrudzonych, chropowatych rąk z czarną obwódką za paznokciami, na których tu i ówdzie poodpryskiwał krzykliwy, czerwony lakier.

- Teraz trzeba to potrzymać dobre parę minut - odezwała się, gdy mężczyzna naciągnął czarną skórę futerału i przykleił ją. Robił to zresztą bardzo zręcznie. - Dobrze byłoby czymś obciążyć, ale nie mamy w sklepie nic odpowiedniego. To znaczy są ciężkie rzeczy, ale szkoda byłoby je kłaść na taką piękną skórę, bo mogłyby ją porysać - płątała się Liz, a gdy uświadomiła sobie, że znów się źle wyraziła, zmieszała się jeszcze bardziej.

Klient zdawał się nie zwracać na nią uwagi. Trzymał oboma rękami przyklejony kawałek skóry i rozglądał się, nieco znudzony, po sklepie.

- O, macie małe gwoździki - ucieszył się wyraźnie. - Pani Smith, która u mnie sprząta, chciała przybić jakąś listwę w kuchni, ale mówiła, że nigdzie nie może dostać odpowiednio małych gwoździków. Ucieszy się, jak jej przyniosę.

- Ile? - zapytała Liz.

- Och, nie wiem - spojrzał na nią bezradnie. - Jedno opakowanie.

- Gwoździe sprzedajemy luzem.

- No cóż, myślę, że dwadzieścia wystarczy. Albo niech pani da trzydzieści. Na wszelki wypadek.

Liz znów przystawiła drabinę do półki. Na kontuarze leżało na tekturowym talerzyku kilkanaście gwoździ z ceną. Po większą ilość musiała sięgnąć na górę.

Pudło z gwoździami było dość duże i ciężkie - specjalnie w tym celu sporządzony pojemnik z plastyku miał niewielkie szufladki z wypisanymi na wierzchu rozmiarami gwoździ. W szufladkach spoczywały rozmaite ich rodzaje - od półcalowych, cienkich gwoździków, do grubych, ciężkich, trzycalowych gwoździ. Kiedy Liz wyciągała dolną szufladkę, zakołysała się nagle na drabinie i szarpnęła szufladkę za mocno. Pudło wysunęło się do przodu i poleciało w dół, uderzając po drodze Liz dość boleśnie w rękę. Gwoździe z hałasem rozsypały się po podłodze.

- O Boże - jęknęła Liz. Zdarzyło się jej już raz coś podobnego, kiedy zaczęła pracować u Bena. Prawie dwie godziny trwało, nim pozbierała wówczas gwoździe i powkładała je do odpowiednich szufladek.

- Zaraz pani pomogę - zaofiarował się klient - tylko klej wyschnie. Ach, nie - spojrzał na zegarek. - Muszę już jechać, bo się spóźnię.

Liz zeszła z drabiny i niezdarnie, jedną ręką, bo druga cała była obolała, zaczęła odliczać do plastikowej torebki małe gwoździki. I nagle poczuła, że po jej twarzy spływają

łyzy. Nawet nie zauważyła, kiedy zaczęły płynąć. I nic na to nie mogła poradzić. Wiedziała, że to po prostu za dużo na jeden dzień.

Wstała, podeszła do kasy i ledwo wymruczała cenę gwoździ.

- No, skleiło się - stwierdził z zadowoleniem skrzypek. - O Boże, dlaczego pani płacze? - przeraził się.

- Nic, nic, uderzyłam się w rękę, ale już nic nie boli - wymamrotała Liz i otarła twarz.

- Nic poważnego?

- Nie.

- To dobrze - rzekł z wyraźną ulgą. - Ile płacę?

- Przecież mówiłam - Liz z trudnością panowała nad sobą. I niespodziewanie dla samej siebie wybuchnęła - To wszystko jest takie okropnie. Ten obrzydliwy sklep...

- Przecież nie musi tu pani pracować - rzekł wyraźnie zaskoczony jej wybuchem, wyjmując z kieszeni kilka monet.

- Nie muszę? - zawołała. - Właśnie, że muszę!

- Ależ...

Jedną ręką trzymał jeszcze przyklejoną skórę, drugą układał na kontuarze monety.

- Doprawdy? - teraz zdawał się być nieco zirytowany. - Epoka niewolnictwa, o ile pamiętam ze szkoły, dawno się już skończyła. Zaraz, w drugiej kieszeni mam jeszcze trochę drobnych. Chyba nie muszę już tego trzymać? - wskazał na skrzypce.

Jego obojętność wydała jej się bezduszna.

- Łatwo panu mówić - zaatakowała go. - Ciekawe, co by pan powiedział, gdyby musiał pan żyć tak jak ja! Mnie nie wystarczy pociągnąć parę razy smyczkiem po strunach, żeby zarobić furę pieniędzy! Czy pan wie, jak się żyje w tej dzielnicy?

Mężczyzna schował resztę pieniędzy do kieszeni i naciągnął płaszcz na ramiona. Spojrzał na Liz uważnie.

- Niech się pani zanadto nie rozczula nad sobą! Co to znaczy: żyć tak jak ja? Czy żyje pani w średniowieczu i wierzy, że los dany jest człowiekowi odgórnie i nic nie można na to poradzić? Każdy żyje, jak chce. A przynajmniej powinien próbować tak żyć. Jest pani młodą osobą i wygaduje takie bzdury. Dobranoc. I dziękuję za klej.

Skierował się ku drzwiom.

- Gwoździe - zawołała Liz przez łyzy. Zostawił paczuszkę ze swym zakupem na kontuarze.

Cofnął się i schował gwoździe do kieszeni płaszcza.

- Sklep jest rzeczywiście okropny - powiedział obrzuciwszy ciemne wnętrze krytycznym spojrzeniem. - Niech pani się stąd wyniesie jak najszybciej. Trzeba samemu kształtować swoje życie, a nie pozwalać, by ono nas kształtowało. Dobranoc.

Wyszedł i Liz została sama.

I teraz dopiero rozplakała się na dobre.

Płakała głośno, jak to robią małe dzieci. Pociągała nosem, chlipała, szlochała. Płakała z powodu ciotki Fanny, z powodu tego, że została zupełnie sama, że nikogo nie miała na świecie. Płakała, ponieważ musiała spędzać całe dnie w obskurnym, zimnym sklepie starego Bena. Ponieważ była gruba i brzydka, i dlatego, że nieznajomy okazał się dla niej niemiły... Dlaczego akurat tu i dzisiaj musiała go spotkać? On był z innego świata. Świata kobiet w długich sukniach, pachnących drogimi perfumami. Świata, gdzie chodziło się na koncerty. Dla niej, dla Liz pozostawali tacy, jak ten ordynarny wyrostek w dzinsowym mundurku. Jak to jej powiedział? Że nie jest księżną Dianą? No właśnie, nie jest. I nie ma wielbiciela na każdym rogu.

Na wspomnienie niewybrednej zaczepki przyszczatego współpasażera rozplakała się jeszcze głośniej. Tak, to był wielbiciel dla niej. To był ktoś z jej dzielnicy. Ktoś, kto nie pobierał lekcji skrzypiec. Ktoś, kto zresztą tak jak i ona, niewiele chodził do szkoły i był

ordynarnym, niewychowanym prostakiem. Skrzypek w czarnym fraku to nie było towarzystwo dla niej. Dlaczego? Dlaczego? Co spowodowało, że ona należy do tego gorszego świata? I w dodatku została teraz zupełnie sama.

Co będzie dalej? Ciotka całe życie pracowała w szwalni i miała niewielką, ale stałą rentę. We dwie jakoś sobie radziły, ale jak Liz poradzi sobie sama? Ciotka nie czuła się dobrze już od dawna, ale jednak wykonywała drobniejsze prace domowe i prawie zawsze, kiedy Liz wracała do domu, czekał na nią ciepły posiłek. Umiała też szyć i od czasu do czasu szyła Liz spodnie albo jakąś bluzkę. Była to ogromna oszczędność. Liz nie była dzieckiem, ale zawsze odczuwała opiekę ciotki. Teraz nie miała już nikogo. I jeszcze akurat dziś do sklepu musiał przyjść ktoś tak wyjątkowy, niecodzienny, nieprawdopodobnie piękny. I zobaczyć ją w takim stroju, w takim otoczeniu! Liz nieraz marzyła o poznanie takiego mężczyzny. W kimś takim, tylko w kimś takim mogłaby się zakochać. To nie był ani Tom, ani John. Nie zabierałby dziewczyny za miasto i nie ciągnąłby jej do wnętrza cuchnącej ciężarówki. Pocałowałby ją tak, jak to robili mężczyźni na ekranie - powoli, delikatnie, czule...

Wytarła oczy palcami i zobaczyła na skórze ciemne ślady rozmazanego tuszu. Jeszcze i to! Nowa fala łez zaczęła spływać po jej twarzy. Nigdy w życiu Liz nie czuła się tak nieszczęśliwa.

Kiedy Liz po pogrzebie ciotki położyła się do łóżka, przespała bite szesnaście godzin. Gdy się obudziła następnego dnia, zbliżało się południe.

Wczoraj już Ben zapowiedział jej, że spędzi dziś cały dzień u córki. Był przygnębiony i czuł się źle. Sklepu postanowił nie otwierać i choć Liz protestowała, że przecież da sobie radę, bo nie pierwszy raz będzie sama, nie kazał jej przychodzić do pracy. Liz podejrzewała, że to córka namówiła go do tego.

- Musisz odpocząć, kochanie - oświadczyła kategorycznie pani Alison. - Masz za sobą ciężkie dni. Wyśpij się dobrze, poleż sobie w łóżku, odpocznij. Ten jeden dzień nie przysporzy memu ojcu majątku. Nawet gdyby sklep otwarty był dwadzieścia cztery godziny.

No cóż, była to prawda. A Liz dopiero teraz, leżąc w ciepłej pościeli, uświadomiła sobie, jak bardzo potrzebowała odpoczynku. Była taka zmęczona. Nic jej się nie chciało. A gdyby miała teraz wstać i wyjść z domu...

Postanowiła zostać cały dzień w łóżku. Pomyślała, że może zrobi sobie herbatę, ale nie chciało jej się wstać. A potem zasnęła i spała jeszcze dwie godziny.

Obudziła się, gdy słońce stało już dość wysoko i przez okno wlewała się struga złocistego światła. Chyba bardzo ociepliło się od wczoraj, pomyślała i przypomniała sobie, że istotnie w telewizji zapowiadano znaczną poprawę pogody pod koniec miesiąca. Ucieszyło ją to nagle. Nie lubiła marznąć.

Usta miała zaschnięte i postanowiła wstać i zrobić sobie herbaty. Włożyła stary, spłowiały od częstego prania płaszcz kąpielowy, który kiedyś był niebieski i którego używała w domu jako szlafroka, i zeszła do kuchni. Kuchnia była pusta i czysta - to zapewne dzieło pani Dick. Wczoraj obiecała Liz, że trochę jej „ogarnie” dom - jak nazywała sprzątanie. Na blacie kuchennej szafki leżała dość duża, biała paczka. Liz przypomniała sobie, że przywiozła ją pani Alison.

- To na wypadek, gdybyś była głodna, kochanie - powiedziała. - Schowaj do lodówki.

Liz oczywiście zapomniała schować paczkę do lodówki i pomyślała, że jeśli znajdą się w niej sandwicze z wędliną, będzie je musiała prawdopodobnie wyrzucić. Ale w paczce nie było kanapek. Gdy Liz rozwinęła biały papier, zobaczyła duży kawałek jabłecznika. Ciasto zapachniało kusząco i Liz poczuła nagły głód. No tak, od wczorajszego śniadania nic nie jadła.

Postawiła na kuchence czajnik z wodą i sięgnęła po kubek. I gdy miała go już w ręce, odstawiła go zdecydowanie z powrotem. Nie, nie miała dziś siły pić z tego grubego, wytartego na brzegu od długoletniego używania kubka. Poszła do pokoju i z szafki wyjęła jedną z czterech najlepszych filiżanek ciotki Fanny, stanowiących pozostałość jej ślubnego serwisu. Nie była to porcelana wysokiej klasy, ale miała ładny kształt i kilka złotych paseczków na wysokości uszka. Ciotka używała jej tylko od wielkich dzwonów i tylko wtedy, gdy przychodziły do niej sąsiadki. Liz wydawało się zawsze śmieszne, że ciotka posiadając tak ładne rzeczy w ogóle z nich nie korzystała. Nic jednak nie mówiła - w końcu nie należały do niej.

Kiedy umyła i osuszyła skurzoną nieco w szafie filiżankę i spodeczek, pomyślała, że skoro wybrała tak odświętne naczynie - zaparzy sobie kawy, nie herbaty. Liz bardzo lubiła kawę, ale pijała ją rzadko, ponieważ ciotka Fanny uznawała tylko herbatę - była zdania, że kawa szkodzi na serce. Owszem, miała zawsze w domu słoiczek neski na wszelki wypadek, niektóre sąsiadki uważały bowiem picie kawy za bardzo eleganckie. Neska jednak przeważnie stała nieużywana w szafie całymi miesiącami i starzała się. Szczęściem ostatni słoiczek został zakupiony całkiem niedawno.

Liz nasypała kawy do filiżanki, zalała ją wodą. Wyjęła z lodówki małą puszkę skondensowanego mleka - z zapasu, trzymanego przez ciotkę Fanny „na wszelki wypadek” - którego to wypadku ciotka nigdy bliżej nie precyzowała. Otworzyła puszkę i naląła dość sporo do kawy. Potem zaniósła filiżankę i talerzyk z ciastem do pokoju.

Na stole, przykrytym ażurową, robioną szydełkiem przez ciotkę serwetką, stał wazon ze sztucznymi narcyzami. Liz zagryzła wargi. Nie mogła bez żalu patrzeć na te kwiaty. Zdecydowanym ruchem wyjęła sztywne, zielone łodyżki z wazonu i schowała je do szafy. Za chwilę ich śladem powędrowała serweta.

Liz wyjęła z szafy małą, białą serwetkę z kompletu należącego jeszcze do wyprawy jej matki. Postawiła na niej filiżankę i talerz z ciastem. Tak, tak było o wiele lepiej. Filiżanka na śnieżnobiałej serwetce cieszyła oko, zapach kawy rozchodził się po pokoju.

Ciasto pani Alison okazało się wyśmienite. Liz ani się spostrzegła, jak zjadła wszystko. A kawa była po prostu doskonała. Gorąca, aromatyczna - z każdym łykiem Liz zdawało się, że przybywa jej sił.

Kiedy jadła i piła, pomyślała, że może powinna jednak otworzyć sklep Bena. I nagle pojęła, że nigdy więcej nie pójdzie do sklepu starego Bena. Nigdy więcej! Ani dnia dłużej nie wytrzyma tego przełamywania własnej niechęci do ponurego, brudnego wnętrza. Ani dnia dłużej nie zniesie wielogodzinnego nudzenia się w pustym sklepie i gapienia się bezmyślnie w szybę. Smaru na dłoniach. Drelichowego fartucha. Nielicznych, cuchnących piwem klientów. Nie. Nigdy więcej!

- Nie mogę - powiedziała na głos do siebie. - Nie mogę! No tak, ale musiała przecież coś jeść.

- Co ja mam zrobić? - powiedziała znów głośno. - No co?

Spojrzenie jej spoczęło na ślubnym portrecie ciotki Fanny. Szybko odwróciła wzrok. O Boże, to też musi zdjąć! Schować tak samo jak narcyzy i ażurową serwetę. I haftowane przez ciotkę zasłonki do okna. I zszywaną z resztek materiału narzutę na fotel... A gdzie schowa fotel, z którego boku wyzierały pakuły?

Ciotka cerowała raz po raz pracowicie rozdarcie, ale niewiele to pomagało. Liz dawno już mówiła, że trzeba się pozbyć tego fotela, ale ciotka nie chciała o tym słyszeć - miała ten fotel jeszcze po swoich rodzicach.

I nagle - tak samo jak w przypadku pracy w sklepie - Liz pojęła, że nie wytrzyma dłużej w tym mieszkaniu, nie może mieszkać dłużej w tej dzielnicy. Zadusi się, umrze z melancholii, zwariuje! Przypomniała sobie piękny dom pani Alison, równo wystrzyżone trawniki, szpalery krzewów wzdłuż ulicy, ciszę i urodę tamtego miejsca.

No tak, ale ona nie miała ślicznej buzi pani Alison i nie miała nadziei wydać się za mąż za maklera. No, prawdę mówiąc nie miała w ogóle ochoty wyjść za mąż. - Co ja mam zrobić? - powtórzyła głośno. W pokoju nie było jednak nikogo, kto mógłby jej udzielić odpowiedzi na to pytanie.

Liz oparła głowę na dłoni. Czuła, że za chwilę się rozplacze, ale nie chciała do tego dopuścić. Od paru miesięcy nieustannie wylewała łzy. Nie, nie będzie płakać.

Postanowiła zrobić sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. Kiedy gotowała wodę, myślała, że nagle jakby znalazła się w pułapce. Musiała z niej wyjść, musiała, rozpaczliwie pragnęła wydostać się z niej. Ale wyjścia nie było. Nie było. W tym momencie jednak coś się w niej zbuntowało. Niemożliwe, żeby wyjścia nie było! Jak przez mgłę usłyszała nagle słowa pani Daisy:

- Nie można się poddawać... Trzeba tylko chcieć...

A potem głos pięknego skrzypka:

- Każdy żyje, jak chce. A przynajmniej powinien próbować tak żyć... Trzeba samemu kształtować swoje życie, a nie pozwalać, by ono nas kształtowało...

Zaniosła kawę do pokoju i piła ją powoli, małymi łykami. Czy mówiono jej to tylko tak sobie, pocieszając ją zdawkowo, czy też była to jakaś głębsza prawda? Bo rzucić parę słów jest łatwo...

Ale jakże ona ma dokonać tego cudu, by żyć jak chce? Nie, to niemożliwe, by tyle w jej życiu się zmieniło. Tyle. No właśnie, ile?

Wiedziona nagłym impulsem Liz otworzyła szufladę znajdującą się pod blatem stolika i wyciągnęła papier listowy ciotki Fanny oraz długopis. Starannie wykaligrafowała na górze białej kartki: „Co trzeba zmienić w życiu Liz Hartley”. I zamasyście podkreśliła nagłówek. A potem pisała szybko to, co przychodziło jej do głowy:

1. Wyprowadzić się z tej dzielnicy
2. Znaleźć pracę
- 3.

Postawiła kropkę za punktem trzecim i zastanowiła się przez chwilę. A potem napisała:

3. Stać się kimś innym.

Przyjrzała się ostatniemu zdaniu i wzruszyła ramionami, bo wydało jej się to bardzo dziecinne. Jakże można stać się kimś innym? Musiałaby być ładna, szczupła, wysoka, mieć piękne, lśniące falujące włosy jak dziewczyny na okładkach czasopism... Musiałaby poprawnie się wysławiać... Jakże może stać się kimś innym? Taka już się urodziła! Ma taką a nie inną figurę, taki a nie inny kolor włosów...

Nagle poczuła, że z emocji płoną jej policzki. Kolor włosów... Można zmienić kolor włosów! I można zmienić figurę! Musi po prostu schudnąć! I to dużo. Co najmniej dwadzieścia funtów. A na nogi ubrać pantofle na obcasach, nawet na bardzo wysokich obcasach, wtedy będzie wyższa. No i makijaż. Pani Alison mówiła wszak, jak ważny jest odpowiedni makijaż. Obiecała pomóc Liz w tym względzie i na pewno dotrzyma słowa. A jeśli Liz ją poprosi, na pewno doradzi jej też, w co się ubierać, żeby ładnie wyglądać. Bo pani Alison zawsze tak ładnie wygląda.

Liz gorączkowo zaczęła przerzucać pisma dla pań, które miała zanieść ciotce Fanny. Nie miała czasu ich wyrzucić i dobrze zrobiła. Kiedy je przeglądała poprzednio, zauważyła, że w jednym z nich na kilku stronach podana była specjalna dieta odchudzająca. Nosila tytuł: „Trzy funty w ciągu siedmiu dni”. Gdyby straciła trzy funty w ciągu siedmiu dni, potrzebowałaby około dwóch miesięcy, by schudnąć tyle, ile wydawało jej się konieczne. Dwa miesiące to całkiem niedługo! Przebiegła oczyma barwnie ilustrowane strony. Zalecano danie z kalafiora bez ziemniaków, szpinak z jajkiem smażonym na patelni bez tłuszczu, zapiekany bakłażan nadziewany ryżem... Potrawy odchudzające składały się głównie z jarzyn, zdarzała się też ryba. Wszystko było raczej łatwe do przyrządzenia, a poza tym jarzyny nie

były na szczęście drogie. Zrobię to, pomyślała Liz, zrobię to. I pod punktem trzy zapisała na swojej liście:

A. Zmienić wygląd - ufarbować włosy, schudnąć, inaczej się malować i ubierać,
A po namyśle dopisała:

B. Nauczyć się poprawnie mówić.

C. Wyrzucić dzinsowe spodnie.

To ostatnie chciała zrobić nie tylko dlatego, że pani Alison bardzo rzadko nosiła spodnie, a jeśli już je nosiła, były one elegancko uszyte z dobrego materiału. Liz postanowiła sobie przede wszystkim, że nigdy nie włoży tego samego, co nosił przyszczaty chłopak z metra.

Po południu przyszła pani Dick. Wydała się Liz nieco zakłopotana.

- Nie chcę ci przeszkadzać, Betty - powiedziała. Wymawiała słowa powoli, jakby musiała zastanowić się nad każdym z nich.

- Proszę wejść - Liz otworzyła szerzej drzwi. Prawdę mówiąc pani Dick przeszkadzała jej. Kartka z zapiskami Liz leżała ciągle na stole, a Liz miała coraz bardziej intensywne wypieki na policzkach. Zastanawiała się właśnie, czy kolejność punktów na kartce jest prawidłowa, czy nie powinna jej zmienić. Bo co było najważniejsze? Wszystko wiązało się ze sobą. Kiedy się wyglądało i mówiło jak ona, trudno było znaleźć mieszkanie w dobrej dzielnicy. Nie byłoby ją stać zresztą, by za nie zapłacić, póki nie dostanie dobrej pracy i dobrej pensji. A gdy się szuka pracy i podaje się dobry adres nie mówiąc już o tym, że dobrze się wygląda - łatwiej jest dostać dobre miejsce. Jednak żeby schudnąć, potrzebowała czasu i nic na to nie mogła poradzić... Najłatwiejsze wydawało się ufarbowanie włosów, zadbanie o twarz i kupienie nowego ubrania. Oszczędności miała tyle co nic, ale jednak je miała - był to skutek długoletnich perswazji ciotki Fanny. Zaraz jutro może pójść do pani Alison i poprosić ją o radę, jak się ma ubierać.

- Proszę siadać, pani Dick - powiedziała do sąsiadki starając się, by ta nie wyczuła jej nastroju.

Pani Dick usiadła i przez chwilę posapywała ciężko. Swoim zwyczajem nic nie mówiła, a Liz, przyzwyczajona do tego, czekała.

- Biedna Fanny - odezwała się w końcu pani Dick. Liz pokiwała głową.

- Napije się pani herbaty? - zapytała.

- Dziękuję, właśnie piłam.

- Ładna pogoda, prawda - powiedziała Liz.

- Tak - odparła pani Dick. Znow zapadło milczenie.

- Wiesz, tak pomyślałam, Betty...

- Proszę mówić do mnie Liz.

- Tak pomyślałam, Liz, że teraz, kiedy nie ma już naszej biednej Fanny, powinnaś wyjść za Toma.

Liz ze zdumienia aż rozchyliła usta.

- Nie będziesz przecież mieszkać sama. Tom...

- Czy to on panią tu przysłał? - zapytała bez ogródek Liz.

- Tak, ale ja całkiem się z nim zgadzam. On potrzebuje żony, a ty męża.

Ja nie potrzebuję męża, chciała powiedzieć Liz, ale zamiast tego zapytała:

- A dlaczego nie przyszedł sam? - nagle dostrzegła komiczną stronę tej rozmowy. Oto kawaler oświadczał jej się przez mamusię!

- Był taki spłoszony.

- Chyba speszony. Ale skoro ja go peszę, jakże to możliwe, że chce się ze mną ożenić? -

Liz z trudnością powstrzymywała śmiech.

Pani Dick spojrzała na nią podejrzliwie.

- Nie chcesz Toma? - spytała obrażonym głosem. - Nie znajdziesz nikogo lepszego.

Liz poczuła nagłą złość.

- Znajdę, pani Dick. Jeśli będę chciała wyjść za mąż, na pewno znajdę - powiedziała pochylając się ku sąsiadce.

Pani Dick zerwała się z kanapy z żywością, jakiej Liz nigdy by się po niej nie spodziewała.

- Gdyby biedna Fanny to słyszała - syknęła. - Coś podobnego.

Liz zreflektowała się. Pani Dick była jej gościem i przyszła w dobrej wierze. Trudno ją winić, że jest taka, jaka jest.

- Przepraszam, pani Dick. Proszę się nie gniewać. Ja... Ja jestem taka wytraconą z równowagi.

Pani Dick z godnością skierowała się ku drzwiom.

- Przyjdę innym razem. Za parę dni będziesz się lepiej czuła. - Przy samych drzwiach odwróciła się - Taka młoda osoba nie powinna mieszkać sama. Ludzie wezmą cię na języki, Betty.

- Ja nie będę tu mieszkać - wyrwało się Liz. Oczy pani Dick zaokrągliły się ze zdumienia.

- O! A gdzie?

- Wyprowadzam się.

- A co z tym domem? Przecież to twój dom!

- To dom ciotki Fanny, a nie mój.

- Ciotka zapisała go tobie, na pewno.

- To prawda. Ale ja go sprzedam.

I w tej chwili, kiedy Liz mówiła te słowa, pojęła, że właśnie to powinna zrobić. Sprzedać ten dom i zapomnieć o nim i o tej dzielnicy. O pani Dick i jej synu, który nawet nie potrafił zaproponować jej jak należy, by wyszła za niego. O sąsiadkach, które na pewno wezmą ją na języki. Dom - o ile te parę pomieszczeń pod dachem można było nazwać domem, bo nie miał wszak nawet własnych czterech ścian, ściany boczne były wspólne dla każdego z dwóch kolejnych domów - nie mógł być wiele wart. Prócz kuchni miał jedno pomieszczenie na dole i dwa pokoje na górze. Łazienki nie było, jedynie komórka do mycia, gdzie na usilne prośby Liz zainstalowano przed dwoma laty ogrzewacz wody, brodzik i prysznic. Kupiec prawdopodobnie znalazłby się jednak - właśnie dlatego, że cena nie mogła być wysoka.

- Chcesz sprzedać dom? - w głosie pani Dick było prawdziwe przerażenie. - Chyba nie jesteś tak lekkomyślna! Masz dach nad głową, który należy do ciebie. Nikt cię stąd nigdy nie wyrzuci. I nie musisz płacić czynszu. Opamiętaj się, Liz! Co ci też przyszło do głowy!

Liz pomyślała nie bez rozbawienia, że pani Dick odchoruje chyba tak długą przemowę.

- Sprzedam go na pewno. Gdyby pani знаła kogoś, kto chciałby go kupić, proszę mnie powiadomić. Bardzo potrzebuję pieniędzy.

- Ale gdzie będziesz mieszkać?

- Wynajmę coś.

- Wynajmiesz? Wiesz, ile to kosztuje? A w dodatku właściciel w każdej chwili może cię wyrzucić!

- Nie, nie tak w każdej chwili. Podpisuje się przecież odpowiednie umowy.

- Umowy - sapnęła pani Dick. - Pozbywać się własnego domu dla jakiś mieszkań na umowy!

Skoro razem z mieszkaniem pozbędę się pani, warto spróbować, pomyślała Liz. Ale nie odezwała się już.

- Do widzenia, Liz - powiedziała pani Dick ponuro, podkreślając przesadnie słowo Liz.

- Dobranoc, pani Dick - powiedziała Liz. Nie wątpiła, że sąsiadka uda się natychmiast do wszystkich zaprzyjaźnionych z nią kobiet w pobliżu i przy herbacie długo i z lubością będą roztrząsały tę niewiarygodną nowinę, że Liz Hartley po śmierci ciotki zwariowała.

Może i zwariowała, pomyślała Liz z wisielczym humorem, ale na pewno raz na zawsze pozbyłam się konkurów Toma Dicka!

Wieczorem Liz znowu poczuła głód, ugotowała więc sobie parę ziemniaków i otworzyła puszkę z gotowaną wołowiną i puszkę z groszkiem. Kiedy jadła, patrzyła na listę, którą sporządziła wcześniej. „Nauczyć się poprawnie mówić”. No cóż, łatwo powiedzieć. Czy mam dać ogłoszenie do gazety: nie wykorzystałam lat spędzonych w szkole, bo byłam głupia, i szukam kogoś, kto nauczy mnie mówić? Ale, zapewne otrzymałaby odpowiedź na to ogłoszenie, ale nikt nie zrobiłby tego z dobrego serca.

- Muszę poradzić sobie sama - powiedziała głośno. I zachciało jej się śmiać. Może pani Dick miała jednak rację, że zwariowała. Mówienie do siebie jest podobno jednym z objawów.

Wstała i otworzyła telewizor. Dwaj jeźdźcy na koniach pędzili przez pustynną równinę. Zmieniła kanał. Tu też był jakiś film - kreskówka dla dzieci. Na następnym jakaś pani w średnim wieku rozmawiała ze starszym dżentelmenem. To nie był film, ale prawdopodobnie jakiś wywiad.

- Ustosunkowanie się do tej analizy wymaga wnikliwego przygotowania - mówił siwowłosy dżentelmen. Mówił pięknie, tak właśnie jak pragnęła mówić Liz.

Liz o mało nie roześmiała się głośno. Że też nie przyszło jej to wcześniej do głowy! Telewizor! Musi uważnie słuchać. Nie, nie dialogów filmowych, bo filmy wciągają i śledzi się akcję nie zwracając uwagi na nic innego. Trzeba słuchać właśnie takich rozmów. Dyskusji, wywiadów, wiadomości. Słuchać i starać się powtarzać za mówiącym. Wyłapywać różnice w stosunku do własnej wymowy. Starannie wymawiać. A potem ćwiczyć.

- Zasadnicze punkty pańskiej hipotezy nie odbiegają od sformułowań opublikowanych wcześniej przez pańskiego promotora - mówiła dama i uśmiechała się czarująco do siedzącego obok niej mężczyzny.

O czym oni właściwie mówią, zastanowiła się Liz. O coś im przecież musi chodzić, inaczej nie nadawano by tego w telewizji. Dlaczego jednak ja nic nie rozumiem? Co to jest właściwie analiza? Co znaczy słowo hipotezy? Promotora? Święty Boże, przecież z tych zdań nic dla mnie nie wynika! A musi coś wynikać!

Zniechęcona odstawiła na bok pusty talerz. Przecież ja nie tylko nie umiem prawidłowo wymawiać wielu słów, ja nawet nie znam ich znaczenia, pomyślała zgnębiona. Nie rozumiem własnego języka! To jeszcze jedna przeszkoda do pokonania. Ale skoro tak wielu ludzi mówi, jak należy, na pewno można ją pokonać!

Mieszkanie dla Liz wyszukała pani Alison.

Kiedy Liz - nie bez pewnych zahamowań - wyjawiała jej swe przemyślenia i decyzje, pani Alison zaaprobowwała je całkowicie.

- Zawsze byłam zdania, że młoda kobieta nie ma żadnej przyszłości w twojej dzielnicy - powiedziała. - Ludzie żyją tam jak na innej planecie. No cóż, ciotka Fanny i pani Dick urodziły się tam. Widocznie uważały, że tak już musi być. Ale to nie jest właściwy punkt widzenia. Jesteś bardzo młoda, Liz, i wiele możesz zmienić w swoim życiu. Musisz jednak zdawać sobie sprawę, że nie będzie to łatwe. I nic ci się nie uda z dnia na dzień. Obawiam się, że natkniesz się na spore trudności. Rzecz w tym, żebyś była wytrwała. Wytrwałość to bardzo ważna cecha.

- Będę wytrwała.

- Natychmiast trzeba napisać ogłoszenie w sprawie sprzedaży domu. Jeśli jesteś zdecydowana...

- Jestem zdecydowana. Ale najpierw muszę chyba poszukać mieszkania, bo gdzie się wyprowadzę, jak sprzedam dom!

- Dużo za niego nie dostaniesz, zdajesz sobie z tego sprawę?

- Tak.

- Mam jednak nadzieję, że starczy ci ze sprzedaży pieniędzy na opłacenie jakiegoś lokum przynajmniej na kilka miesięcy.

Liz nie wiedziała, co znaczy słowo lokum, ale domyślała się, że chodzi o mieszkanie.

- Tylko na kilka miesięcy? - przeraziła się. - Myślałam, że na dłużej!

Pani Alison zamyśliła się, dołała sobie herbaty. Siedziały z Liz w jasnej, przestronnej kuchni córki Bena i jadły herbatniki wyjęte właśnie z pieca przez przychodzącą pomagać pani Alison w prowadzeniu domu Murzynkę. Ciastka posypane były drobno pokrojonymi migdałami i smakowały wyśmienicie. Liz pomyślała, że poprosi Dolly - tak miała na imię Murzynka - o przepis.

- Niewątpliwie można znaleźć pokoje umeblowane po niższej cenie - powiedziała z wahaniem pani Alison - ale miałam wrażenie, że chodzi ci o coś innego.

- Chciałabym pokój z małą kuchenką, albo przynajmniej niszą do gotowania. I koniecznie musi być łazienka - oświadczyła zdecydowanie Liz.

- Rozumiem - pani Alison pokiwała głową. - Po prostu mały apartament.

- I koniecznie w tej dzielnicy, gdzieś niedaleko.

- Liz, tu jest bardzo drogo. Tego, co dostaniesz ze sprzedaży domu, naprawdę nie wystarczy ci tu na dłużej niż kilka miesięcy. Może poszukasz gdzieś bliżej centrum. Tam jest taniej.

- Nie. Muszę mieć dobry adres.

- Rozumiem - powtórzyła pani Alison. I Liz wiedziała, że córka Bena, która urodziła się w mieszkaniu nad sklepem swego ojca, rozumie ją naprawdę.

- Może uda mi się znaleźć jakąś dobrą pracę. A jeśli nie, będę robić cokolwiek. Mogę pracować od rana do późnej nocy. Zarobię na to mieszkanie.

Pani Alison mieszła w zamyśleniu herbatę.

- W pobliżu mojego domu na pewno nie ma możliwości wynajmu mieszkania.

Wszędzie wokół są jednorodzinne domy. Ale trzy przecznice dalej, tam, gdzie chodzę do fryzjera, wybudowano parę lat temu kilka nowych trzypiętrowych budynków mieszkalnych. Właśnie mój fryzjer mieści się w jednym z nich i u fryzjera słyszałam, że jeden z domów był w remoncie i są tam teraz mieszkania do wynajęcia... Domy są bardzo ładne. Stoją w dość znacznej odległości od siebie, mają niewielkie balkony, na dole jest kilka butików. Zielen wokół jest dobrze utrzymana. To byłoby idealne miejsce. Wiesz, gdzie to jest?

- Nie.

- Musisz sobie obejrzeć. W każdym domu na dole jest portier. On będzie wiedział, czy jest jeszcze coś wolnego. Nie wiem tylko, czy nie będzie jednak za drogo.

- Zaraz jutro pójde się dowiedzieć - powiedziała Liz.

Okazało się jednak, że nie będzie musiała czekać do jutra. Jeszcze tego samego wieczoru niebieski samochód pani Alison zatrzymał się przed domem Liz. Liz myła właśnie okna i zobaczyła go już u wylotu ulicy. Rzuciła wszystko i pobiegła do drzwi.

- Liz, dobre nowiny - zawołała pani Alison opuściwszy szybę w oknie samochodu. - Wsiądź do mnie na chwileczkę. Byłam u ojca i wracam do domu. Mam nadzieję, że masz parę minut czasu?

- Oczywiście.

- No, to jedziemy - rzekła pani Alison, gdy Liz wsiadła do środka. I ostro ruszyła z miejsca.

- Dokąd? - przestraszyła się Liz. - Przecież ja nie jestem ubrana! Myłam okna. Nie mogę się tak nikomu pokazać!

- Nie musisz. To tobie coś pokażemy. Mam dla ciebie mieszkanie. To, o którym wspominałam. Tak mnie ta sprawa męczyła, że zadzwoniłam do Lili, mojej fryzjerki. Czesze mnie już sześć lat i jesteśmy w bardzo dobrej komitywie. Ma też drobne zobowiązania wobec mnie, bo poleciłam jej kuzynkę do sprzątnięcia u mojej znajomej. Mniejsza z tym. W każdym razie poprosiłam Lili, żeby w czasie przerwy na lunch zorientowała się, czy nie mają w tych domach czegoś wolnego. No i mają. Wyobraź sobie Liz, że mają!

- Niemożliwe! - Liz na chwilę zabrakło oddechu.

- Możliwe - śmiała się Anna Alison - Lili podała mi numer telefonu właściciela i zaraz tam zadzwoniłam. Remont opóźnił się trochę i jedna klatka schodowa jest jeszcze nie wykończona, cała jest wolna. Ale za miesiąc można się wprowadzać!

Liz wcisnęła się głębiej w miękkie oparcie samochodu. Po prostu zakręciło jej się w głowie.

- Można się wprowadzić za miesiąc - powtórzyła za panią Alison.

- Mieszkania są dwupokojowe. To typowe garsoniery. Mieszkają tam młodzi urzędnicy, sekretarki, nauczyciele ze szkół publicznych. Przeważnie ludzie samotni.

- Dwupokojowe? - przestraszyła się Liz. - Nie będzie mnie stać...

- Masz szczęście - roześmiała się pani Alison. - Na każdym piętrze znajdują się po dwa mieszkania. Ale na parterze jest tylko jedno, bo obok jest zakład kosmetyczny. To mieszkanie, właśnie ze względu na ten zakład, jest mniejsze o jeden pokój. I oczywiście o jeden pokój tańsze!

- Ile będzie kosztowało? - Liz nie potrafiła ukryć drżenia głosu.

- Powiedziałam, że masz szczęście, kochanie. Otóż jest to do uzgodnienia. Bo właściciel zgodziłby się obniżyć czynsz, gdybyś podjęła się splątania klatki schodowej. A uprzedzam, że nie jest to takie łatwe. Na dole jest dość duży hall, który trzeba myć, bo wyłożony jest płytami, a na schodach są chodniki. Trzeba je trzepać. Poza tym kwiaty. Trzeba je myć i podlewać. Mycie okien, zdaje się, nie wchodzi w rachubę. Do tego przychodzą co jakiś czas czyszciciele. Ja nie mogłam podjąć za ciebie decyzji, ale zdaje mi się, że powinnaś się zgodzić.

Liz milczała przez chwilę. Właściwie nie tak to sobie wyobrażała. Chciała mieszkać w pięknym domu i czuć się jak dama, nie zaś być w nim sprzątaczką. Chciała, by sąsiedzi z mieszkań obok traktowali ją jak równą sobie. Jak będą ją traktowali, gdy zobaczą, że sprząta schody?

Pani Alison spojrzała na nią kątem oka.

- Nie myśl, że cię nie rozumiem, Liz - powiedziała miękko. - Ale zdaje się, że nie masz wyboru. Pomyśl po prostu, że wszystko w życiu ma swoją cenę. Coś za coś. Wiesz dobrze, że nie można jednocześnie mieć ciastko i zjeść je. Trzeba się czasem zdecydować na jedną z tych rzeczy. Skoro zdecydowałaś, że chcesz mieszkać tak, a nie inaczej, musisz ponieść związane z tym koszty. Wszelkie koszty.

Liz westchnęła. A potem odrzuciła głowę do tyłu. Anna Alison miała rację. Liz nie może przecież wymagać, żeby wszystko samo spadło jej z nieba i żeby jej droga była usłana różami.

- Przyjmę to sprzątnięcie - powiedziała stanowczo. - Tak czy tak zdawałam sobie sprawę, że będę musiała dużo pracować.

- Jesteś dzielną dziewczyną, Liz.

- I cieszę się, że trzeba się wprowadzić dopiero za miesiąc. Może trochę schudnę do tego czasu. I... - Liz zawahała się.

- I co jeszcze, Liz? - zapytała łagodnie pani Alison.

- Muszę do tego czasu ufarbować włosy - wyznała Liz.

- Rozumiem - uśmiechnęła się pani Alison.

Liz przywiozła swoje rzeczy do nowego mieszkania wieczorem. Był już kwiecień i zmierzch zapadał dość późno, jednak Liz czekała cierpliwie. Chodziło jej o to, iż uznała swoje meble za bardzo skromne i nie chciała, by któryś z jej sąsiadów je zobaczył. Ku jej zadowoleniu większość okien w mieszkaniu była ciemna. Prawdopodobnie mieszkańcy nie wrócili jeszcze po pracy do domu. Potem przypomniała sobie, że niektóre mieszkania w jej klatce schodowej były nie wynajęte.

Jimmy Jones, jeden z dawnych znajomych ciotki Fanny, który kupił od Liz dom dla swego syna, przeniósł jej meble z furgonetki do mieszkania. Pomagał mu szwagier, poczciwy, ale mało rozgarnięty człowiek. Kiedy wszedł on za Liz do przestronnego holu i zobaczył siedzącego tam portiera, zdjął pospiesznie czapkę i aż zagwizdał.

- Ale szykany, fiu, fiu - powiedział z naiwnym zachwytem. - Chyba ci ciocia pieniądze zostawiła, Betty.

Liz była niezadowolona, że szwagier Jonesa zwrócił się do niej tak poufale przy portierze, z drugiej strony jednak jego podziw sprawił jej przyjemność. Miała nadzieję, że szwagier okaże się gadatliwy i pani Dick dowie się szczegółów o jej nowym mieszkaniu.

Także Jones obejrzawszy dokładnie jasnokremowe, gładkie tapety i szarą miękką wykładzinę na podłodze rzekł z uznaniem:

- Klasa! Doradzę mojemu synowi takie tapety. Moja mówiła mu, żeby kupił w rzucik, ale takie są klasa! Mam nadzieję, że będzie się tu pani dobrze mieszkało, panno Liz.

Liz o mało nie wypuściła z rąk pudełka z naczyniami. Jones znał ją od dziecka i dziś po raz pierwszy zwrócił się do niej panno Liz. No proszę, ile mógł zdziałać dobry adres i piękny kolor tapet!

Kiedy obaj mężczyźni wnieśli meble - a Liz zabrała z mieszkania cioci tylko najpotrzebniejsze sprzęty, wszystkie pozostałe zaś sprzedała - w furgonetce pozostały już tylko dwie walizki i duża, płócienna torba na ramię z ubraniami. Liz podziękowała za przewóz i pomoc, i pożegnała się z sąsiadami. Walizki były lekkie i mogła je bez trudności wnieść sama.

Akurat gdy furgonetka odjechała, przed wejściem zatrzymał się mały, sportowy samochód. Liz chwyciła mocno walizki i pospieszyła do domu.

- Hallo, proszę pani, torba - zawołał za nią męski głos. No tak, zostawiła torbę na chodniku!

- Pomogę pani. Proszę dać mi walizki. Nie, nie, torbę też wezmę - mężczyzna już był przy niej i wyjmował jej z rąk bagaż.

- Wprowadza się pani? Ja wprowadziłem się przedwczoraj. Mieszkam na drugim, a pani?

- Ja mieszkam już tutaj, na dole - wyjąkała Liz, nieco zmieszana. I pomyślała, że w jej dawnym miejscu zamieszkania żadnemu mężczyźnie nie przyszłoby do głowy ofiarować pomoc kobiecie przy przenoszeniu walizek.

- O, to ma pani wygodnie. A ja muszę iść na drugie piętro. Przyznam się, że zastanawiałem się długo, czy wziąć to mieszkanie, skoro nie ma windy. Ale zdecydowałem się, bo stąd mam blisko do pracy, a nie lubię bardzo wstawać. A pani? Jest pani skowronkiem czy sową?

- Ja... Ja nie wiem - rzekła bezradnie Liz. Nie miała zupełnie pojęcia, o co chodzi. - Tu mieszkam.

Mężczyzna postawił walizki na podłodze.

- Pani pozwoli, że się przedstawię - powiedział. - Nazywam się Pierre Moreau.

- Liz Hartley - prawdę mówiąc poraż pierwszy ktoś przedstawiał się Liz tak oficjalnie. Czy miała podać mu rękę? Wyciągnęła ją niepewnie, a nowy znajomy energicznie nią potrząsnął. Teraz dopiero, kiedy stał naprzeciw niej, Liz mogła mu się przyjrzeć. Był

niewysoki, bardzo szczupły, i drobny. Twarz miał smagłą, duże, ciemne oczy i bujną, czarną czuprynę. Ładny, młody i dobrze ubrany mężczyzna.

Liz zmieszała się jeszcze bardziej.

- Dziękuję panu za pomoc - powiedziała.

- Gdyby coś jeszcze, to zaraz służę. Może pani dzwonić do mnie o każdej porze prócz wczesnego ranka - roześmiał się. - Rano mam bardzo dobry sen i nawet zdarza mi się spóźnić do pracy. Na szczęście patrzę na to przez palce. Jestem dealerem w banku. W „Banku Thompsona” - wyjaśnił.

Nazwa „Bank Thompsona” nie Liz nie mówiła. Nie wiedziała też, co to jest dealer. Stała i patrzyła na Pierra Moreau dość niepewnie. I czuła, jak narasta w niej złość na samą siebie. Nie potrafiła prowadzić nawet takiej zwyczajnej rozmowy. Nawet na to była za głupia.

- Dobranoc - rzekł Pierre Moreau. - Boże, jak ja tu wytrzymam bez windy - mruknął kierując się ku schodom. - Acha - zatrzymał się na pierwszym stopniu - był u mnie sąsiad z trzeciego. W weekend organizuje drinka, żebyśmy się wszyscy poznali. Na pewno wpadnie do pani. Na wszelki wypadek proszę zarezerwować sobie wolny sobotni wieczór.

- Ja mam bardzo dużo roboty w mieszkaniu...

- No tak, ja też będę się jeszcze rozpakowywał w weekend. Dobranoc.

- Dobranoc.

Liz wniosła walizki do korytarza, zamknęła za sobą drzwi na klucz i oparła się o nie plecami. Jaki uprzejmy i czarujący człowiek. Niewątpliwie Francuz. Od razu, kiedy usłyszała jego wymowę z charakterystycznym, ostrym r, przypuszczała że to cudzoziemiec. To także tłumaczyło jego rozmowność. Żaden z jej ziomeków nie byłby tak bezpośredni! A może... Może ci ludzie tutaj, wykształceni, zadowoleni z życia, są inni...

Dzięki Bogu, że włożyła swój nowy kostium! Początkowo zdecydowała się na trykotową bluzkę i spódnicę - spodni za radą pani Alison już nie nosiła - bo obawiała się, że się pobrudzi przy przeprowadzce. Potem jednak pomyślała, że skoro Jimmy Jones i jego szwagier przeniosą meble, nie musi się obawiać zniszczenia kostiumu. A gdyby kogoś spotkała... No i okazało się, że słusznie postąpiła!

Pobiegła do łazienki, gdzie wisiało duże lustro i zapaliła światło. No, nie wyglądała źle! Beżowy kostium, który pomogła jej wybrać pani Alison, miał żakiet z kołnierzem jak męska marynarka, dwurzędowe zapięcie i wąską, lekko rozciętą z tyłu spódnicę. Do tego Liz nosiła zwykłą, białą koszulową bluzkę. Wprawdzie, kiedy były z panią Alison w sklepie, chciała kupić do kostiumu bluzkę w niebieskie kwiaty, z szeroką falbanką przy szyi, po prostu słodką bluzeczkę i wcale niedrogą, ale pani Alison jej odradziła.

- Kostium ma charakter klasyczny, Liz. Falbanki do niego nie pasują - powiedziała. - Zresztą tak duże kwiaty...

- Pogrubiają? - domyśliła się Liz.

- Nie tylko. One są - pani Alison zawahała się - są w złym guście, Liz. Krzykliwe kolory i krzykliwe wzory zwracają uwagę i bywają wyzywające. A elegancka kobieta nigdy nie ubiera się wyzywająco.

Liz bluzka w niebieskie kwiaty bardzo się podobała, ale bez słowa usłuchała pani Alison. Skoro tak mówiła... Liz miała do niej zaufanie i postanowiła zapamiętać jej słowa.

- Im prostszy fason, tym lepiej, Liz. I jak najmniej ozdób. No, chyba że masz broszkę z brylantów albo prawdziwe perły - roześmiała się.

Liz doskonale pojęła, o co chodzi pani Alison. Córka Bena nie chciała jej po prostu sprawiać przykrości i powiedzieć wprost, by nie nosiła plastikowych klipsów i bransoletek.

Kiedy pani Alison poradziła jej kupić zwykłą, białą bluzkę, Liz nie bardzo była zadowolona.

- Ostatnio miałam na sobie taką bluzkę, kiedy dyrektorka szkoły kazała mi wręczyć kwiaty lady Jakiejśtam, która wizytowała lekcje - powiedziała.

- A zatem odmłodziś się - roześmiała się pani Alison.

Teraz jednak Liz patrząc w lustro musiała przyznać, że bluzka pasowała do kostiumu idealnie. Wyglądała jak sekretarka z „Ulicy w wielkim mieście”, pomyślała. „Ulica w wielkim mieście” była tasiemcowym serialem, którym ostatnio wszyscy się pasjonowali.

Z dumą potrząsnęła głową. Tak, tak właśnie wyglądała. W nowym kolorze włosów i nowej fryzurze bardzo było jej do twarzy. Żeby jeszcze tylko schudła. Chociaż przestała jeść ciepłe kolacje i nie wzięła od miesiąca do ust żadnego ciastka, schudła tylko trzy funty. Prawie wcale nie było tego po niej widać.

- Nie martw się, Liz - pocieszyła ją pani Alison. - Kiedy schudniesz jeszcze trzy, będzie to razem sześć. I wtedy już na pewno zauważysz. A po kolejnych sześciu będziesz musiała przerobić wszystkie sukienki i ściśniesz się w tali jak osa.

Liz westchnęła. Odchudzanie było koszmarne! Stale była głodna. Nie mówiąc już o tym, że bardzo lubiła słodczyce i wyrzeczenie się kawałka świeżego, pachnącego ciasta naprawdę stanowiło dla niej problem. Pocieszała się jednak tym, że przynajmniej robi oszczędności. A te naprawdę były konieczne!

Wszystko, co sobie zaplanowała, było bardzo kosztowne. Z mieszkaniem nieoczekiwanie poszło lepiej niż przypuszczała.

Cena wynajmu, zważywszy, że Liz miała dbać o klatkę schodową, była umiarkowana, zaś za dom ciotki i meble udało się uzyskać więcej niż miała nadzieję dostać. Za radą pani Alison złożyła te pieniądze w banku. Jeśli przeznaczy je wyłącznie na opłacanie mieszkania, starczy jej to prawie na rok. Tak więc na razie o mieszkanie nie musiała się martwić. Pozostawało jednak jeszcze utrzymanie. A pracy Liz nie udało się znaleźć. Owszem, zauważyła, że odkąd chodziła szukać pracy w swym nowym kostiumie, ze starannie uczesаныmi włosami i odkąd podawała nowy adres, traktowano ją grzeczniej. Ale kiedy padało pytanie o kwalifikacje, a Liz odpowiadała zgodnie z prawdą, że nie ma żadnego wykształcenia, odprawiano ją z kwitkiem. Do tej pory znalazła jedynie pracę pomocy kuchennej w barze szybkiej obsługi, pracę prasowaczki w małej pralni oraz pracę sprzedawczyni biletów na stacji metra. Wszędzie tam płacono mało, a praca nie budziła entuzjazmu. Tymczasem wszystkie oszczędności Liz rozeszły się na kupno kostiumu, bluzki, pantofli na wysokich obcasach i na fryzjera. Fryzjer po prostu kosztował majątek!

Pani Alison zaproponowała Liz, żeby skorzystała z usług Lili.

- To dobry zakład, kochanie - powiedziała - a Lili jest doprawdy mistrzynią w swoim fachu. Raz spojrzy na twoje włosy i będzie wiedziała, czego im potrzeba. Farbę, jeśli już się zdecydowałaś na farbę, musi nałożyć fachowiec. Zadzwoń zaraz do Lili i zapytam, czy mogłaby cię przyjąć w przyszłym tygodniu. Zabrałabym cię ze sobą i pomogłabym, gdybyś potrzebowała rady.

Ach, pani Alison doprawdy stała się nieoceniona dla Liz. I wcale nie miała Liz za złe, że ta nie chciała już pracować w sklepie jej ojca. Odwrotnie, powiedziała, że to dobrze się składa, bo teraz już na pewno zdoła namówić ojca, żeby wreszcie zamknął swój skład z żelastwem i przeniósł się do niej, jako że potrzebował opieki.

- Oczywiście zapłacisz Lili więcej niż zapłaciłabyś w pierwszym lepszym zakładzie, ale na pewno będziesz zadowolona - powiedziała pani Alison.

Liz wyraziła zgodę i tydzień później poszła z panią Alison do fryzjera. Już kiedy tam weszła, pojęła, że musi być to bardzo dobry zakład. Prawdę mówiąc poczuła się tam trochę nie na miejscu, widać było bowiem, że przeznaczony był dla bardzo zamożnej klienteli. Składał się z kilku pomieszczeń, gdzieś tam stały wzorzyste, chińskie parawany - prawdopodobnie niektóre klientki pragnęły być czesane w całkowitym odosobnieniu. Personel miał jednakowe, białe sukienki z kołnierzykami z niebieskiego materiału w białe kropeczki. Na ścianach zwisały się gęste girlandy zielonego bluszczu. No i muzyka. Taki sam rodzaj dyskretnej, miłej dla ucha muzyki jak w domu towarowym „U nas”.

Liz spędziła u fryzjera prawie pół dnia. Najpierw Lili przekazała ją w ręce młodej dziewczyny, która starannie wymyła jej głowę. Potem nałożono jej na głowę jakieś białe mazidło i owinięto włosy plastikowym czepkiem. Tak owinięta Liz spędziła dobre pół godziny pod wielkim hełmem suszarki. Wreszcie odbyła się narada - w której wzięła udział i pani Alison - nad kolorem włosów Liz. Lili przyniosła dość dużą, białą tablicę, na której umieszczone były kosmyki włosów w najrozmaitszych kolorach. Liz podobał się najbardziej kolor ciemnorudy, ale Lili uznała, że powinna wybrać jaśniejszy i bardziej stonowany, kasztanowy. Pani Alison zgodziła się z nią.

- Masz zbyt jasną cerę, Liz, żeby nosić tak ciemne włosy. Kontrast będzie zbyt wielki.

- Poza tym ten rudy kolor natychmiast rzuca się w oczy. Widać, że to farba - dodała Lili - podczas gdy odcień kasztanowy wygląda jak naturalny.

Kolor rzeczywiście wyszedł śliczny. Niezbyt ciemny, brązowo-kasztanowy. Lili doradziła też, by włosy przyciąć do ramion.

- Nie są gęste i wydają się być bardzo zniszczone - rzekła. - Trzeba je puścić swobodnie, w żadnym wypadku nie związywać. Musi pani do nas częściej przychodzić, to poddamy włosy specjalnej kuracji.

Liz nie powiedziała wtedy oczywiście, że nie będzie jej na pewno stać na korzystanie z usług Lili. Jednak kiedy zobaczyła, jak zręcznie ręce fryzjerki wyczarowują na jej głowie puszystą, lśniąca fryzurę, pomyślała, że jakoś zaoszczędzi parę groszy i postara się chociaż raz na jakiś czas przychodzić do Lili. Naprawdę było warto. Dotąd Liz zaczesywała wszystkie włosy gładko do tyłu, związywała je gumką w koński ogon i przypinała w miejscu związania czarną, plastikową kokardę ozdobioną sztucznymi perełkami. Teraz Lili rozdzieliła jej włosy na środku i wymodelowała szczotką miękkie pukle wokół twarzy. Liz po prostu nie wierzyła własnym oczom - niemożliwe, żeby jeden pobyt u fryzjera tak mógł zmienić wygląd! A jednak było to możliwe.

I teraz stojąc przed lustrem w swoim nowym mieszkaniu Liz poczuła głęboką wdzięczność dla Lili - nie musiała dzięki jej zabiegom wstydzić się Pierra Moreau. Pierra, który miał takie piękne, czarne oczy.

Z urządzeniem swego nowego mieszkania Liz nie miała problemów. W jednym rogu pokoju kazała postawić kanapę do spania, obok niej stół i jeden z dwóch foteli stanowiących komplet do kanapy. Drugi, niestety, tak był zniszczony, że Liz postanowiła go zostawić. Naprzeciw kanapy ustawiła mały stolik z telewizorem. I to było wszystko. Szafy nie potrzebowała, bo ta znajdowała się w ścianie korytarza. Sięgała od podłogi do sufitu i była bardzo pojemna. Na dole znajdowały się półki na buty, na samej górze półki, które wykorzystać można było na bieliznę osobistą, pościelową i stołową oraz inne drobiazgi. W kuchni znajdowały się dwie małe szafki, należące także do wyposażenia mieszkania-jedna stojąca, a druga wisząca. Kuchenka była bardzo mała. W łazience wisiało dość duże lustro i niewielka szafka z brązowego szkła, zupełnie wystarczająca jak na potrzeby Liz.

Liz zdawała sobie sprawę, jak ubogo wygląda pokój, ale instynktownie pojmowała, że lepiej zostawić w nim trochę przestrzeni niż urządzić go zniszczonymi, tandetnymi meblami ze starego mieszkania. No cóż, kiedyś zgromadzi sobie przecież znowu trochę oszczędności i wtedy kupi coś ładnego. Na razie wytrzyma. Problemem były jedynie firanki. Musi je zawiesić w oknach, bo jakże jej mieszkanie będzie wyglądało z ulicy. Na firanki pieniędzy już praktycznie nie miała, zaś haftowane w kwiatki zasłonki ciotki Fanny zupełnie się do tej dzielnicy nie nadawały. Wytworne, białe firanki były drogie, ale gdyby pochodziła i poszukała, gdyby kupiła resztki... Mogłaby zrobić na razie całkiem małe firaneczki, osobne na każdą szybę. Szyć trochę umiała, nauczyła się pomagając ciotce Fanny. No cóż, od jutra musi się za czymś rozejrzeć.

Po namyśle przeniosła doniczki z kwiatami - a miała ich pięć - do pokoju. Ciotka Fanny hodowała wiele kwiatów, ale niektóre były dziwnie rachityczne, więc Liz zostawiła je i zabrała tylko pięć najbardziej okazałych doniczek. Dwie z nich, z ciemnozielonym, pięknym bluszczem postawiła na oknie. Największą, w której królowała duma ciotki Fanny - najprawdziwsze, dorodne drzewko cytrynowe - postawiła w pustym rogu pokoju. I zaraz wydało jej się, że pokój jakby nabrał urody. Paprotkę umieściła na stoliku obok telewizora. Było tam niewiele miejsca, ale doniczka jakoś się zmieściła. Na piąty kwiatek nie znalazła już odpowiedniego miejsca i wyniosła go do kuchni. Na lodówce będzie mu dobrze.

Rozłożyła pościel na kanapie i oblekła ją w najlepszy komplet, jaki miała, który ciotka Fanny nazywała „gościnnym”. Praktycznie pościel nie była dotąd używana, bo cóż za goście mieli odwiedzać ciotkę i Liz.

A potem Liz zrobiła sobie kąpiel, pierwszą prawdziwą kąpiel w swoim życiu. Bardzo ciepłą, z dodatkiem pachnącej piany. I kiedy leżała w wannie patrząc na wyłożone zielonkawymi kafelkami ściany małej łazienki, poczuła, że zaczyna nowe życie.

Mark, sąsiad z góry, który organizował „zapoznawczego drinka” jak go nazwał, okazał się wysokim, chudym długonogim blondynem, który śmiał się z byle czego, a śmiech jego był bardzo zaraźliwy. Liz, która wahała się, czy pójść na tego drinka, nie potrafiła mu odmówić. A wahała się bardzo. Zdawała sobie sprawę, że sąsiedzi są starsi od niej i należą do ludzi, z którymi się dotąd nie stykała. O czym będzie z nimi rozmawiała? Czy nie będą się z niej śmiali za plecami? Z jej wymowy, z braku ogłady?

Mark jednak nie robił ceregieli.

- Hej - powiedział, gdy otworzyła mu drzwi. - Jestem Mark. Mieszkam wyżej. Chcemy się dziś poznać. Przyjdź o szóstej, dobra?

- O szóstej? - wyjąkała Liz.

- Możesz przyjść prędzej, cała przyjemność po mojej stronie - roześmiał się. - Przynies jakąś butelkę albo trochę puszek.

Liz nie miała pojęcia, jakie trunki pija się na takich przyjęciach.

- Może być cola? - zapytała przytomnie.

- Jasne - zaśmiał się Mark. - Abstynenci mile widziani.

Kiedy Mark poszedł, Liz długo rozważała, czy ma do niego pójść, czy nie. Ale sąsiad był taki miły! A poza tym... Skoro chciała żyć inaczej...

- Nie bądź tchórzem, Liz Hartley - powiedziała głośno.

Przed wyjściem umyła głowę i pomagając sobie szczotką usiłowała się tak uczesać, jak to zrobiła Lili. Rzecz jasna, nie udało jej się to, ale efekt był wcale niezły. Pozostała jeszcze kwestia stroju. Najlepszym ubraniem Liz był beżowy kostium, ale rozumiała, że nie jest to strój na party.

Po namyśle wciągnęła czarną sukienkę, którą kupiła na pogrzeb ciotki. Sukienka zapięcie miała z tyłu, a z przodu dość duży kołnierz. Była wąska i leżała dobrze. A kiedy Liz włożyła ją na siebie, okazało się, że nawet trzy funty, o które schudła, miały swoje znaczenie, bo sukienka nie opinała się na biodrach i na brzuchu, jak poprzednio. Tylko kołnierz z przodu wydał się Liz trochę za dziecinny jak na party. Zdjęła więc suknię, odpruła kołnierz i wycięła dekolt pod szyją. No, nie za dużo, raczej w łódkę niż całkiem okrągło, ale teraz suknia prezentowała się znacznie lepiej. Całe szczęście, że Liz umiała trochę szyć!

Punktualnie o szóstej Liz z kartonem puszek nieśmiało zadzwoniła do drzwi Marka. Otworzyła jej blondynka o długich włosach. Liz widziała ją już wczoraj, gdy wraz z koleżanką wprowadzały się po południu do mieszkania znajdującego się akurat nad mieszkaniem Liz.

- Jak się masz? - zawołała blondynka. - Ty jesteś z dołu, tak? Mam na imię Karen, a tam siedzi Liza, moja współlokatorka.

- Bardzo mi miło. Na imię mam Liz.
- O, świetnie - roześmiała się Karen. - Mamy Liz i Lizę. Chodź do kuchni, upchniemy te puszki w lodówce.

Skierowały się prosto do kuchni, gdzie na szafce - stolików w kuchni nie było ze względu na brak miejsca - stało mnóstwo szklanek, szklaneczek i kieliszków oraz parę butelek.

- Mam nadzieję, że się zmieszczą - powiedziała Karen.

Rzeczywiście lodówka pełna była puszek z piwem i tonikiem, kartonów z sokiem pomarańczowym i butelek. Kiedy weszły do pokoju, Karen przedstawiła głośno:

- To jest Liz z parteru!

- Hej! Witaj na pokładzie! - powiedziała Liza. Miała ciemne, bardzo krótko ostrzyżone włosy i duże, ciemne oczy. Liz miała jednak wrażenie, że Liza musi mieć już ze trzydzieści lat. W kącikach jej oczu rysowały się drobne, ale liczne kreseczki zmarszczek.

- Witam panią - odezwał się młody człowiek w rzucającej się w oczy błękitnej marynarce. - Jestem Will Collins, pierwsze piętro.

- Czego się napijesz? - zapytał gospodarz.

- Coli - powiedziała Liz. Alkohol pijała dotąd bardzo rzadko i nie miała żadnego ulubionego trunku. Zupełnie się na tym nie znała.

W tej chwili rozległ się dzwonek. Mark pospieszył otworzyć drzwi i wprowadził do pokoju dwie bardzo podobne do siebie brunetki o długich, prostych, włosach. Obie miały na sobie czarne spódniczki, bardzo krótkie, i błyszczące bluzki z dość dużymi dekolami. Bluzka jednej była seledynowa, a drugiej kremowa. Za nimi ukazał się Pierre Moreau niosący dwie butelki i karton z puszkami.

- Oto drugie piętro w komplecie - zaśmiał się Mark - Anna i Jane, bliźniaczki...

- Niestety, nie jednojajowe - rzekły chórem bliźniaczki.

- I Pierre, filar bankowości, przyszyły prezes - dodał Mark.

- Co daj Boże - roześmiał się Pierre. - Gdzie mam postawić te dobra? - zapytał wskazując butelki i puszki.

- Ja jestem szefem kuchni - powiedziała Karen i wyprowadziła Pierra z pokoju.

Mark przyniósł Liz puszkę coli.

- Zdaje się, że jeszcze się odpowiednio nie oziębiła - rzekł.

- Nie szkodzi - powiedziała Liz.

- Usiądź koło mnie - odezwała się Liza - Liz i Liza to jest to.

Mark usiadł na kanapie naprzeciw dziewcząt. Obok niego usadowili się za chwilę Karen i Pierre. Bliźniaczki przysiadły na dużym fotelu - były drobne i tak chude, że zmieściły się tam bez trudności. Will Collins usadowił się na krześle.

- Dobrze, że pożyczycie mi krzesła - zwrócił się Mark do Karen i Lizy.

- Ach, mógłbym usiąść nawet na podłodze - rzekł Will. - Całymi dniami stoję w pracy, tak że później jest mi już wszystko jedno, na czym siedzę, byle siedzieć. Jestem nauczycielem - wyjaśnił.

- Czego pan uczy? - zainteresowała się bliźniaczka w zielonej bluzce.

- Mów mi Will. Uczę geografii.

- Proponuję, żebyśmy sobie wszyscy mówili po imieniu - rzekł Mark. - I wznoszę toast. Żeby nam się dobrze mieszkało.

- My jesteśmy bardzo zadowolone - powiedziała bliźniaczka w kremowej bluzce. - I bardzo ci jesteśmy wdzięczne, że powiedziałeś nam o tym mieszkaniu.

- Pracujemy w tym samym szpitalu - wyjaśnił Mark. - Anna i Jane są pielęgniarkami. I uprzedzam was, że jeśli ktoś odważy się strząsnąć popiół z papierosa na klatce schodowej, wyśledzą go natychmiast. A konsekwencje będą straszne - roześmiał się. - Ostatnio dostało się nawet naczelnemu!

- Masz szczęście, że nie palisz - pogroziła mu Jane. Jane nosiła zieloną bluzkę. - Lekarz, który pali - to po prostu zgroza!

- Jakże miałbym przekonywać moich pacjentów o szkodliwości palenia, gdyby z kieszeni wystawała mi paczka papierosów? - roześmiał się Mark.

Liz niespokojnie pokręciła się na swoim miejscu. Mark był lekarzem! No, zapewne początkującym, przecież jest bardzo młody, ale zawsze... A Liz nawet nie skończyła szkoły!

- Od dziecka marzyłam, żeby zostać lekarzem - westchnęła Karen. - Ale zabrakło mi zdolności. No i pieniędzy na studia. Ku wielkiemu rozczarowaniu moich rodziców skończyłam jako sekretarka. A ty gdzie pracujesz? - zwróciła się do Liz.

- Ja właśnie szukam czegoś odpowiedniego - powiedziała Liz.

- W moim banku poszukują sekretarki - Pierre przesiadł się na kanapę obok Liz i Lizy. - Dać ci telefon? - zapytał Liz.

- „Thompson” poszukuje sekretarki? - zainteresowała się Karen. - Moja firma zdaje mi się być na granicy bankructwa. Do jakich kwalifikacji przywiązują największą wagę? - zapytała Pierra.

- Na sto procent ci nie powiem, bo nie interesowałem się tym. Ale z tego, co się orientuję, wiem, że najistotniejsza jest obsługa komputera i przynajmniej jeden obcy język. Najlepiej francuski. Poza tym zapewne to, co zwykle, maszynopisanie, stenografia i tak dalej - rzekł Pierre. - Telex, telefax...

- Nie znam francuskiego - westchnęła Karen. - Tylko niemiecki.

- Przyjdź do mnie na lekcje - uśmiechnął się Pierre.

- Rozważę tę propozycję - Karen także się uśmiechnęła i spojrzała na Pierra mrucząc oczy.

On się jej podoba, pomyślała Liz i nie wiadomo dlaczego poczuła niechęć do Karen. Spojrzała na Pierra. No tak, trudno, żeby się nie podobał. Jego ciemna południowa uroda zyskiwała jeszcze w porównaniu z nieco bezbarwnym Markiem i poważnym Willem, który w dodatku nosił okulary.

- Nie lubię też pracować z komputerem - dodała Karen. - To taka bezduszna maszyna.

- Ależ co ty mówisz - zaprotestował Pierre.

- Zawsze miałam z komputerem kłopoty - westchnęła Karen.

- Widocznie źle cię przeszkolono - rzekł Pierre. - Ale to żaden problem. Zapisz się na jakiś profesjonalny kurs wieczorowy i przerób to wszystko jeszcze raz.

- A ty nie udzielasz lekcji w tym zakresie? - Karen znów spojrzała w oczy Pierra.

- No, niewątpliwie mam dobre kwalifikacje - uśmiechnął się Pierre.

Liz miała wrażenie, że Karen i Pierre wcale nie rozmawiają o komputerach, że chodzi im o coś innego, ale nie pojmowała, o co.

- Na wszelki wypadek daj mi telefon twojego banku - rzekła Karen. - Może warto spróbować.

Pierre wyjął z kieszeni wizytówkę.

- A ciebie to nie interesuje? - zapytał Liz.

- Dziękuję - powiedziała szybko Liz. - Mam coś innego na widoku.

Prawdę mówiąc aż zachciało jej się śmiać, kiedy usłyszała propozycję Pierra.

Komputer! Francuski! I jeszcze ten... No, telefax! Co to w ogóle jest? Spojrzała z podziwem na Karen. Skąd Karen wiedziała to wszystko?! Musiała zapewne długo się kształcić. Chociaż nie wyglądała na szczególnie poważną osobę, która lubi siedzieć z nosem w książkach. I wydawała się być niewiele starsza od Liz.

- Może włączymy muzykę i potańczymy - zaproponowała Liza. - Miałam dziś ciężki dzień i jak się trochę nie rozruszam, zasnę.

- Ja też miałem dziś urwanie głowy - rzekł Pierre. - Dolar spadł tak gwałtownie...

- To z powodu Argentyny - rzekła Liza.

- Niewątpliwie - przyznał Pierre. - Ale miałem przez to prawdziwe urwanie głowy. Musiałem pozbywać się akcji, które wykazywały tendencję zniżkową.

- Obawiam się, że jutro będzie jeszcze gorzej - powiedziała współczująco Liza. - Plan Mac Gregora wydaje mi się karkołomny!

Liz siedziała między Lizą a Pierrem niemal jak na rozżarzonych węglach. Miała nadzieję, że żadnemu z nich nie przyjdzie do głowy wciągać jej do tej rozmowy! Nie rozumiała dosłownie ani słowa z tego, co mówili. Na miłość boską, do czego to podobne, pomyślała, że ludzie mówią w moim własnym języku a ja nie rozumiem o czym! Tak dalej być nie może. Muszę coś z tym zrobić!

Karen wstała i włączyła magnetofon.

- Zatańczymy? - zwróciła się bezceremonialnie do Pierra. Potrząsnęła swoją wspaniałą grzywą jasnych włosów i długie pasmo przesunęło się po policzku Pierra.

A to spryciara, pomyślała Liz. Jak te dziewczyny potrafiły to robić! Raz dwa upatrzyły sobie chłopaka i już go miały! Ach, ona też chętnie zatańczyłaby z Pierrem. Poruszał się wolno, harmonijnie, jego szczupłe zgrabne ciało było jak stworzone do tańca. Co za chłopak! No, nie taki jak tamten ze skrzypcami, ale tamten śnił się jej tylko. Takich jak tamten w rzeczywistości nie ma...

Ku zaskoczeniu i radości Liz Pierre do następnego tańca poprosił właśnie ją. I tańczył tak właśnie, jak myślała: miękko, poddając się bez reszty rytmowi. Nie przyciskał jej do siebie, jak to mieli zwyczaj czynić znajomi z jej ulicy. Nie ścisnął jak tamci jej dłoni, że aż nieprzyjemnie się pociła. I nie sapał jej do ucha.

W tej chwili rozległ się dzwonek do drzwi.

- A to kto? - zdziwiła się głośno tańcząca obok z Willem Jane. - Na trzecim piętrze naprzeciw Marka nikt nie mieszka...

Mark pospieszył do drzwi. To pewnie moja niespodzianka - zaśmiał się.

Gdy otworzył, w drzwiach zobaczyli biało ubranego chłopaka z trzema wielkimi pudłami w kolorowe pasy i napisem „Cirelli”.

- Pizza - zawołała Liza. - Pizza od Cirellego!

- Och, szkoda, że Mark nie powiedział mi, że chciałby pizzę na dziś - wyrwało się Liz. - Ja potrafię upiec dokładnie taką samą. Moja koleżanka, Mary, pracowała dwa lata u Cirellego. Nauczyła mnie wszystkich jego tajemnic.

- Dobrze wiedzieć. Przepadam za pizzą! Nie zapomnij o mnie, kiedy będziesz piekła. Zresztą zapach i tak mnie zwabi - uśmiechnął się Pierre. - I uprzedzam, że jestem bezwzględny! Potrafię zjeść dwie naraz!

- Naprawdę? Mogę upiec jutro na kolację. Ja też bardzo lubię pizzę! - ucieszyła się Liz.

- Czy mam rozumieć, że jestem zaproszony? - światło odbijające się w oczach Pierra zapalało w jego źrenicach czerwone iskierki.

Liz zmieszała się. Czy nie wyglądało to, że narzuca się Pierrowi jak Karen? W końcu nie znała go prawie. Ale jeszcze gorzej byłoby się wycofać.

- Proszę bardzo. Lubisz dużo sera?

- Uwielbiam. I żeby była dobrze przypieczona, jeśli można prosić.

- Ja też taką lubię.

- Wyraźnie jesteśmy pokrewnymi duszami!

Karen i Mark wnieśli do pokoju talerze z parującą pizzą.

- Co za zapach - westchnął Wil. - Po prostu poemat!

- Pisujesz poematy? - roześmiała się Anna.

- No, imię mam jak należy - zawtórował jej Will. - Tylko dalej Collins, a nie Szekspir.

Teraz roześmiali się wszyscy. Także Liz, bo kto to jest Szekspir wiedziała nawet ona. Obsiedli stół, na którym stały talerze z pizzą i zabrali się do jedzenia. Ciasto było znakomite.

Liz obserwowała jedzących. Wszyscy byli tacy mili, bezpośredni, przyjaźnie nastawieni. I wyraźnie dobrze się bawili na tym bezpretensjonalnym przyjęciu. Liz przypomniała sobie spotkania z Mary i innymi koleżankami oraz ich chłopakami. Jakże inaczej wyglądały! Dziewczęta odgrywały księżniczki, które trafiły na spotkanie przez pomyłkę, chłopcy opowiadali ordynarne dowcipy. I każdy dawał do zrozumienia, że jest kimś lepszym od pozostałych.

Przy jedzeniu toczyła się lekka, zabawna rozmowa i wszyscy raz po raz wybuchali śmiechem. Liz naprawdę dawno się tak nie śmiała. Ale odzywała się mało. Nie potrafiła się tak swobodnie włączyć do rozmowy. I nic, co chciałaby powiedzieć, nie wydało jej się ani mądre, ani dowcipne. Nie czuła się jednak źle. Nikt specjalnie nie zwracał na nią uwagi, a jeśli już ktoś do niej coś powiedział, nie chodziło zwykle o rzecz tak istotną, by miała trudności z odpowiedzią. Rozumiała, że nie dorównuje tym ludziom ani wykształceniem, ani swobodą towarzyską, ani obyciem, ale czuła też, że nikt nie traktuje jej źle, wręcz przeciwnie. Włączono ją do towarzystwa i bawiła się znakomicie.

Kiedy Liz obudziła się rano, bolała ją głowa. Party zakończyło się po północy i Liz czuła się niewyspana. Wypiła wczoraj parę koktajli, które znakomicie przyrządził Mark, a do alkoholu nie była przyzwyczajona.

Zrobiła sobie filiżankę gorącej kawy i weszła z powrotem do łóżka. Jak miło było leżeć wygodnie w białej pościeli przybranej falbankami i haftowanej w białe różyczki i patrzeć na kremowe, czyściutkie tapety. No i pić gorącą, pachnącą kawę.

Liz podciągnęła wyżej poduszkę. Miała tyle do przemyślenia! Wczorajsze zebranie wywołało w niej tak różnorodne wrażenia.

Pierwsze, co przyszło jej do głowy już wczoraj, w czasie party, było to spostrzeżenie, że koniecznie musi uzupełnić wykształcenie. Kiedy bowiem zastanawiała się nad swoimi problemami, nad przyczynami niepowodzeń, zawsze dochodziła w końcu do jednego wniosku - brak jej było wiedzy. Dlaczego nie mogła znaleźć odpowiedniej pracy? Bo po prostu nic nie umiała! Dlaczego nie rozumiała nawet najprostszej rozmowy między wykształconymi ludźmi, dlaczego nie rozumiała, o czym mówią w telewizji? Bo nie rozumiała znaczenia wielu słów, za mało uczyła się w swoim czasie. Dlaczego brak jej było pieniędzy? Bo mogła wykonywać tylko najprostsze, najmniej skomplikowane prace - z braku kwalifikacji. Zaś proste prace były nisko płatne. Dlaczego nie potrafiła się odpowiednio ubrać, a nawet właściwie umalować? Bo nigdy nie sięgnęła po odpowiednie wskazówki. Nawet czasopism dla kobiet nie czytała właściwie, tylko oglądała zdjęcia. I co najwyżej czytała plotki towarzyskie. A już gazety codzienne... Uświadomiła sobie nagle, że właściwie nigdy nie miała w ręce gazety codziennej! A z gazety prawdopodobnie dowiedziałyby się, co dzieje się w Argentynie - gdzie właściwie leży Argentyna? - i dlaczego Liza powiązała te wydarzenia ze spadkiem dolara.

Wyskoczyła z łóżka i poszukała kartki i długopisu. Musiała uporządkować ten chaos, który miała w głowie. Pierwsze i najważniejsze zadanie, jakie przed nią stało, to przygotować się do jakiegoś konkretnego zawodu. Kwalifikacje - to było słowo, którego użyła Karen. No więc chodzi o to, aby zdobyć jakieś kwalifikacje. Inaczej nigdy nie znajdzie ciekawej i dobrze płatnej pracy. Musi się po prostu uczyć.

Położyła kartkę na stole i napisała:

1. Nauczyć się zawodu.

Westchnęła. Łatwo powiedzieć! Gdzie się nauczyć? Czego? I czy w ogóle da radę? Nauka w szkole nie szła jej najlepiej. No, prawdę mówiąc nikomu w klasie nie szła dobrze. Młodzież z jej dzielnicy nie lubiła się uczyć i szkołę traktowała jako dopust boży. Chłopcy przeważnie wybierali się do pracy - podobnie jak ich ojcowie - do pobliskiej fabryki konserw, a dziewczyny szybko wychodziły za mąż i rodziły dzieci. Szkoła zabierała tylko czas i nikomu do niczego nie była potrzebna. To znaczy koleżanki i koledzy Liz tak myśleli. No i

Liz także. Wtedy tak myślała. Ale teraz już nie. Teraz pojmowała, że wykształcenie było jednym z kluczy do innego życia, do lepszego świata. Świata, gdzie gra się na skrzypcach i chodzi na koncerty...

Czego by się mogła nauczyć? Może zostać pielęgniarką jak Jane i Anna? Nie, zdecydowanie nie mogłaby zostać pielęgniarką. Nie lubiła widoku krwi, brzydziła się ranami, a nieprzyjemny zapach przyprawiał ją natychmiast o mdłości. Ten zawód całkowicie odpadał. A sekretarka? Siedzieć przy biurku, przyjmować telefony, pisać ważne pisma na maszynie... Musiałaby być dobrze ubrana - w biurze zawsze sekretarki noszą eleganckie bluzki i spódnice, a mężczyźni garnitury i dyskretne krawaty. Tak, to byłaby dobra praca. Ale komputery... I ten francuski!

Komputery. Właściwie, kiedy się dobrze zastanowiła, czuła, że komputery ją pociągają. Umieć obsługiwać tak tajemniczą maszynę... Nie każdy to potrafił. Tak, to byłoby coś. Nauczycielka od matematyki mówiła jej zawsze, że ma zdumiewająco dobrą pamięć. Może to pomogłoby jej przy komputerach? A sama matematyka? Może też by się przydała? Zawsze przychodziła jej z taką łatwością i Liz lubiła ją. A Pierre wspominał, że można zapisać się na kurs obsługi komputerów.

Na wspomnienie Pierra aż usiadła na łóżku. Pierre ma dziś przyjść na kolację! Obiecała upiec pizzę. Zerknęła na zegarek - dzięki Bogu było jeszcze wcześnie. Musi jednak natychmiast wstać - posprzątać i zagnieść ciasto. Właściwie nie umówiła się z Pierrem na konkretną godzinę. Może przyjść o siódmej, ale może też przyjść o szóstej. Dziś jest sobota, więc nie poszedł do pracy.

Podniecona zerwała się z krzesła. To pierwsza kolacja, na którą kogoś zaprosiła. Pierwsza kolacja sam na sam z mężczyzną. Z Pierrem, który tak jej się podobał!

Zabrała się do sprzątania, ale pracy było tyle co nic. Podłogę odkurzała wczoraj, mebli, na których mógłby zebrać się kurz, miała niewiele. Na lunch zjadła jajecznicę i kanapkę - jajecznicę smażoną, rzecz jasna, bez tłuszczu, z jednego jajka, i kanapkę ze specjalnego, chrupkiego chleba przeznaczonego dla odchudzających się. A na deser pół główki sałaty z sokiem cytrynowym. I herbata bez cukru. Prawdę mówiąc była po tym posiłku tak głodna, że mogłaby zjeść spory stek z tłuczonymi ziemniakami i ze dwa kawałki szarlotki. To nieustanne myślenie o jedzeniu doprowadzało ją do szału. Ale wyniki odchudzania widać było jak na dłoni.

- Kup sobie koniecznie wagę, Liz - powiedziała jej pani Alison, gdy Liz zwierzyła jej swój zamiar zrzucenia dwudziestu funtów. - I to taką cyfrową, która wyświetla także dekagramy. Kiedy już nie będziesz mogła wytrzymać i zaczniesz marzyć o wielkim kawałku mięsa, wejdź na wagę i zobacz, ile schudłaś. I jeśli okaże się, że ważysz choćby dziesięć deko mniej niż wczoraj, podniesie cię to na duchu i jakoś wytrzymasz.

Rada okazała się znakomita i Liz często z niej korzystała. Dziś jednak nie chciała się ważyć, bo wczorajsza pizza na pewno zrobiła swoje. Dziś zje tylko maleńki kawałek - dla towarzystwa.

Po lunchu okazało się, że ma sporo czasu i wróciła do swojej karteczki. Pójdę na kurs komputerowy, zdecydowała. Kiedy tylko znajdę pracę, pójdę na taki kurs. Miejmy nadzieję, że nie kosztuje to wiele. Zaraz dziś zapytam Pierra, gdzie należy szukać takiego kursu.

Popatrzyła na pierwszy punkt. Nauczyć się zawodu. Nauczy się. Jeśli będzie trzeba, będzie siedzieć całe noce i nauczy się. To jednak nie rozwiązuje jeszcze wszystkiego. Francuski. Musi nauczyć się francuskiego. Ale gdzie? I niemożliwe przecież, by chodziła na dwa kursy jednocześnie. Po pierwsze z braku czasu. Po drugie - czym te kursy opłacić? Pierre... Pierre proponował Karen, że będzie uczył ją francuskiego, ale prawdopodobnie nie mówił poważnie. Takie tam sobie propozycje, luźno rzucone w czasie żartobliwej rozmowy... A poza tym Pierrowi też musiałaby zapłacić. Jednak... Może nie powinna z tego zrezygnować? Nie, na pewno nie powinna! I Liz wyraźnie wpisała na karteczce:

2. Nauczyć się obcego języka.

Po namyśle dopisała: Wszystko jedno jakiego.

Postanowiła, że porozmawia o tym z Pierrem. Był takim życzliwym człowiekiem.

Uśmiechnęła się do siebie. Pierre... Jakie ładne imię.

Spojrzała na karteczkę i znów się zasepiła. Zdawała sobie sprawę, że oba punkty, które napisała, nie rozwiązują jeszcze niczego. Ani na francuskim, ani na kursie komputerowym nie dowie się, co znaczą te wszystkie słowa, których nie rozumie. Tę sprawę musi rozwiązać sama. Bo jeśli chce czytać gazety, niewiele jej to da, gdy nie będzie rozumiała, o czym czyta. Szybko wpisała więc na kartkę:

3. Kilka razy na tydzień kupować gazetę codzienną (jaką - zapytać pani Alison) i dokładnie przeczytać. Co miesiąc kupować magazyn kobiecy i przeczytać od deski do deski.

4. Nauczyć się znaczenia nieznanymi słów.

Niewątpliwie istnieją przecież jakieś książki, gdzie słowa takie są wytłumaczone. Bo skąd ludzie by je znali? Część tych słów pewnie zawarta jest w encyklopedii, a encyklopedię na pewno znajdzie się w Czytelni Miejskiej. Liz wiedziała, gdzie mieści się Czytelnia i nawet była tam dwa razy. Mary podobał się kiedyś jeden chłopak, który pracował tam w magazynie. Mary chodziła z nim około miesiąca. Potem powiedziała, że chłopak był zarozumiały i śmiał się z niej. Liz pamiętała, że sama wtedy zgodziła się z koleżanką, że takiego wstrętnego typu trzeba rzucić. Dziś pomyślała bezlitośnie, że Mary była dla niego po prostu za głupia. O tak, dziś doskonale to rozumiała!

- No, to mam robotę na najbliższy rok - powiedziała głośno patrząc na kartkę.

Nie czuła jednak przygnębienia. Odwrotnie - czuła, że rozpiera ją energia. Najchętniej zaczęłaby już dziś!

Zerknęła na zegarek. Do przyścia Pierra zostało jej jeszcze trochę czasu. Otworzyła telewizor i poszukała wiadomości. Czytająca je dziewczyna miała dźwięczny głos i zdania, które wymawiała, brzmiały dziwnie melodyjnie. Liz powtarzała za nią niektóre słowa. Zdażyła już pojąć, że dotąd dlatego mówiła tak źle, ponieważ czyniła to niedbale. Mówiła dotąd jakby tylko ustami, podczas gdy należało w to zaangażować gardło i język. Starannie pracowała nad każdym dźwiękiem. Odkąd zwróciła na to uwagę, wymowa jej znacznie się poprawiła.

Wieczór z Pierrem okazał się tak miły, jak Liz to sobie wyobrażała. Pizza udała się i Pierre twierdził, że była nawet lepsza od wczorajszej. Pierre przyniósł butelkę białego wina i chociaż Liz nie zanadto smakowało, bo nie była przyzwyczajona do podobnych trunków, to musiała przyznać, że pasowało do pizzy. Zmywało z języka jej pikantny smak i powodowało, że następny kęs stawał się jeszcze smaczniejszy.

- Marnujesz talenty, dziewczyno - powiedział Pierre. - Powinnaś założyć konkurencyjną restaurację. Włoch by zbankrutował.

- Potrafię jeszcze robić włoskie pierożki ravioli i spaghetti po bolońsku - cieszyła się Liz.

- Lepiej się nie przyznawaj - śmiał się Pierre - bo codziennie będę się zapraszał na kolację.

- Możesz przyjść, kiedy tylko zechcesz. Nie mam pracy. Mam dużo czasu, więc mogę gotować.

- Szkoda, że praca sekretarki ci nie odpowiada. W banku dobrze płacą.

- Ja dopiero chcę się zapisać na kurs komputerowy. Tylko nie wiem, gdzie!

- Mam znajomego, który się tym zajmuje. Jak chcesz, to cię z nim skontaktuję.

- Naprawdę? - Liz zaświeciły się oczy. No proszę, jakie to było łatwe! - Czy myślisz...

Czy myślisz, że miałabym problemy na takim kursie? Czy to bardzo skomplikowane?

- Skądże znowu! To tak fascynujące, że ani się spostrzeżesz, jak cię wciągnie!

- Ja nigdy nie miałam z tym do czynienia - przyznała Liz.

- Nie szkodzi. A prędzej czy później i tak musiałybyś się tego nauczyć. Dziś żadna dziedzina życia nie może się obejść bez komputerów.

Liz ukroiła Pierrowi jeszcze jeden kawałek pizzy.

- Nigdzie nie pracujesz? To pewnie ci niełatwo? - zapytał Pierre. - Potrzebujesz może pomocy?

Liz zaczerwieniła się lekko. Chyba nie myślała, że dlatego wspomniała o braku pracy, by sprowokować go do pożyczki pieniędzy!

- Nie, nie - zaprotestowała szybko. - Wszystko okay! Ja...

Napotkała życzliwe spojrzenie ciemnych oczu Pierra i postanowiła powiedzieć mu prawdę.

- Dostałam to mieszkanie za pół darmo. Za to będę sprzątać klatkę schodową i hol.

Nie bez niepokoju patrzyła na twarz Pierra. Czy dostrzeże na niej zawód albo co gorsza pogardę? Ale Pierre uśmiechnął się.

- To miałaś szczęście. Ten facet, do którego należą te domy, to prawdziwa pijawka. Strasznie zdziera z nas skórę! Sprytnie to wymyśliłaś, żeby zawrzeć z nim taką umowę - pochwalił Liz.

Liz rozpromieniła się.

- Naprawdę tak myślisz, Pierre?

- Oczywiście. Dzielna z ciebie dziewczyna! I jeszcze potrafisz tak gotować - roześmiał się. - Ja potrafię to docenić. Wiesz, że Francuzi lubią dobrze zjeść!

- Mieszkasz już długo poza Francją?

- Za trzy miesiące będzie rok. Właśnie za trzy miesiące skończę praktykę u Thompsona.

- To taki dobry bank, że aż tu przyjechałeś praktykować?

- To bardzo dobry bank! A mój ojciec od dawna jest zaprzyjaźniony z Thompsonem.

- Twój ojciec też pracuje w bankowości?

- Jest prezesem banku w Lyonie.

Liz na chwilę zamilkła. Prezes banku! Ależ to musi być bardzo bogaty człowiek! Pierre będąc synem tak bogatego człowieka chyba w ogóle nie musiał pracować!

- Dlaczego odbywasz tę praktykę? - zapytała przełknąwszy kęs pizzy. Nie powinna już więcej jeść, ale ciasto rzeczywiście było smaczne.

Pierre spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Jeśli chcę w przyszłości zająć miejsce mego ojca, muszę być dobry.

- A chcesz je zająć?

- O tak - roześmiał się. - Mój ojciec powtarza ciągle, że mam jeszcze dużo czasu przed sobą, ale ja chciałbym awansować błyskawicznie. Nie masz pojęcia, jakie frapujące jest prowadzenie banku!

- To prawda, nie mam pojęcia - pokiwała głową bezradnie Liz.

Pierre roześmiał się.

- To dobrze. Takiej uzdolnionej konkurencji musiałbym się obawiać. I nie mógłbym się umawiać z tobą na kolację z obawy, że chcesz ode mnie wyciągnąć tajemnice mojego banku!

Liz śmiała się razem z nim. Jaki był miły! Ona i uzdolniona konkurencja!

- Nie nadaję się na Matę Hari! Tamta była podobno bardzo piękna!

- Na pewno wyglądała tak samo jak ty. Niewinne niebieskie oczy, a w sercu czarna zdrada - śmiał się Pierre.

O Boże, porównał ją do Maty Hari! Liz właśnie niedawno widziała stary film z Gretą Garbo o Macie Hari. Greta była fascynująco piękna!

- Zjesz jeszcze kawałek? - zapytała, nieco zmieszana.

- Zjem wszystko, co mi dasz - powiedział z rozbrajającym uśmiechem - tylko muszę troszkę odczekać i zebrać siły. Wiesz, ja przeważnie kupuję gotowe dania i grzeję je w

kuchence mikrofalowej. Kończę pracę późno i jestem zmęczony. Ale te wszystkie gotowe dania mają ten sam smak.

- A w sobotę albo niedzielę? Masz więcej czasu, mógłbyś zrobić sobie coś lepszego.

- Teoretycznie. Ale musiałbym robić większe zakupy w ciągu tygodnia, zaplanować to.

A potem pozmywać naczynia - uśmiechnął się. - Wolę już zjeść coś w mieście. Tym bardziej, że zwykle się gdzieś wybieram, do kina czy spotkać się ze znajomymi.

- Zakupy mogę ci robić, kiedy kupuję dla siebie - zaproponowała Liz nieśmiało.

- Jesteś bardzo miła, Liz. Ale nie mogę cię tym obciążać, skądże znowu!

- Naprawdę zrobiłabym to chętnie. Bo wiesz... - Liz zawahała się, ale skoro ten pomysł przyszedł jej już do głowy, musiała mu to powiedzieć. - Ja chciałabym uczyć się francuskiego. Więc może... Mogłabym też zrobić ci porządki i zająć się naczyniami, skoro nie lubisz tego robić.

- Naprawdę chcesz się uczyć francuskiego?

- Bardzo. Jak myślisz, ile trzeba czasu, aby nauczyć się tyle, żeby móc się porozumieć przynajmniej w prostych sprawach?

- Gdyby pracować przynajmniej godzinę każdego dnia, intensywnie uczyć się słówek i słuchać płyt z dobrą wymową, myślę, że kilka miesięcy.

- Kupię płyty albo taśmy i jakiś dobry podręcznik. I mogę pracować każdego dnia.

Gdybyś mi udzielił chociaż dwóch lekcji w tygodniu, na pewno by mi to wystarczyło.

Pierre patrzył na nią niepewnie.

- Ja wiem, że kiedy proponowałeś to Karen, żartowałeś sobie, ale mnie naprawdę bardzo zależy - w głosie Liz była żarliwość, której sama się trochę zawstydziła. - Ale rozumiem, że nie masz czasu - zaczęła się wycofywać.

- Jesteś niemożliwą dziewczyną - zęby Pierra błyskały w szerokim uśmiechu -

Komputery, sprzątanie domu, zakupy, gotowanie i jeszcze francuski. Jak chcesz to zmieścić w czasie?

- Ja... Ja mam bardzo mało znajomych. Właściwie nigdzie nie chodzę. I nie potrzebuję dużo snu. Poradzę sobie bez trudności.

- A twoja rodzina?

- Nie mam nikogo. Rodzice moi dawno już nie żyją, a rodzeństwa nie miałam.

Krewnych też już nie mam.

- O, przykro mi - rzekł Pierre. - To naprawdę musi ci być niełatwo.

- Nie, nie. Radzę sobie. Wszystko jest w porządku. Zjesz jeszcze?

- Chętnie, dziękuję. A ty czemu nie jesz?

- Muszę zgubić parę funtów!

- Biegaj. Ja biegam tylko w weekend, ale i tak dużo mi to daje.

- Gdzie tu biegać? Wszędzie domy i jezdnie. I kurz, i spaliny.

- Ja biorę rano samochód i jadę za miasto. I tam biegam i maszeruję przynajmniej godzinę. Jedź jutro ze mną, jak chcesz. Ale o ósmej musisz być gotowa.

- Wspaniale! Bardzo ci dziękuję. Na pewno będę gotowa. Ja bardzo wcześnie wstaję.

- No, to jesteśmy umówieni. A co do francuskiego...

- Nie, nie, ja rozumiem - przerwała mu szybko Liz.

- Nic nie rozumiesz. Ja po prostu nie jestem z wykształcenia nauczycielem. Owszem, pracowałem przez jakiś czas z jednym z kolegów, ale on znał język dość dobrze i przychodził do mnie tylko na konwersację. W twoim przypadku potrzebny byłby jakiś podręcznik i dobra gramatyka. Zorientuję się w poniedziałek, co mają u Elby'ego. - Elby był właścicielem sieci dużych księgarń w mieście.

- Czy to znaczy...

- Możemy spróbować. Twoja propozycja podoba mi się. Ja tak czy tak poszukałbym prędzej czy później kogoś do prowadzenia domu, jeśli tak można powiedzieć. Jestem bardzo

leniwy i bardzo nieporządny! Tak więc przysługa za przysługę. No i przynajmniej raz na dwa tygodnie musi być pizza - zaśmiał się.

- Może być nawet co tydzień - promieniała uszczęśliwiona Liz.

- O, nie! Dorobiłbym się brzuszka jak mój papcio!

Roześmieli się. A kiedy butelka była już pusta, śmiali się coraz częściej i coraz głośniejsze. Kiedy zaś o dziesiątej Pierre zaczął się żegnać, Liz pomyślała, że czas zleciał niewiarygodnie szybko i wcale nie chciała, aby już sobie poszedł. Ale krępowała się go zatrzymać. Ach, co to był za cudowny wieczór. Pierre...

Westchnęła. No, nie miał wprawdzie jasnych włosów i niebieskich oczu jak tamten ze skrzypcami, ale... Tak, naprawdę cudowny wieczór!

Liz nie zauważyła nawet, kiedy wiosna skończyła się i zaczęły się letnie upały. Była tak zajęta, że gdyby nie sobotnie i niedzielne wypadki z Pierrem za miasto, nie miałyby nawet możliwości, by odetchnąć świeżym powietrzem. Liz bowiem od miesiąca miała wreszcie pracę. Nie była to w żadnym wypadku praca jej marzeń, ale miała sporo plusów i co najważniejsze - była dobrze płatna.

Zadecydował o wszystkim, jak to zwykle bywa, przypadek.

Pewnego popołudnia Liz robiąc w sklepie zakupy zauważyła na ścianie przypięte ogłoszenie, że pilnie poszukuje się do pracy w przedszkolu młodej kobiety. Pobiegła do przedszkola natychmiast, okazało się jednak, że potrzebne są referencje i przynajmniej roczna praktyka pracy z dziećmi. Liz wracała zgnębiona do domu. To było wprost niewiarygodne, że nic się jej nie udawało. Tuż przed domem natknęła się na Lili.

Kiedy wymieniły pozdrowienia, Lili zatrzymała się.

- Czy wybiera się pani do nas? Idę właśnie na lunch, ale i zanim umyją pani głowę, zdążę wrócić - zawołała.

Liz nie było jednak stać na fryzjera.

- Dziękuję pani - uśmiechnęła się do fryzjerki. - Nie idę do zakładu, tylko do domu. Ja tu mieszkam.

- A kiedy panią znów zobaczymy? Włoski trzeba by już przyciąć - Lili obrzuciła spojrzeniem fryzurę Liz.

- Zdaję sobie z tego sprawę - przyznała Liz. - Ale nie mam na nic czasu. Szukam pracy i cały dzień biegam po mieście. Może w przyszłym tygodniu postaram się wpaść.

Lili, która już chciała biec dalej, zawahała się przez chwilę.

- Czy szuka pani czegoś konkretnego, czy jakiegokolwiek pracy? - zapytała.

- Prawdę mówiąc już mi wszystko jedno, co będę robić. Trzeci miesiąc już mija, a ja nie mogę niczego znaleźć.

- Bo wie pani... Od poniedziałku będziemy potrzebować kogoś, kto myłby głowy klientkom. Jedna z naszych dziewcząt wyjeżdża do męża, który znalazł pracę gdzieś w południowej Afryce. Sprawa zdecydowała się dość nagle i ta mała powiedziała nam o tym w ostatniej chwili. Szef oczywiście nie chce jej puścić od ręki, każe jej odpracować ustawowy termin. Ale gdyby znalazła zastępstwo...

- Rozumiem - kiwnęła głową Liz.

- Może by pani to odpowiadało?

Liz pomyślała, że na pewno by nie odpowiadało. Jednostajna, nudna praca. I znowu byłaby - no cóż, powiedzmy to sobie otwarcie - popychadłem. Do takiej pracy nie trzeba ani wykształcenia, ani inteligencji. Nie, nie o tym marzyła Liz.

- To bardzo dobra praca, może mi pani wierzyć - powiedziała z przekonaniem Lili. - Zakład jest, jak pani wie, bardzo ładny i raczej dla ekskluzywnej klienteli. Pracujemy od dziesiątej rano, bo nasze klientki nie mają zwyczaju wstawać wcześniej. Po południu kończymy o piątej, bo wieczorami nasze klientki bawią się albo czekają przykładowo na męża,

aby zjeść z nim obiad. W środku dnia mamy pół godziny na lunch. Szef płaci przyzwyczajenie. A drugą pensję zbierze pani z napiwków. Jeśli jest się miłym, uśmiechniętym i uczynnym, klientki są hojne. One chcą być piękne, a ich uroda leży w naszych rękach. Poza tym co tydzień przysługuje nam gratis uczesanie, bo nasze głowy są swego rodzaju reklamą zakładu. A w pani przypadku dochodzi jeszcze jeden ważny czynnik, mianowicie bliskość miejsca zamieszkania. Nie straci pani ani czasu, ani, co najważniejsze, pieniędzy na dojazd.

Słuchając fryzjerki Liz nie mogła odmówić jej słuszności. Zajęcie nie było ciekawe, ale miało istotne zalety. Wolne od piątej, a Liz potrzebowała czasu, jeśli chciała chodzić na kurs komputerowy. Napiwki - to mógł być spory grosz, a przecież kurs musiała opłacić. Praca nie była ciężka i nie męczyła umysłu, tak więc na kursie miałyby dobrą kondycję umysłową. No i jeszcze piękna fryzura za darmo!

- Ręk też pani nie zniszczy, bo używamy rękawic - dodała Lili.

- I już od poniedziałku mogłabym zacząć? - upewniła się Liz.

- Tak. Właśnie o ten termin chodzi.

- Ale czy szef mnie przyjmie?

- Proszę iść ze mną. Zrezygnuję dziś z lunchu. I cały czas proszę się uśmiechać do szefa.

To podstawowy warunek, żeby dostać u nas pracę!

Liz uśmiechała się więc, a tak zwany „przyjemny wyraz twarzy” wymagany był i „U nas”, więc nie miała z tym trudności. No i została przyjęta.

Pani Alison pochwaliła jej decyzję.

- Biorąc pod uwagę twoje rozliczne plany i zajęcia, Liz - powiedziała z uśmiechem - ta praca jest wręcz idealna. W tej chwili najważniejsze jest, abyś się uczyła. Więc jeśli masz zamiar wytrwać w zamiarze nauki zawodu, skoncentruj się na tym. Życie polega między innymi na umiejętności wyboru, Liz. Nie można mieć wszystkiego, mówiłam ci. Dziś nauka, jutro ciekawa praca.

Liz przyjąwszy pracę u fryzjera miała wypełniony dzień od świtu do nocy. Wstawała o szóstej, jadła śniadanie i robiła porządek w mieszkaniu. Potem całą godzinę poświęcała na naukę francuskiego. Pierre wybrał się z nią któregoś popołudnia do Elby'ego i wybrał odpowiednie - jego zdaniem - taśmy i podręczniki. Liz słuchała nagrań, powtarzała głośno zdania za lektorem, robiła ćwiczenia zadane przez Pierra i uczyła się słówek. Po ósmej, kiedy wszyscy lokatorzy wyszli już do pracy, wyciągała odkurzacz i sprzątała klatkę schodową. W piątki dodatkowo trzepała chodniki. Kiedy padał deszcz, codziennie zmywała hol. Wyjątkowo, jeśli Jane i Anna miały nocny dyżur i musiały go odespać, Liz sprzątała wieczorem, aby nie przeszkadzać dziewczynom hałasem.

Na dziesiątą szła do fryzjera. Musiała tam być trochę wcześniej, by zdążyć się przebrać i uczesać - głowa musiała wyglądać nienagannie. Praca okazała się wcale przyjemna. Niektóre klientki skore były do drobnych ploteczek, a że Liz starała się, by woda nie była ani za zimna, ani za gorąca, i nie oszczędzała rąk, by wymasować im dobrze skórę głowy, wsuwały jej do kieszonki niebagatelne sumki. Jerome, szef zakładu, przez pierwsze dni przyglądał jej się nieustannie, co było bardzo denerwujące, ale widząc, że daje sobie radę i że klientki ją zaakceptowały, przestał na nią zwracać uwagę. Koleżanki okazały się miłe, a że każda była zajęta swą robotą, nie było czasu na konflikty, które zwykle, prędzej czy później, miały miejsce tam, gdzie pracowały same kobiety. Prawdę mówiąc Liz doszła do wniosku, że miała szczęście znajdując tę pracę.

Po pracy robiła zwykle zakupy i trzy razy w tygodniu jechała do centrum na kurs komputerowy. Pierre dotrzymał obietnicy i dał jej telefon swego znajomego, a ten pokierował nią dalej. Kurs miał trwać do końca sierpnia i choć kosztował sporo, nie trzeba było na szczęście opłacać go z góry, ale ratami, co miesiąc. Kiedy nie było zajęć przy komputerach,

Liz dwa razy w tygodniu chodziła na lekcję francuskiego do Pierra. Raz w tygodniu spędzała popołudnie w Czytelni Miejskiej.

Właśnie te popołudnia w czytelni należały do bodaj najprzyjemniejszych. Kiedy Liz poszła tam po raz pierwszy, o mało nie odeszła z kwitkiem. W czytelni było sporo ludzi, a za stołem znajdującym się na podwyższeniu siedział młody mężczyzna. Liz poczuła skrępowanie. Nie bardzo wiedziała, o jaką książkę ma poprosić. Przemogła jednak uczucie niepewności i zawstydzenia. Skoro tyle osób siedziało tu i pracowało... Skoro tylu się uczyło...

Liz podeszła do młodego człowieka.

- Słucham? - podniósł na nią oczy. Oczy miał ładne, ocienione ciemnymi rzęsami.
- Chciałabym... Chciałabym wyjaśnić znaczenie kilku słów - powiedziała Liz niepewnie.
- Leksykony stoją w tamtym końcu, po prawej na dole. Kiedy pani wybierze, proszę podejść do mnie wypełnić rewers - rzekł młodzieniec i powrócił do rozłożonych przed nim kart i karteczek.

Liz odetchnęła. A więc prośba jej nie wydała mu się ani dziwna, ani śmieszna. Kiedy podeszła do półek na końcu sali, ze zdumieniem stwierdziła, że napis „Leksykony” znajduje się aż na pięciu półkach! Gdzie ma zatem szukać tego, co jej potrzeba?

Liz zastanowiła się chwilę. No cóż, skoro nie wiedziała dokładnie, czego szuka, musi przejrzeć wszystko. Zdecydowanym ruchem zdjęła z półki trzy pierwsze grube księgi i wróciła z nimi do stolika dyżurnego. Kiedy dopełniła formalności, usiadła ze swoją zdobyczą przy stole pod oknem. Otworzyła niecierpliwie pierwszą książkę. I nie mogła powstrzymać śmiechu, był to bowiem „Słownik? terminów morskich”. To chyba dla marynarzy, pomyślała. Skoro jednak miała już tę książkę w ręku, postanowiła ją przejrzeć. W końcu rzecz miała się tak samo jak z innymi, słowami - nie rozumiała ich znaczenia. I prawie całymi pierwszymi wieczór spędziła na czytaniu słownika. Okazało się to w końcu wcale ciekawe. Dowiedziała się nie bez zdziwienia, że statek i okręt to wcale nie to samo, dowiedziała się, co to właściwie jest jacht i co oznacza słowo regaty, a o regatach mówiono właśnie wczoraj w telewizji.

Odtąd każdego wieczoru brała sobie z półki jeden leksykon i studiowała go dokładnie. I dowiadywała się zdumiewających rzeczy. Niektóre wydały jej się tak ważne, że kupiła sobie duży notes i zapisywała je.

W Czytelni Miejskiej można też było otrzymać dzienniki i czasopisma z różnych dziedzin. Znajdowały się one w sąsiedniej sali i zwykle wszystkie miejsca były tam zajęte. Dopiero wieczorem, prawie przed samym zamknięciem czytelni, robiło się luźniej. Liz wykorzystywała to i chociaż przez pół godziny czytała codzienne wiadomości. W ten sposób oszczędzała na kupnie gazet. Z niejakim wstydem stwierdziła, że nie ma pojęcia, gdzie leżą te wszystkie kraje i miejscowości, o których czytała. Musiała więc sięgnąć po atlas i leksykony geograficzne. Wkrótce jednak poznała zasoby czytelni do tego stopnia, że nie musiała już pytać młodzieńca o pięknych rzęsach, gdzie co stoi.

Czytelnię zamykano o dziewiątej wieczorem. Liz uważała, że to o wiele za wcześnie, bo przynajmniej z godzinę mogłaby jeszcze popracować. Kiedy wspomniała o tym mimochodem dyżurnemu, ten zapytał:

- Dlaczego nie pożyczysz pani sobie czegoś z biblioteki? Wejście jest z drugiej strony budynku. Księgozbiór mamy liczny, nawet dziś widziałem, jak przywieziono spory wózek nowości. Jeśli lubi pani czytać, nie będzie pani zawiedziona.

Liz nie wiedziała właściwie, czy lubi czytać. W szkole oczywiście kazano im przeczytać wybrane książki. Przeważnie nie były ciekawe. Ciotka Fanny książek nie czytywała i w domu też żadnej nie miała. Właściwie Liz nie знаła nikogo, kto lubiłby czytać, kto w ogóle czytałby cokolwiek. Ale skoro wertowanie leksykonów sprawiło jej tyle przyjemności, może powinna zabrać się za czytanie? I tak Liz trafiła do biblioteki.

Pierwszego dnia nie wiedziała, o jaką książkę ma poprosić. Ponieważ jednak jedyną książką czytaną w szkole, która jej się podobała, były „Opowieści wigilijne” Dickensa, poprosiła o jakąś powieść właśnie tego autora. I nie minął miesiąc, jak całego Dickensa miała już za sobą. Bibliotekarka poleciła jej potem książki Thackeraya i Jane Austen, a także siostr Bronte. I Liz niedługo była już pewna, że bardzo lubi czytać. Nieraz czytała tak długo, że zasypiała z książką rozłożoną na kołdrze. Rano, kiedy dzwonił budzik, zdawało jej się, że żadna siła nie podniesie jej z łóżka - ale musiała wstać, bo niemal każdą minutę miała ściśle zaplanowaną. I tak biegły jej dni.

Im stawało się cieplej, tym przyjemniejsze stawały się sobotnie i niedzielne, poranne wycieczki z Pierrem za miasto. Początkowo Karen, dowiedziawszy się, że Liz i Pierre wyjeżdżają, kilka razy zabrała się z nimi. Okazało się jednak, że nie lubiła rano wstawać, a poza tym spędzenie prawie dwóch godzin na bieganiu, ćwiczeniach gimnastycznych i poceniu się wydawało jej się mało atrakcyjne. Karen chciała jedynie położyć się na leżaku i opalać. No i flirtować z Pierrem. Kiedy spostrzegła, że nic z tego nie wychodzi, wołała pozostać w domu.

Właśnie obecność Karen i jej kokieteria - spojrzenia spod wprószmykanych powiek rzucane Pierrowi, potrząsanie głową, by zwrócić uwagę na piękne błęd włosy i nieustanny, drażniący śmiech - uświadomiły Liz, że jest zazdrosna o Pierra. Tak, była o niego zazdrosna! Spędzała z nim wiele czasu - dwie godziny w tygodniu francuskiego, poranne wyjazdy za miasto w weekend i czasem wspólne kolacje, choć nie za często, bo Liz po prostu nie miała czasu na gotowanie. Pierre był pogodnym, zadowolonym z życia człowiekiem i jego optymistyczne podejście do każdej sprawy bardzo dobrze działało na Liz. Poza tym wiele podróżował i był bardzo wykształcony: dwa lata studiował na Sorbonie i dwa lata spędził w Oxfordzie. Wiele wiedział i wiele widział, i potrafił bardzo zajmująco opowiadać. A Liz ciągle miała tyle pytań.

- Dziewczyno, po co chcesz wiedzieć, jak działa rynek akcji?- śmiał się Pierre. - Czy zamierzasz kupić kilka? Radzę General Motors.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, jak robi się koniak? - dziwił się innym razem. - No, nie wiedziałem, że mam do czynienia z alkoholiczką!

Najbardziej jednak Liz lubiła, kiedy Pierre opowiadał jej o swoim pobycie w Afryce, gdzie ojciec zabrał go kiedyś na wakacje, i o Indiach, gdzie pojechał w czasie studiów z kolegami na trzymiesięczną wędrowną.

- Ja też pojedę kiedyś do Indii - powiedziała mu Liz.

- Nie wątpię - rzekł poważnie i spojrzał na nią przenikliwie. - Zdaje się, że potrafisz stawiać na swoim. Dawno nie spotkałem nikogo, kto miałby tyle charakteru.

- O, dziękuję, ale chyba za dobrze mnie oceniasz - powiedziała Liz, ale słowa Pierra sprawiły jej wielką przyjemność.

Pierre okazał się także zapalonym sportowcem. Kiedy wyjeżdżali za miasto, wyciskał z niej siódme poty. Pierwszego dnia, kiedy z nim pojechała, myślała, że wyzionie ducha. Pierre najpierw biegał dość długo, potem wykonywał rozmaite ćwiczenia. Liz była przycięzka i w dodatku całkiem nie wysportowana. Po stu metrach biegu zaczęła oddychać jak ryba wyrzucona z wody. A to był dopiero początek. Postanowiła jednak, że wytrzyma, choćby miała paść trupem. Po pierwsze, rozumiała, że pomoże jej to schudnąć. A po drugie - chociaż prawdę mówiąc raczej tę przyczynę należałoby postawić na pierwszym miejscu - wiedziała, że jeśli okaże się dla Pierra uciążliwa, nie ponowi on już swego zaproszenia.

Pierre zauważył od razu, że Liz szybko oddycha i twarz ma czerwoną z wysiłku.

- Zwolnić? - zapytał. - A może chcesz zrobić odpoczynek?

- Nie trzeba - wysapała. - Nie zmieniaj swojego programu. Dam radę.

Pod koniec musiała jednak usiąść. Usiadła, a właściwie padła na trawę, nie patrząc nawet, czy nie leżą tam jakieś odpadki. Pierre, lekko wykonujący obok przysiady, spojrział na nią spod oka.

- W samochodzie mam leżak. Zaraz ci go przyniosę - powiedział. - Zasłużyłaś sobie na dobry wypoczynek. - Idąc do samochodu odwrócił się jeszcze i dodał. - Nie martw się, jutro pójdzie ci lepiej, a za parę tygodni pewnie mnie przegonisz. Jesteś bardzo wytrzymała.

A Liz odetchnęła, bo już wiedziała, że zaakceptował jej towarzystwo. Za to kiedy wrócili do domu, do wieczora nie mogła ruszyć ręką ani nogą.

Z pierwszej wypłaty Liz kupiła sobie śliczny, lekki dres w szarym kolorze, z czerwonymi i niebieskimi pasami na rękawach. Bieganie zaczęło sprawiać jej przyjemność, tak jak i ogólna sprawność całego ciała. No i chudła! Kiedy pierwszego lipca weszła na wagę, stwierdziła, że ubyło jej sześć funtów! Sześć funtów! Poza tym opaliła się trochę. Pierre jeździł zwykle za miasto, do parku im. Kennedy'ego, gdzie szerokie aleje wytyczono między drzewami i soczycie zielonymi trawnikami. Na skraju parku znajdował się niewielki lasek. Po treningu rozkładali zwykle w lasku leżaki i opalali się około godziny. Pierre opalał się szybko - miał ciemną karnację i niedługo był całkiem brązowy. Liz podziwiała jego ciało - szczupłe, zgrabne, wysportowane, pokryte równomierną opalenizną. I cieszyła się w duchu, że nie ma z nimi Karen, że ma Pierra tylko dla siebie. Kiedy wychodził wieczorami spotkać się z przyjaciółmi, czuła się okropnie. Orientowała się, że nie miał jednej, stałej dziewczyny, ale zawsze kręciły się koło niego jakieś kobiety. Był zbyt atrakcyjny, aby mogło być inaczej.

Liz zdawała sobie sprawę, że nie może konkurować z tymi kobietami, ale cieszyła się tym, co miała. Kiedy leżeli obok siebie na leżakach, mogła przynajmniej z nim porozmawiać. Liz prawdę mówiąc leżenie na słońcu niewiele dawało, bo miała jasną cerę i choćby opalała się cały dzień, skóra jej stawała się tylko jasnozłota, nic więcej. Pocięszała się jednak, że przynajmniej dobrze to robi na jej skłoną do przetłuszczania się twarz, bo skóra jej stała się matowa i wygładziła się. I wyglądała tak zdrowo, że Liz nie potrzebowała nawet różować policzków.

I kiedy Liz leżała tak w promieniach słońca obok Pierra, w swoim nowym szafirowym kostiumie kąpielowym i słuchała niskiego głosu Francuza opowiadającego o pięknym, dalekim świecie, czuła się bardzo szczęśliwa. Czyż jeszcze kilka miesięcy temu mogła sobie wyobrazić, że coś podobnego się zdarzy?

Liz zajmowała się mieszkaniem Pierra w czasie przerwy na lunch. Przerwa trwała pół godziny, było to niewiele czasu. Ale Liz miała przecież tylko kilka kroków do domu. Narzucała jakieś okrycie na błękitny fartuszek fryzjerski, do kieszeni wsuwała przygotowaną przed pójściem do pracy kanapkę z kilkoma listkami zielonej sałaty, która musiała wystarczyć jej za cały lunch i biegła do mieszkania Pierra. Włączała odkurzacz, szybko odkurzała podłogę, zmywała naczynia, ścierała kurze i porządkowała łazienkę. Pierre był prawdę mówiąc wielkim bałaganiarzem. Zostawiał na krzesłach krawaty, bawełniane koszulki, w których chodził zwykle w domu, i skarpetki. Tu leżała otwarta książka, tam gazeta. A już najgorszy był popiół z papierosów. Pierre palił umiarkowanie, ale popiół potrafił strząsnąć w kuchni na stół, w łazience na automat do prania, w pokoju na parapet, nie mówiąc już o podłodze. Liz doprowadzało to do szału. Pierre miał w mieszkaniu piękne, skórzane fotele i kanapę, w ogóle mieszkanie jego było ładnie urządzone, jako że miał na to dość pieniędzy. Liz irytowało ogromnie, że jednocześnie tak mało o to mieszkanie dbał.

Któregoś dnia w sklepie ze starzyzną kupiła dwie szklane, wielkie popielniczki. Wybrała najbrzydsze, po prostu koszarne - jedna miała kształt łabędzia, druga była szklanym psem z dziurą w brzuchu. Wieczorem Liz poszła do Pierra i postawiła popielniczki na stole.

- Widzisz, co to jest? - zapytała groźnie.

- O Boże, skąd to masz?
- Nieważne. Ważne jest to, że teraz będą stały u ciebie.
- Liz, zlituj się!
- A ty masz litość dla swoich mebli?
- Przecież ja mam dość popielniczek.
- Niewątpliwie. Ale ich nie zauważasz. Te zaś zauważysz na pewno.
- To kara?
- Kara. A amnestia przyjdzie, kiedy nie znajdę już nigdzie ani śladu popiołu.
- To jest zamach na moją wolność osobistą - jęknął Pierre. - A ty jesteś terrorystką.
- Cel uświęca środki. Jeszcze mi będziesz wdzięczny, jak się wreszcie oduczysz strząsać popiół byle gdzie.
- I może mam ci jeszcze podziękować za to szkaradzieństwo?
- Oczywiście - roześmiała się Liz. - Tak dobrze wychowany człowiek wie chyba, że zawsze należy podziękować za prezent.
- Terror, istny terror - mruknął Pierre. - No trudno, dziękuję - I zanim Liz się spostrzegła, objął ją i pocałował w oba policzki.

Liz poczuła, że głęboki rumieniec wpływa na jej twarz. Ciało Pierra było twarde, same mięśnie, ale wargi ciepłe i miękkie. Pachniał delikatnie wodą kolońską. Liz była zmieszana i oszołomiona.

- Tylko jak się z nich wytłumaczę przed znajomymi? - powiedział Pierre. Zdawał się nie zauważać zmieszania Liz i to pozwoliło odzyskać jej równowagę.

- Powiedz, że to bezcenne antyki. Na przykład pierwsze wyroby szklane osadników amerykańskich z „Mayflower” - odpowiedziała równie lekko.

Jednak gdy wróciła do domu i przypomniała sobie ten moment, kiedy znajdowała się w ramionach Pierra, znów poczuła rumieniec na policzkach. Serce biło jej jak szalone. Usiadła na chwilę i odpięła guzik bluzki pod szyją. Czowała się podobnie jak owego dnia, kiedy po raz pierwszy odbyła trening z Pierrem. Po prostu nie mogła złapać tchu.

- Liz, uważaj na siebie - powiedziała głośno.

Gdyby jeszcze Pierre nie był tak pociągający!

- Uważaj na siebie - powtórzyła.

Ale zdawała sobie sprawę, że właściwie wcale nie chciała uważać.

W kolejną sobotę zastanawiała się poważnie, czy nie wymówić się od wyjazdu z Pierrem. Mogła powiedzieć, że jest przeziębiona, czy coś w tym rodzaju. Ale szybko zarzuciła tę myśl. I tak przecież musiała spotkać się z Pierrem na lekcji francuskiego. A poza tym bieganie i ćwiczenia były jej potrzebne. I Pierre - nie mogła być tchórzem i ukrywać tego przed sobą - był jej potrzebny.

Od jakiegoś czasu biegając i wykonując ćwiczenia - a także grając w piłkę, bo oboje bardzo to lubili - rozmawiali po francusku. To znaczy Pierre mówił po francusku, a Liz mówiła - jak to nazywali - językiem mieszanym, to znaczy po francusku wtrącała tylko słówka, które знаła. Ale z każdym dniem ich przybywało.

- Masz znakomitą pamięć, Liz - powiedział kiedyś Pierre to samo, co mówiła jej nauczycielka matematyki. - I bardzo dobry słuch. Kiedy wyjadę, musisz koniecznie kontynuować naukę, bo naprawdę masz szansę w krótkim czasie bardzo dobrze opanować język. Broń Boże nie przerywaj lekcji.

- Nie znajdę już takiego dobrego nauczyciela jak ty - powiedziała z przekonaniem Liz, a Pierre uśmiechnął się. Wyraźnie słowa jej sprawiły mu przyjemność.

W ową sobotę po incydencie z popielniczkami Liz była dziwnie przygaszona. Tego dnia było bardzo ciepło - po prostu pełnia lata. Pierre biegał w szortach i głęboko wyciętej koszulce i Liz biegnąc za nim obserwowała grę jego mięśni, lekkość i zręczność opalonego,

sprężystego ciała. Uświadomiła sobie, że przecież Pierre pod koniec lata skończy praktykę w banku i wyjedzie do domu. I jak będzie wówczas wyglądało jej życie?

Trzy razy okrążyli park i Pierre skręcił do lasku. Droga nie była tam tak dobra jak w parku, ale za to panował głęboki cień i było chłodniej. Mimo to nie biegali tu zwykle, ponieważ gałęzie sięgały bardzo nisko i trzeba było uważać i schylać się nieustannie. Pierre biegł pierwszy i na ogół przytrzymywał gałęzie, dopóki Liz nie dogoniła go i nie przytrzymała ich sobie sama. Sprawiało to nieco kłopotu i wytrącało z rytmu biegu.

- Wracamy do parku? - zapytał po francusku Pierre.

- Tak - odparła Liz. Na taką odpowiedź po francusku zawsze mogła się zdobyć.

Zawrócili i Pierre znów przytrzymywał nisko rosnące nad drogą gałęzie. Był jednak zmęczony i ruchy jego nie były tak precyzyjne jak zawsze - gałąź wymknęła mu się z rąk i uderzyła nadbiegającą Liz boleśnie w czoło. Liz krzyknęła.

Pierre już był przy niej. Odsunął jej włosy i delikatnie dotykał czerwonego śladu po uderzeniu. W jego spojrzeniu było zaniepokojenie.

- A oczy? Nie uderzyła cię w oczy? - pytał niespokojnie. Liz pokręciła głową. Oddychała ciężko po biegu, a czoło bolało ją tak mocno, aż łzy kręciły się jej w oczach.

- Moje biedactwo - powiedział Pierre i objął ją ramieniem. - Przepraszam cię. Sam nie wiem, jak to się stało!

Jego ciemne oczy tuż nad jej twarzą były pełne troski. I tak piękne. A jego silne ciało było tak blisko. Serce Liz zaczęło się tłuc w piersiach jak szalone. Nie mogła oderwać spojrzenia od twarzy Pierra, od jego oczu, jego warg... I nagle Pierre objął ją, jego ramiona otoczyły ją mocno, aż ciało jej przylgnęło do jego ciała. Dotknął wargami śladu uderzenia na czole, potem jej oczu, przesunął wargi po policzku i złożył krótki pocałunek na jej wargach. Potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Aż Liz poczuła zniecierpliwienie. Pragnęła, aby pocałował ją naprawdę. Zarzuciła mu ręce na ramiona i kiedy znów poczuła jego wargi na swoich ustach, oddała mu pocałunek. Wargi Pierra były gorące. Jego dłonie wsunęły się w jej włosy. Trzymał mocno jej głowę i nienatoczywie, ale stanowczo rozchyłał wargami jej usta. Liz trzymała się go mocno, jakby bojąc się, że od zawrotu głowy przewróci się. Nie wiedziała, że pocałunek może być tak upajający, tak podniecający. Ach, Pierre... Wszystko, co robił, robił po mistrzowsku!

Usłyszeli jakieś głosy i Pierre wypuścił ją z objęć. Raz jeszcze dotknął jej czoła.

- Boli? - zapytał cicho.

- Już nic nie boli - odparła również cicho i uśmiechnęła się do niego.

- Wracamy?

- Wracamy.

Objął ją ramieniem i powoli przeszli przez park do samochodu.

- Kiedy byłam małą, mama przykładała mi nóż w miejscu, gdzie się uderzyłam. Mówiła, że to pomaga - rzekła Liz.

- Owszem - roześmiał się. - Nie ma się potem guza na czole.

- O Boże, mam guza na czole? - przestraszyła się. - Pewnie okropnie wyglądam.

- Czy powinienem cię pocałować, by dowieść, że mi się podobasz? - zapytał z szelmowskim uśmiechem.

- Chyba tak - odparła cicho.

Znów ją pocałował, a ona wtuliła się w jego ramiona. Tego dnia już się nie opalali. Siedzieli w samochodzie i całowali się.

Kiedy wrócili do domu, Liz ucieszyła się, że Pierre umówiony był na lunch z panem Thompsonem i zaraz musiał pójść na górę, aby się wykapać i przebrać. Wiedziała, że gdyby miał czas, przyszedłby do niej. Wiedziała zresztą już, że prędzej czy później i tak przyjdzie. Ale nie chciała, by stało się to za szybko. Pragnęła nacieszyć się tą myślą.

Kiedy Liz miała urodziny, pani Alison nie było w mieście. Zwykle o tej porze roku - gdy nie było jeszcze bardzo ciepło - wyjeżdżała z mężem na urlop na Majorkę. Po powrocie, przyszedłszy do Lili pani Alison przypomniała Liz, że ma dla niej zaległy prezent.

- Prawdę mówiąc, Liz - powiedziała pani Alison - chciałam ci kupić sukienkę na Majorce. Ręcznie malowany materiał, motywy ludowe, miejscowy wyrób. Była bardzo oryginalna i barwna. Na pewno byłoby ci w niej do twarzy. Ale nie wiedziałam, jaki ci właściwie kupić rozmiar. Dawno cię już nie widziałam. No i okazuje się, że słusznie postąpiłam, bo nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogłaś tak schudnąć! Naprawdę, Liz, jesteś nie ta sama!

- Osiem funtów - powiedziała z dumą Liz. - Jeszcze pięć i mogę przestać się głodzić! W ogóle chciałabym zrzucić jeszcze z dziesięć funtów, ale teraz mogę już pozwolić sobie na cierpliwość i rozłożę tortury na parę miesięcy. Ta głodówka naprawdę dała mi się we znaki.

- Tak, masz słuszość. Zbyt gwałtowne odchudzanie może spowodować anemię. Ale wyglądasz naprawdę znakomicie.

- Jeszcze trochę i będę mogła sobie pozwolić na to, by nosić spodnie - cieszyła się Liz. - I bikini.

- Niewątpliwie. Widzę też, że Lili dba o twoje włosy. I masz taki zdrowy i zadowolony wygląd, kochanie. Bardzo się z tego cieszę. Powiedz mi teraz, kiedy będziesz miała czas w ciągu tygodnia, żebyśmy mogły pójść do sklepu i kupić zestaw kosmetyków, który ci obiecałam.

- Ale ja...

- Ani słowa, Liz! Owszem, widzę, że sobie poradziłaś. Wyglądasz bardzo dobrze. Ale obiecałam i muszę dotrzymać obietnicy. Więc kiedy?

- Może w sobotę? Rano biegam, ale o jedenastej mogłabym być już u pani - powiedziała Liz po zastanowieniu.

- Świetnie. Pójdziemy sobie na zakupy, a potem na lunch. Pilnie potrzebuję paru drobiazgów i myślę, że u Bradbury'ego załatwimy wszystko bez trudu.

W sobotę Liz już za pięć jedenasta była u pani Alison. Włożyła swój beżowy kostium i białą bluzkę. Poprzedniego dnia musiała dopasować sobie spódnicę, bo istotnie schudła tak znacznie, że spódnica była o wiele za szeroka. Trzeba było wypruć ją z paska, zszyć po bokach, a pasek skrócić o dwa cale. Teraz leżała bez zarzutu i ukazywała, że Liz ma całkiem ładną figurę - wąską talię i ładnie zaokrąglone biodra. Góra od kostiumu nie wymagała przeróbek - szerokie rękawy były w modzie. Liz włożyła też pantofle na obcasie i z przyjemnością przejrzała się w lustrze. Tak, mogła iść do domu towarowego „U nas”. Dzień był ciepły, prawdę mówiąc za ciepły na kostium, ale Liz nie miała innego tak ładnego ubrania.

- Trudno - powiedziała sobie głośno. - Najwyżej trochę pocierpię. Jakoś wytrzymam.

Pani Alison miała na sobie letnią, kremową sukienkę i niewielki, lekki kapelusik z kremową wstążką. Wyglądała jak zwykle czarująco. Wyprowadziła z garażu swój mały, niebieski samochodek i pojechała do centrum.

Liz od czasu, gdy wymówiono jej pracę, nie była „U nas”, bo i po co miała tam chodzić - na zakupy nie było ją stać, a nikt tam za nią nie tęsknił. Teraz z przyjemnością szła obok pani Alison po szerokich, wykładanych wzorzystym chodnikiem schodach, wdychała znajomy zapach nowych towarów i drogich perfum - zapach luksusu - i słuchała znajomej, cichej muzyki.

Dział kosmetyków znajdował się na pierwszym piętrze i zajmował bardzo dużo miejsca. Wszystko było tu różowe - różowe stoliki, dywan na podłodze i draperie z lekkiego materiału. Także mundurki sprzedawczyń były różowe, ale o kilka tonów ciemniejsze. Natomiast wszelkie ozdoby były złote. Z sufitu zwieszały się złociste lampy, między kontuarami ustawiono złote kolumny, nawet kasa w tym dziale pomalowana była na złoty kolor.

Pachniało tu jeszcze przyjemniej niż w pozostałych działach. Przy oddzielnych stoiskach sprzedawano kremy, balsamy, odżywki, i maseczki, na innym stały perfumy, wody kolońskie i toaletowe. A jeszcze gdzieś indziej były szampony, farby do włosów i środki pielęgnujące i leczące włosy. Dezodoranty, mydélka, pasta do zębów i rozmaite tańsze kosmetyki - o ile u Bradbury'ego cokolwiek było tańsze - leżały na półkach w dziale samoobsługowym.

Pani Alison należała niewątpliwie do stałych klientek, bo podeszła ją przywitać sama kierowniczka działu, którą Liz znała z widzenia. Na Liz spojrzęła przelotnie i wyraźnie widać było, że usiłowała sobie przypomnieć, gdzie ją widziała. Ale najwidoczniej nie mogła sobie skojarzyć.

Pani Alison wybrała dla Liz jasną, koralową szminkę, jasny puder, biały i błękitny cień do powiek i szary ołówek do brwi. Kosztowało to majątek i Liz była prawdziwie speszona. Ale na tym się nie skończyło, bo pani Alison kupiła jej jeszcze perfumy. Wybierały je długo i w końcu Liz za aprobatą pani Alison zdecydowała się na świeży, niezbyt mocny zapach o nucie konwaliowej. Dla siebie pani Alison wzięła flakonik Chanel 5 i Liz o mało nie jęknęła, gdy usłyszała, ile perfumy kosztują.

- Nie kupiłam dla ciebie rózu, Liz - powiedziała pani Alison - bo zupełnie nie potrzebujesz się różować. Masz naturalny rumieniec i to w twoim wieku wystarczy. Zdaje mi się też, że nie masz już kłopotów z cerą?

- Dość długo używałam toniku przesuszającego, który mi pani poleciła, a potem i słońce zrobiło swoje.

- Musimy jeszcze dobrać do szminki lakier do paznokci.

Liz była zakłopotana, że pani Alison wydaje na nią tak dużo pieniędzy.

- Właściwie nie maluję paznokci - protestowała. - Na co dzień nie ma to sensu, bo przy mojej pracy lakier szybko odpryskuje.

- Może się jednak zdarzyć, że będziesz gdzieś wychodzić, z jakimś ładnym chłopcem - zażartowała pani Alison. - I co wtedy? Ładne ręce to wizytówka damy.

Na wzmiankę o chłopcu Liz nie potrafiła ukryć rumieńca. Pani Alison uśmiechnęła się,

- Masz chłopca, Liz? - zapytała łagodnie.

- Tak.

- Czy to coś poważnego?

Liz zastanowiła się przez chwilę. Pomyślała o niebieskich oczach, jasnych włosach i pięknych, wysmukłych palcach, które potrafiły grać na skrzypcach. Westchnęła.

- Nie na poważnie, na pewno nie. Ale bardzo mi się podoba i bardzo go lubię.

- Cieszę się, kochanie, że spotkałaś kogoś takiego. Nie czujesz się teraz taka samotna, prawda?

Liz spojrzęła na panią Alison. Córka Bena była mądrą kobietą.

- Tak, myślę, że właśnie o to chodzi - powiedziała.

- Na coś poważnego masz jeszcze czas, Liz, uwierz mi. A teraz chodźmy do ubrań, bo potrzebuję białego żakietu na lato. A ponieważ tobie nie przywiozłam z Majorjki sukienki, muszę kupić ją teraz - roześmiała się pani Alison.

Liz protestowała, ale jej protesty na nic się nie zdały. I następne czterdzieści minut spędziły bardzo przyjemnie na przymierzaniu, ocenianiu jakości materiału i kroju sukni, bluzek i żakietów. Pani Alison wybrała dla siebie prosty, biały, lniany żakiet bez kołnierza, a dla Liz białą sukienkę w nieduże, pastelowe kwiaty, prostą w kroju, bez rękawów. Sukienka była ze sztucznego jedwabiu - materiał był miękki i miły w dotyku. A szeroki pasek podkreślał talię - talię, z której Liz była taka dumna!

Liz była zachwycona nową sukienką i serdecznie podziękowała pani Alison.

- Jest tak ciepło. Może zostanę już w tej sukni - rzekła z wahaniem.

- Oczywiście, kochanie. Jest lato. Kiedy będziesz ją nosić? A wyglądasz ślicznie! Idź jeszcze do toalety i pomaluj usta nową szminką. Jest w tym samym odcieniu, co kwiaty na

sukni. A ja tymczasem zapłacę i każę odnieść paczki do samochodu. Spotkamy się na dole, przy wejściu.

Liz nie skorzystała z odświeżalni na piętrze z garderobą, tylko weszła wyżej, do działu dziecięcego. Obojętnie przeszła obok stoiska, gdzie kiedyś pracowała i skierowała się do drzwi, za którymi urzędowała miss Daisy.

Miss Daisy akurat przecierała ściereczką jedno z luster.

- Dzień dobry pani - powitała z obowiązkowym uśmiechem Liz spojrzawszy na nią przelotnie. I dopiero po chwili jej ręka czyszcząca lustro znieruchomiała.

- Liz! Panna Liz - poprawiła się szybko. - Mało brakowało, a nie poznałabym pani!

- Tak się zmieniłam? - uśmiechnęła się Liz.

- O Boże, ogromnie! Zeszczupłała pani. I włosy... W ogóle wygląda pani całkiem inaczej! A sukienka... To chyba od nas? Zdaje mi się, że oglądałam ją wczoraj, kiedy dziewczęta rozpakowywały towar.

- Tak. Kupiłam ją przed chwilą - powiedziała Liz. Wiedziała, że to wygląda jak dziecinne chwalenie się, ale nie mogła się oprzeć.

- Bardzo pani do twarzy - rzekła z przekonaniem miss Daisy. - Cieszę się, że się pani dobrze powodzi - uśmiechnęła się szeroko do Liz. - Mówiłam, że wszystko będzie dobrze, prawda?

Liz umyła ręce, przypudrowała nos i starła szminkę, którą miała na wargach. Powoli i starannie pociągnęła usta pomadką, którą kupiła jej pani Alison. Pasowała idealnie do kwiatów na sukience. A przede wszystkim rozjaśniała twarz Liz i nadawała jej świeży, ładny wygląd.

- Tak, mówiła pani, że wszystko będzie dobrze - powiedziała Liz. - Ale też mówiła pani, że nie trzeba się poddawać. A ja pani posłuchałam - uśmiechnęła się Liz.

Ucałowała zdumioną miss Daisy i położywszy na jej stoliczku spory napiwek wyszła. I pomaszzerowała prosto do działu biżuterii. Tam najczęściej można było zastać pana Bradbury. W dziale sprzedawano złote i srebrne wyroby i pan Bradbury osobiście lubił doglądać, czy wszystko w porządku. W końcu z tego działu pochodził największy dzienny utarg.

Jak się Liz spodziewała, pan Bradbury stał przy stoisku z pierścionkami. Wzrokiem bazyliuszka wpatrywał się w dwóch młodych ludzi, którzy przechodzili między stoiskami i oglądali biżuterię. Wietrzy w nich gangsterów, pomyślała rozbawiona Liz. Podeszła dość blisko pana Bradbury i zaczęła oglądać wyłożone za szybą pierścionki.

- Jakiej próby jest to złoto? - zapytała głośno sprzedawczynię.

Pan Bradbury spojrzął na nią. I przez chwilę przyglądał jej się podobnie jak miss Daisy.

- To złoto czternastokaratowe - powiedziała sprzedawczyni.

- Ach tak - w głosie Liz brzmiało lekceważenie. - Myślałam, że to prawdziwe złoto!

- Ależ to jest złoto - odezwał się przymilnym głosem pan Bradbury.

Liz spojrzała mu prosto w twarz.

- Tak pan uważa, panie Bradbury? - zapytała z ironią. - Dzień dobry panu.

- Hm... Witam uprzejmie, panno... Hm... Zapewne miałem przyjemność, ale...

- Nazywam się Liz Hartley. Pracowałam w dziale bielizny dziecięcej - powiedziała chłodno Liz.

Ku swej wielkiej satysfakcji zobaczyła, że policzki pana Bradbury pokrywają się czerwienią.

- Ach tak... No właśnie - wyjąkał.

- Szukam prawdziwego złota, dwudziestotrzykaratowego - rzekła nonszalancko Liz. - No cóż, żałuję. Pójdę do Roberta.

Cios wymierzony był dobrze. Roberts był konkurencyjnym domem towarowym i jego obroty spędzały sen z powiek pana Bradbury.

- Do widzenia, panie Bradbury - powiedziała Liz i z nieco protekcyjnym uśmiechem, jaki zaobserwowała nieraz u bogatych klientek odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Mam nadzieję, że cały weekend będziesz miał o czym myśleć, dyrektorze Bradbury - mruknęła do siebie schodząc po schodach. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się dziecinnie, ale nie mogła sobie odmówić tej drobnej satysfakcji.

Pani Alison zaprosiła ją na lunch do restauracji „Złota Magnolia”. Była to jedna z lepszych i droższych restauracji w mieście i Liz nigdy dotąd tam nie była. Przed wejściem stał portier w liberii i otwierał uniżenie drzwi przed wchodzącymi gośćmi. Drzwi ze szkła, za którymi mieścił się wielki hol wyłożony puszystym, jasnozłotym dywanem. Wystrój samej sali był biało-złoty. Liz zapało dech, kiedy zobaczyła złociste kandelabry na ścianach, okrągłe, odgrudzone od siebie tonącymi w białych pąkach magnolii kwietnikami, stoliki, srebrne półmiski i malowaną w delikatny desień kwiatu magnolii zastawę stołową. Ale po chwili wyprostowała się i podniosła głowę. Jej wygląd tu nie raził i nikt nie powiedziałby, że nie była tu na swoim miejscu. Przeciwnie, poczuła na sobie kilka męskich, dyskretnych spojrzeń i nie były to spojrzenia wyrażające dezaprobatę.

- *Bonjour, madame*, witam szanowną panią - skłonił się przed panią Alison wyfraczony maitre d'hotel. - Stolik na dwie osoby?

- *Bonjour, monsieur Jean* - kiwnęła głową pani Alison i zwróciła się do Liz. - Podoba ci się tutaj, kochanie?

- Tak. Cóż za wyrafinowany smak - powiedziała po francusku Liz.

- Nieprawdaż, *mademoiselle*? Cieszymy się, że się pani u nas podoba - odparł również po francusku Jean i uśmiechnął się do Liz.

Pani Alison uśmiechnęła się również.

- Liz - powiedziała, kiedy usiadły przy stoliku - jestem z ciebie dumna.

W połowie lipca Jane otrzymała awans - została siostrą oddziałową. Z tej okazji urządziła wielkie przyjęcie dla znajomych ze szpitala i oczywiście dla sąsiadów, jako że panowały między nimi bardzo dobre stosunki. Wszyscy byli młodzi i dość szybko się zaprzyjaźnili.

Przyjęcie odbywało się, rzecz jasna, w mieszkaniu Anny i Jane, ale garderoba miała być naprzeciwko, w mieszkaniu Pierra. Karen i Liza przygotowały kilka talerzy przekąsek, Mark udostępnił swoją lodówkę na trunki, Emily, która wprowadziła się na trzecie piętro, obiecała upiec szarlotkę, a Liz oczywiście miała upiec kilka blach pizzy. Anna pomagała jej w tym od rana, aby wszystko było gotowe i ciasto można było włożyć do pieca, gdy tylko goście zaczęli się schodzić. Anna i Jane przygotowały dość obfity zimny bufet - prawdę mówiąc przyjęcie sporo je kosztowało.

- No cóż, wyżej już w życiu nie awansuję - mówiła Jane - więc muszę to należycie uczcić.

Przyjęcie udało się nadzwyczajnie. Kilkoro młodych lekarzy i lekarek, przyjaciół Marka, i pielęgniarki ze szpitala, okazało się bardzo miłymi ludźmi, Will Collins przyprowadził swoją narzeczoną, którą wszyscy już od dawna chcieli poznać, a Emily przyprowadziła swojego chłopca. Pizza Liz jak zwykle wywołała entuzjazm, a sama Liz nie mogła się opędzić od zalotów młodego, świeżo upieczonego doktora, sympatycznego Szweda z ryżowym wąsikiem.

- Masz szczęście do cudzoziemców - szepnęła jej w kuchni Karen i obie zachichotały. Karen nie miała za złe Liz, że Pierre wybrał właśnie ją. Karen była straszną flirtiarą i od czasu, gdy się poznały, miała już trzeciego przyjaciela.

Pierre jednak nie wydawał się być zadowolony z podboju Liz. Chmurnym spojrzeniem mierzył Szweda i gdy tylko doktor zaczął rozmowę z Liz, Pierre wyrastał obok nich jak

spod ziemi. Liz bawiło to i sprawiało jej to jednocześnie przyjemność. Czy mogła kiedyś marzyć o tym, że będzie miała takie powodzenie?

Szwed zamierzał po ukończonej praktyce w szpitalu podpisać kontrakt z jakąś agendą ONZ i wyjechać do Afryki. Roztrząsał z Liz z upodobaniem problemy Trzeciego Świata i miał szereg planów, aby zmienić tam system leczenia i oświaty. Liz wydało się to bardzo interesujące i rozmowa wciągnęła ją. Sama niedawno przeczytała kilka ciekawych artykułów w czasopiśmie medycznym „Health” i doskonale pojmowała, co Szwed ma na myśli. Właśnie omawiali oboje sprawę odżywek dla dzieci z Etiopii, kiedy Pierre znów znalazł się koło nich i przeprosiwszy pociągnął Liz za sobą.

- Czy masz zamiar zostać pielęgniarką Zulusów w Kongo? - zapytał ponuro. - A może zachciało ci się polowania na słonie?

- Zulusi mieszkają w Afryce Południowej - odparła cierpko Liz. - A słonie są pod ochroną.

- Ale rudzi lekarze ze Szwecji w żadnym razie nie są pod ochroną - rzekł jeszcze bardziej ponuro Pierre.

- On nie jest rudy. A ja bardzo lubię blondynów.

- Za to ja nie. Niech już lepiej jedzie do tych Zulusów i niech oni go zjedzą, żebym to ja nie miał go na sumieniu!

- Czy masz zamiar posunąć się do kanibalizmu? - śmiała się Liz.

- Jak będzie trzeba - mruknął Pierre i pociągnął ją do korytarza, gdzie tańczono. W półmroku przyciągnął ją do siebie i przytuliwszy policzek do jej policzka raz po raz dotykał wargami jej ucha, szyi i włosów. Jego dłoń pieszczotliwie gładziła jej odkryte plecy.

- Muszę ci coś wyznać - szepnęła Liz.

- Co takiego?

- Ja chyba nie lubię Szwedów.

- A lekarzy?

- Jeszcze bardziej.

- A Zulusów?

- Tych po prostu nie znoszę.

Pierre mocniej przycisnął ją do siebie. Poczwała na swoich piersiach twarde guziki jego marynarki. Jej biodra przywarły do jego bioder i zrobiło jej się gorąco. Odchyliła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. I wyczytała w nich, jak bardzo jej pragnął.

- Muszę zejść na dół, już czas wstawić kolejną pizzę do pieca - powiedziała bardzo cicho. Nie ufała swojemu głosowi. Bała się, że ją zdradzi.

- Pomogę ci - rzekł równie cicho.

Poszli do kuchni i Liz powiedziała Jane, że pizza za pół godziny będzie gotowa.

- O Boże - Jane robiła koktajle i miała zaaferowany wyraz twarzy. - Dopiero za pół godziny? Myślałam, że jest już w piecu!

- Nie martw się, na pewno nikt nie jest głodny. Przed chwilą zjedli cały półmisek rolady z kurczaka - pocieszyła ją Liz.

- I zostały jeszcze krakersy i sałatka owocowa - dodał Pierre.

- O Boże, może macie rację. Ale pospiesz się, Liz - Jane spojrzała na nią błagalnie.

- Pizza wymaga niestety trzydziestu minut obróbki cieplnej, kochanie - roześmiała się Liz. - No, nie przejmuj się, wszystko będzie okay!

Zeszli z Pierrem do mieszkania Liz trzymając się za ręce.

Kiedy weszli, Pierre przekręcił klucz w zamku. Nie puszczał dłoni Liz i gdy zamknął drzwi, objął ją i przyciągnął do siebie. Poddała się temu z lekkim westchnieniem. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego.

Znów poczuła guziki jego marynarki na swoich piersiach. Zamknęła oczy. Wargi Pierra na jej ustach nie były już delikatne i pieszczotliwe, stały się niecierpliwe. Jego pocałunki były

zaborcze i jego namiętność porwała także ją. Przyłgnęła do niego całym ciałem. Odchyliła głowę do tyłu, kiedy jego usta zaczęły przesuwac się po jej szyi w dół, ku wycięciu bluzki. Jedną ręką swoim zwyczajem pieszczotliwie wsunął w jej włosy, a drugą powoli rozpinął guziki jej bluzki. Nie zawahała się ani chwili i sięgnęła ku guzikom jego koszuli. Kiedy marynarka i koszula opadły na ziemię, przytuliła twarz do jego nagiej piersi. Skóra Pierra była gorąca, a ciało twarde, bez jednej zbędnej uncji tłuszczu. Kiedy odpiął jej stanik i piersi jej dotknęły sprężystej, gorącej skóry mężczyzny, jęknęła cicho.

Pierre wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Jego dłonie były delikatne, czułe i zręczne. I Liz nie myślała już o niczym, pragnęła jedynie, by ją dotykał, całował i pieścił.

Kochał ją długo, póki nie krzyknęła cicho i nie opadła bezsilnie na poduszki. Leżała tak długo, trzymając na swej piersi głowę mężczyzny. Była zachwycona i oszołomiona. Tego, co przeżyła, w najmniejszym stopniu nie można było porównać z randkami z Johnem w ciemnej ciężarówce! Więc tak naprawdę wygląda miłość! Nie otwierając oczu przesunęła pieszczotliwie dłonią po policzku Pierra. Do j końca swoich dni zachowa go w sercu i pamięci za to, co dziś dla niej uczynił.

Gdybym wyszła za mąż za Toma Dicka, nigdy bym tego nie przeżyła, pomyślała nagle. Wszystko, co dotąd zrobiła, było słuszne. Walczyła o to, by nie spędzić życia na tamtej ulicy, walczyła o to, by się zmienić. Teraz wiedziała, że istnieje coś, o co warto walczyć najbardziej - miłość.

- Pierre - powiedziała nagle głaszcząc jego policzek. - Zabierz mnie kiedyś na koncert.

Poczuła, że Pierre całuje jej pierś.

- Na koncert, do nieba, do piekła - mruknął. - Gdzie chcesz, kochanie...

Sam Colding, który prowadził kurs obsługi komputerów, poprosił któregoś dnia Liz, aby po zakończonych zajęciach została na chwilę. Liz zaniepokoiła się przez chwilę - czyżby był z niej niezadowolony? Dotąd nie okazywał tego. A i ona sama miała wrażenie, że raczej idzie jej dobrze. Lubiła te zajęcia i lubiła komputery. Cóż to były za mądre maszyny! Ludzki umysł nie byłby w stanie znieść takiego obciążenia, jakie wytrzymywały ich procesory.

Kiedy uczestnicy kursu pożegnali się i wyszli, Sam przysiadł na stoliku z komputerem, gdzie pracowała Liz.

- Mam nadzieję, że nigdzie się nie spieszysz. Chciałbym zamienić z tobą parę słów - powiedział. Był młodym, poważnym mężczyzną o inteligentnej, szczupłej twarzy. Nosił okulary, ale te nie szpeciły go, przeciwnie - czyniły go bardziej interesującym.

- Nie mam już dziś na wieczór żadnych planów. Słucham cię - Liz, jak i inni uczestnicy kursu, mówiła do Sama po imieniu. Na kursie panowały miłe, koleżeńskie stosunki, wszyscy jego uczestnicy byli młodzi.

- Chciałbym ci coś zaproponować, Liz. Obserwuję cię od początku kursu z uwagą, bo zdaje mi się, że jakoś bardziej emocjonalnie podchodzisz do tego, co robimy - rzekł Sam. - I niewątpliwie jesteś bardzo uzdolniona. A także pracowita i rzetelna. To już piąty taki kurs, jaki prowadzę i muszę powiedzieć, że jesteś jedną z moich najlepszych uczennic.

- Dziękuję - Liz aż się zarumieniła, tak uszczęśliwiła ją pochwała Sama.

- Praca z komputerem sprawia ci przyjemność, prawda?

- Tak - odparła zgodnie z prawdą Liz. - To inteligentna maszyna, ale jej inteligencja zależy od tego, kto przy niej siedzi! To sprawia wielką satysfakcję, gdy potrafi się wykorzystać jej wszelkie możliwości.

- Słuszne spostrzeżenia - uśmiechnął się Sam. - Cieszę się, że to powiedziałaś.

- Tak myślę.

- A co byś powiedziała, aby uczyć się dalej?

- Czego się uczyć? Chodzi ci o komputery?

- Oczywiście - przytaknął Sam. - Rzecz w tym, czy miałabyś chęć nauczyć się czegoś więcej niż to, co przerabiamy na kursie podstawowym.

- Pewnie miałabym - roześmiała się Liz. - Ale powiedz mi coś bliższego.

- Od przyszłego miesiąca będę prowadził kurs dla pracowników pewnej firmy, która produkuje rozmaite maszyny budowlane, prowadzi zresztą też budowy, ale nie o to teraz chodzi. Otóż będę uczył wybraną grupę języków komputerowych, głównie Pascala. Kwestie oprogramowania komputerów to już trudniejsza sprawa niż to, co robiliśmy do tej pory, ale nie wątpię, że poradziłabyś sobie z tym. Masz do tego naprawdę smykałkę, dziewczyno. Szkoda byłoby, żebyś poprzestała na tym, co zrobiliśmy dotychczas. W końcu każda sekretarka to potrafi. Gdybyś zaś poznała języki, mogłabyś znaleźć dobrą pracę i miałabyś pole do popisu.

Liz poczuła, że palą ją policzki. To, co mówił Sam, było urzeczywistnieniem jednego z jej wielkich marzeń. To, i czego nauczyła się do tej pory, to i tak było dużo, choć Sam pogardliwie stwierdził, że tyle umiała każda sekretarka. Ale ona, Liz, do tej pory nie umiała nawet tego! Im bardziej jednak poznawała tę dziedzinę wiedzy, tym chciała wiedzieć więcej i więcej.

- O Boże - wyjąkała. - To byłoby cudowne. Miałabym chęci i czas, i zdobyłabym każdą sumę na opłacenie tego kursu, ale... Jeśli to dla pracowników...

- O to niech cię głowa nie boli. Zostaw to mnie. Załatwię to bez trudności, żebyś mogła brać udział w kursie. I opłata też nie będzie zawrotna, tylko pięćdziesiąt procent więcej niż płaciłaś dotąd.

No, nie było to dla Liz tak mało, ale pomyślała, że zaciśnie pasa i jakoś da radę.

- Dziękuję ci, Sam - powiedziała uszczęśliwiona. - Naprawdę ci dziękuję. Marzyłam o tym, ale nie miałam pewności, czy warto, czy dam radę.

- Na pewno dasz radę.

- Och, jak się cieszę! Chyba zacznę skakać z radości!

- No, to załatwione - uśmiechnął się Sam. - Na następne zajęcia przyniosę ci kwestionariusz do wypełnienia. Zaczynamy od piętnastego sierpnia.

- Choćby jutro!

- A to ci dziewczyna w gorącej wodzie kąpana - śmiał się Sam. - No, to bywaj. Muszę iść do następnych kursantów.

- Do widzenia, Sam. I jeszcze raz dziękuję.

Liz wracała do domu jak na skrzydłach. Po drodze kupiła butelkę białego wina, które uwielbiał Pierre i które ona także zdążyła już polubić. Dzisiejsza propozycja Sama wymagała uczczenia. Po namyśle kupiła jeszcze paczkę gotowego, francuskiego ciasta, by zrobić paszteciki. Było to tuczące danie, ale raz przecież mogła sobie na to pozwolić.

Dzień był upalny, po powrocie do domu musiała wejść pod prysznic. Rozkoszowała się chłodną wodą i czuła się wspaniale. Potem z nawyku stanęła na wadze. Waga nie była sprzętem upiększającym jej łazienkę - Liz kupiła ją na wyprzedży. Była za duża i za ciemna do zielonkawej łazienki. Nie wyświetlała przy tym funtów, tylko kilogramy i dekagramy. Ale kiedy zaświeciły się czerwone cyferki, Liz przez chwilę nie wierzyła własnym oczom: równe pięćdziesiąt pięć kilo! A więc dokonała tego! Trochę głodowała, odmawiała sobie ciastek i czekolady, a nawet mięsa, męczyła się przez kilka miesięcy, ale dokonała tego! Ważyła dokładnie tyle, ile chciała!

Podśpiewując przyrządzała paszteciki. Ach, dziś doprawdy był wielki dzień. I dziś może sobie pozwolić na kulinarne szaleństwo.

Pierre przyszedł po siódmej.

- Liz, co tak pachnie? Już w holu po prostu ścięło mnie z nóg! Mam nadzieję, że jestem zaproszony i że jest tego dużo - zawołał od progu.

- Owszem, jesteś zaproszony na party z okazji uczczenia.

- Uczczenia czego? Masz urodziny? A może to jakaś rocznica?
- Coś w tym rodzaju. Masz do czynienia z kobietą sukcesu.
- Nigdy w to nie wątpiłem - roześmiał się Pierre. - Jesteś jedyną znaną mi osobą, która może zagrozić pani Margaret Thatcher.
- No cóż, wygląda na to, że masz rację.
Pierre objął ją i pocałował.
- Ale skromność raczej nie należy do twoich licznych przymiotów, prawda? - śmiał się.
- Zdaje mi się, że skromność to najczęściej niewiara w siebie. A okazuje się, że człowiek naprawdę może dokonać wiele, jeśli tylko chce. Bardzo wiele zależy od niego samego - powiedziała w zamyśleniu Liz.
Przy kolacji opowiedziała mu o rozmowie z Samem.
- Gratuluję - ucieszył się Pierre. - Chociaż myślałem, że może pojedziemy gdzieś na wakacje. Zostało mi dwa tygodnie do zakończenia praktyki. No, potem spędzę jeszcze tydzień w domu pana Thompsona na wsi. Thompson chce ze mną omówić parę spraw. Jeśli mam zostać współnikiem mego ojca...
- Ty też jesteś człowiekiem sukcesu, prawda? - zapytała Liz.
- Mam nadzieję - odparł Pierre. - Lubię tę pracę i chcę doprowadzić bank ojca do rozkwitu.
- Na pewno to zrobisz - powiedziała z przekonaniem Liz. Umyślnie odwracała myśli Pierra od tematu wspólnego wyjazdu na wakacje. Poprzednio snuli takie plany, choć nie były one zbyt konkretne. Teraz Liz wiedziała już, że nie będzie mogła wyjechać z Pierrem. Nie może sobie w tym roku pozwolić na wakacje. W pierwszej chwili, kiedy o tym pomyślała, zrobiło jej się przykro. Wyobraziła sobie złotą plażę, błękitne morze, opalone ciało Pierra, ciepłe, wakacyjne noce. Z trudem powstrzymała westchnienie. Ale potem pomyślała, że może dobrze się stało, że akurat teraz wypadł jej kurs. Pierre prędzej czy później musi wrócić do Lyonu, do domu. A ona... Nie powinna przywiązywać się do niego jeszcze bardziej.
Rozstanie po wspólnych wakacjach byłoby jeszcze boleśniesz.
Kiedy leżała później przytulona do nagiego ciała Pierra, myślała, że naprawdę dobrze się stało, iż kurs zaczyna się w sierpniu. Pierre musi wracać do domu, było to jasne od początku. Ani on, ani ona nie powinni komplikować sobie życia.
Pierre wychodził od niej zwykle przed północą. Całując ją na dobranoc nagle uderzył się lekko dłonią w czoło.
- Ależ ze mnie roztargniony człowiek - powiedział. - I ja chcę kierować bankiem! Mam przecież bilety na koncert!
Liz zabiło nagle serce.
- Naprawdę? To cudownie, Pierre! Kiedy je kupiłeś?
- Wcale ich nie kupiłem. Dostałem je od mojej znajomej. Gra w orkiestrze na wiolonczeli.
- No oczywiście! Jeśli chodzi o ciebie, zawsze *cherchez la femme* - roześmiała się.
- Nie masz się z czego śmiać. Orkiestry symfoniczne mają zwykle w lecie przerwy urlopowe, więc wolałem zadzwonić do tej dziewczyny i upewnić się, co i jak. To moja rodaczka, ma na imię Marie. Bardzo miła dziewczyna.
- Ach tak.
- Ach tak, ach tak - przedrzeźniał ją całując w czubek nosa. - Okazuje się, że dobrze zrobiłem dzwoniąc, bo istotnie mają przerwę jeszcze tydzień. Ale na pierwszy koncert po przerwie przysłała mi bilety. Program koncertu jest bardzo sympatyczny, sam Mozart. Zawsze w lecie dają Mozarta. Ma być „Eine kleine Nachtmusik” i coś tam jeszcze. Ja nie jestem wielkim wielbicielem muzyki poważnej, ale Mozarta posłucham z przyjemnością. Kiedy uczyłem się grać na fortepianie, tylko Mozart był w stanie utrzymać mnie przy instrumencie.

- Bardzo ci dziękuję, że to załatwiłeś - powiedziała Liz.
- Byłbym załatwił prędzej, gdybym przypuszczał, że jesteś miłośniczką naszej orkiestry symfonicznej. Nie wiedziałem o tym.

Ja też o tym nie wiedziałam, pomyślała Liz. Kiedy Pierre stał już w drzwiach, zatrzymała go jeszcze na chwilę.

- Pierre, czy w mieście jest tylko jedna orkiestra symfoniczna? - zapytała.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- No, chyba tak. Jedna jest filharmonia, to i pewnie jedna orkiestra. Chociaż zapewne jest też kilka pomniejszych zespołów kameralnych. Nie dla wszystkich muzyków starcza przecież miejsca w orkiestrze. Ale dlaczego cię to interesuje? Zamierzasz chodzić na wszystkie koncerty w mieście? - roześmiał się.

- Jeśli będzie trzeba - uśmiechnęła się Liz.

Gdy Pierre opuścił jej mieszkanie, długo nie mogła zasnąć. Udało się jej tak wiele - miała swoje mieszkanie, pracowała, uczyła się i nauczyła się bardzo wiele. Dobrze wyglądała, tak jak to sobie wymarzyła. Tak, niewątpliwie wiele dokonała, ale jednocześnie miała wrażenie, że dopiero stoi na progu.

Następnego dnia idąc do czytelni Liz wstąpiła do księgarni Elby'ego. Znajdował się tam duży dział muzyczny z płytami, taśmami i wydawnictwami muzycznymi. Liz podeszła do półek z płytami i uważnie zaczęła je przeglądać. Mozarta było bardzo dużo. Zauważyła, że wiele płyt miało ten sam tytuł - jeden utwór nagrany był przez wiele orkiestr, krajowych i zagranicznych, pod kierunkiem rozmaitych dyrygentów. Nazwiska tych ostatnich nic jej nie mówiły. Nie wątpiła, że znajdują się wśród nich wybitni i mniej uzdolnieni, ale nie potrafiła wybrać najlepszych. Na chybił trafił wzięła więc z półki jedną płytę z „Eine kleine Nachtmusik” i jedną z kwartetami smyczkowymi. Na więcej płyt nie mogła sobie pozwolić.

W czytelni wzięła z półki „Leksykon terminów muzycznych” i uważnie przestudiowała wszystko, co napisano na temat kwartetów smyczkowych i utworu „Eine kleine Nachtmusik”. Przeczytała też wiele innych haseł, choć prawdę mówiąc czytając niektóre niczego nie rozumiała. Natrafiała na mnóstwo słów, które były jej nieznane, musiała szukać ich objaśnień w innych słownikach, powodowało to tylko mętlik w głowie. Dobry Boże, muzyka była znacznie trudniejszą dziedziną niż komputery!

Później poszła do biblioteki. Z bibliotekarkami zdążyła się już nieomal zaprzyjaźnić - należała do najgorliwszych czytelniczek. I - na co panie z biblioteki zwracały szczególną uwagę - nigdy nie niszczyła książek. Początkowo myślały, że w ogóle ich nie czyta, bo kilka razy pożyczyły jej nie czytane jeszcze przez nikogo nowości i kiedy je zwróciła, wyglądały, jakby nikt nie miał ich w ręce. Kiedy jednak nawiązały na ten temat rozmowę, okazało się, że panna Hartley przeczytała książki i to bardzo dokładnie.

- Dzień dobry - powitały ją z uśmiechem.

- Odłożyłyśmy dla pani Galsworthy'ego, jak pani sobie życzyła - poinformowała ją z uśmiechem pani Stacy.

- Dziękuję, ale nie wezmę go dzisiaj. - powiedziała Liz. -Chciałabym dostać jakąś biografię Mozarta.

- O Mozarcie mamy sporo pozycji. Chyba tylko Beethoven go wyprzedza - uśmiechnęła się pani Stacy.

- Chciałabym coś możliwie przystępnego.

Bibliotekarki spojrzały na siebie.

- Anette Kolb? - zapytała pani Stacy pannę Gordon.

- Anette Kolb - potwierdziła panna Gordon. - To bardzo dobra biografia - zwróciła się do Liz. - Na pewno będzie z niej pani zadowolona! Anette Kolb zafascynowana była Mozartem i to się czuje, kiedy się czyta jej książkę.

Liz wiedziała, że może zaufać pannie Gordon i pani Stacy. W bibliotece zarabiała się niewiele i skoro obie tu pracowały, to tylko dlatego, że książki były dla nich całym światem.

W domu ostrożnie rozpakowała płyty z papieru. Przyglądała się im nie bez wzruszenia. Oto zaczynało się dla niej coś nowego, znów stawała na początku nowej, nieznanej drogi. A zdążyła już przekonać się, że warto chodzić nieznanymi drogami.

Dotąd muzyka poważna nudziła ją, jeśli już miała okazję natknąć się na nią w radiu lub telewizji. Teraz postanowiła być cierpliwa. W końcu nawet melodia, która później stawała się przebojem, nie wydawała się szczególnie wyjątkowa, gdy słuchało jej się po raz pierwszy. Dopiero za trzecim, czwartym czy dopiero nawet dziesiątym razem zaczynało się czekać na jakąś charakterystyczną frazę, której słuchanie sprawiało przyjemność. Zapewne z muzyką poważną jest tak samo.

Tego wieczoru Liz przesłuchała „Eine kleine Nachtmusik” dokładnie siedem razy. I kiedy słała sobie łóżko, żeby położyć się i poczytać książkę Anette Kolb, nuciła żywą melodię bez trudności. I nie mogła zaprzeczyć, że melodia była czarująca!

Im bliższy był termin koncertu, tym bardziej była Liz podniecona. Któregoś dnia w porze lunchu zadzwoniła do pani Alison. Musiała wiedzieć ze stuprocentową pewnością, co należało na siebie włożyć.

- Najlepsza byłaby ciemna suknia, Liz - powiedziała zdecydowanie pani Alison.
- Czy musi być długa?
- Nie. To nie jest, o ile wiem, żaden koncert galowy. Poza tym jest lato i koncert odbywa się jakby poza sezonem.

- Mam tylko tę czarną suknię, w której byłam na pogrzebie cioci Fanny...
- Ta nie będzie odpowiednia, kochanie. Po pierwsze materiał jest raczej gruby, zimowy. No i krój nie ma wieczorowego charakteru.

Liz zamilkła na chwilę. Tak, sama rozumiała, że jej czarna sukienka jest mało odświętna jak na taką okazję.

- Hallo, Liz?
- Jestem, jestem...
- Posłuchaj, Liz, ja miałabym dla ciebie sukienkę...
- Ależ nie, przecież ja...
- Posłuchaj, Liz - przerwała jej zdecydowanie pani Alison. - Ja mam pełną szafę sukienek, w których byłam już tu i tam parę razy. I w żaden sposób nie mogę już ich więcej założyć. Wiem sama, że to śmieszne, ale tak się przyjęło, że kobieta z mojego środowiska na każdą większą okazję musi mieć coś nowego. A suknie, które, jak to się mówi, już obnosiłam, wiszą w szafie i czekają Bóg wie na co! Co parę lat pakuję je i oddaję na jakąś akcję dobroczynną. Jeśli umiesz szyc, przyjdź do mnie i wybierz sobie coś, co ci będzie odpowiadało. Czarnych sukienek mam pewno z pięć! Jestem trochę wyższa i nieco cięższa, ale niewiele, więc pewnie i z przeróbką nie będziesz miała roboty.

- Nie wiem, doprawdy...
- Daj spokój Liz, jesteśmy starymi przyjaciółkami. Chcę ci pomóc, więc przyjdź i wybierz sobie coś bez ceregieli. Czekam na ciebie wieczorem.
- Dobrze. Dziękuję pani - powiedziała ucieszona Liz. Oto problem miała rozwiązany. O ile znajdzie w garderobie pani Alison coś stosownego.

Okazało się, że garderoba pani Alison kryła prawdziwe skarby. Najbardziej Liz spodobały się nie suknie czarne, ale wąska, długa do pół łydki ciemnoszafirowa suknia z lejącego, miękkiego materiału. I kolor i prosty krój czyniły z niej prawdziwą kreację. Pani Alison orzekła, że suknia będzie na wieczór idealna.

- Całkiem o niej zapomniałam, kochanie, a przecież ona jest jakby uszyta dla ciebie. Podkreśli kolor twoich oczu. A poza tym taka młoda osoba jak ty może nawet lepiej będzie się prezentować w tym kolorze. Czarny to jednak bardzo poważny kolor.

- Naprawdę sądzi pani, że będzie dobra?
- Na pewno. Przymierz, to zobaczymy, co w niej trzeba przerobić.

Suknia nie była przycinana w pasie i okazało się, że cała przeróbka powinna polegać na zwężeniu boków. Nawet skracać nie było potrzeby, bo pani Alison nie była wiele wyższa od Liz.

- Wspaniale - orzekła pani Alison. - Wybierz sobie jeszcze coś. A jak chcesz, zabierz wszystkie. Ja naprawdę nigdy już ich nie włożę. A trudno, żebym po domu chodziła w sukni do kostek albo z dekoltem ledwo zakrywającym biust - śmiała się.

- Dziękuję pani! Ale ja przecież nie potrzebuję tylu sukienek!

- Kobieta zawsze potrzebuje tylu sukienek, kochanie! A nawet jeszcze więcej! Pożyczę ci też sznur perełek na koncert.

Liz nie chciała jednak nadużywać hojności pani Alison. Dała się namówić jeszcze tylko na dwie suknie - czarną, uszytą prawie tak samo jak ciemnoszafirowa, tyle że z dużym wycięciem na plecach, zamiast z przodu, i szarą, a właściwie srebrzystą, bo materiał miał metaliczny połysk, o szerokiej, kloszowej spódnicy.

Teraz, pomyślała Liz z humorem, mogą rzeczywiście, jak mówił Pierre, pójść na wszystkie koncerty, jakie odbędą się w najbliższym czasie w mieście.

W dniu koncertu Liz poprosiła Lili, żeby uczesała ją jakoś szczególnie.

- Idę na koncert - wyjaśniła.

- Z ładnym chłopcem? - roześmiała się fryzjerka.

- Z bardzo ładnym chłopcem - potwierdziła Liz. Lili zastanowiła się przez chwilę.

- Jak masz uszytą suknię? - zapytała.

- Jest wąska i ma dość głębokie wycięcie z przodu.

- W takim razie zaczeszę ci włosy do góry - zdecydowała Lili. - Skoro masz odsłonięte ramiona, pokażemy je w całości. I szyję. Szyje trzeba pokazywać, póki jest młoda, bo szybko się starzeje.

- Do góry? - spytała z powątpiewaniem Liz. - Ale ja nie mam zbyt bujnych włosów. I nigdy się tak nie czesałam...

- A od czego niezawodna Lili? - zaśmiała się fryzjerka. - Wyczarujemy ci bujne włosy!

I rzeczywiście - Lili zaczesła włosy Liz do góry i na samym czubku głowy upięła je w coś w rodzaju luźnego koka, z którego wymykało się kilka loczków. Lili pracowała nad tym prawie godzinę, ale gdy skończyła, fryzura wyglądała naturalnie, bezpretensjonalnie i bardzo dziewczęco. A twarz Liz jakby się wydłużyła i wyszlachetniała.

- Lili - ucałowała Liz fryzjerkę - naprawdę jesteś niezawodna!

- No - śmiała się fryzjerka. - Twój ładny chłopiec przepadł dziś z kretesem. To brunet czy blondyn?

- Blondyn - uśmiechnęła się Liz.

W domu Liz już na pół godziny przed wyjściem była gotowa. Wzięła prysznic, nałożyła sobie na twarz maseczkę odświeżającą, a potem długo i starannie robiła przed lustrem makijaż. Użyła trochę więcej pudru niż zwykle, aby twarz na pewno pozostała matowa i dwukrotnie pomalowała tuszem rzęsy, aż stały się sztywne i bardzo ciemne. Szminki za to nałożyła niewiele - lepiej, gdy usta wyglądały jakby były naturalne. Na szyję włożyła perełki od pani Alison.

Liz nie miała w domu odpowiednio dużego lustra, aby obejrzeć się od stóp do głów, ale spojrzenie Pierra, gdy po nią przyszedł, wystarczyło jej za wszelkie lustra świata.

Liz nigdy dotąd nie była w filharmonii. Budynek był szary, okazały, z szerokimi schodami wiodącymi do głównego wejścia, gdzie kilka kolumn podtrzymywało obszerny taras, na który w czasie pięknej pogody publiczność wychodziła na przerwę. Do foyer wchodziło się przez szklane drzwi z holu wyłożonego marmurem. Foyer było bardzo duże, a

lustrzane ściany potęgowały jeszcze wrażenie jego rozległości. Ludzi wewnątrz znajdowało się już sporo - stojące wszędzie mniejsze i większe grupki pięknie ubranych kobiet i eleganckich mężczyzn w pierwszej chwili onieśmieliły Liz.

Pierre odebrał od niej krótki zakieczik, uszyty z tego samego materiału co suknia i poszedł zanieść go do szatni. Liz usunęła się na bok, stanęła w rogu foyer. Obok niej przeszły dwie dojrzałe niewiasty w dość śmiało wydekoltowanych toaletach, obwieszone ciężką biżuterią. Niewątpliwie musiały mieć koło pięćdziesiątki, ale obie miały znakomite figury. Świetny makijaż i gładkie, dobrze utrzymane przez kosmetyczkę twarze. Bił od nich dobrobyt i ogromna pewność siebie.

No cóż, pomyślała Liz przyglądając się brylantom na ich szyjach, nie mogę z nimi konkurować, ale zawsze mogę się pocieszyć, że jestem młodsza!

Zaniepokojona, czy nie wygląda źle na tle towarzystwa zgromadzonego wokół - ruszyła w stronę luster, by się przejrzeć. I nagle zobaczyła idącą naprzeciw młodą kobietę w szafirowej sukni. Suknia była zbluzowana lekko na górze, za to opinała się na biodrach, podkreślając ich doskonały kształt. Kobieta była raczej drobna, ale szczupła, o niezwykle harmonijnej sylwetce. Nie miała uderzającej urody, ale jej twarz była świeża i miła, a oczy prawie tak samo intensywnie niebieskie jak suknia. Lśniące, miękkie włosy ułożone w pukle wieńczyły jej głowę.

Skąd się bierze tyle ładnych kobiet, pomyślała z westchnieniem Liz i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że przecież patrzy na swoje własne odbicie! Tak, ta młoda, elegancka dziewczyna to była ona, Liz Hartley! Nie mogła się powstrzymać i uśmiechnęła się do swego odbicia.

- Zawsze mówiłem, że damska próżność nie ma sobie równej - usłyszała za sobą rozbawiony głos Pierra.

- Och, nie! Nie jestem próżna! - spieszyła się. Pierre uśmiechnął się i wziął ją pod ramię.

- No proszę, a do tego jeszcze brak prawdomówności - żartował dalej. - Same wady!

- Doskonali są tylko mężczyźni, prawda? - dostosowała się do jego tonu. - A wśród nich prym wiodą Francuzi!

- *Touche* - roześmiał się Pierre. - Nie musisz się przeglądać, Liz - spoważniał. - Wyglądasz pięknie.

- Dziękuję.

Kiedy zajęli miejsca na widowni, Liz ucieszyła się, że siedzą tak blisko podium dla orkiestry. Czowała, jak ogromnie jest napięta i podenerwowana. Jej dłoń w której trzymała program kupiony przez Pierra, lekko drżała. A jej serce waliło jak szalone. Wreszcie światła z tyłu przygasły, i na podium zaczęli wchodzić członkowie orkiestry. Liz wcisnęła się głębiej w fotel. I nagle zobaczyła jasną głowę nad białym gorssem koszuli i poczuła, że robi jej się słabo. Przymknęła oczy. Wiec jednak. Udało jej się. To na pewno był on!

Rozległy się dyskretne oklaski, na podium wszedł dyrygent. Orkiestra siedziała pełna oczekiwania. Dyrygent dał znak i popłynęły pierwsze dźwięki muzyki. Liz jednak zupełnie nie mogła się na nich skoncentrować. Patrzyła na siedzących w lekkim półkołu skrzypków, widziała ich płynne ruchy. A potem oczy jej spoczęły na pięknej twarzy, którą wdziała tylko raz i której przez tyle miesięcy nie mogła zapomnieć. A więc znalazła go. Siedziała oddalona od niego o kilkanaście metrów i mogła na niego patrzeć.

W pierwszej części koncertu orkiestra grała dwa kwartety na fortepian, skrzypce, altówkę i wiolonczelę oraz „Eine kleine Nachtmusik”. Liz skupiła się wreszcie na tym ostatnim utworze - po prostu dlatego, że już go dobrze знаła.

- Są bardzo dobrzy - powiedział Pierre z przekonaniem, kiedy umilkły oklaski i publiczność zaczęła wychodzić na przerwę. - Cieszę się, że mnie namówiłaś na ten koncert. Dawno już nie słyszałem tak dobrej muzyki!

- Czy nie uważasz, że powinieneś to powiedzieć swojej znajomej, która przysłała nam bilety? Miło jej będzie na pewno, kiedy przyjdiesz jej osobiście podziękować.

- Masz rację.

- Chętnie pójde z tobą - powiedziała szybko Liz w obawie, że Pierre będzie chciał sam wybrać się do Marie.

W niewielkim pomieszczeniu dla artystów, gdzie wypoczywali członkowie orkiestry, było bardzo tłoczno. Stali bywalcy, przyjaciele i znajomi witali się z muzykami, gratulowali im, wymieniano pozdrowienia i fachowe uwagi. Liz trzymała się z tyłu za Pierrem. Serce waliło jej ciągle tak samo.

Marie, znajoma Pierra, okazała się pulchną, małą, ale bardzo sympatyczną blondynką. Pierre niewątpliwie jej się podobał, bo aż zarumieniła się witając z nim. Liz przywitała raczej chłodno. Liz trzymała się nadal pół kroku za Pierrem i nie wtrącała do rozmowy. Z niejakim rozbawieniem obserwowała, jak szczupła, bardzo wysoka brunetka, z którą rozmawiała Marie, gdy do niej podeszli, usiłuje na siebie zwrócić uwagę Pierra. Pierre tak się podobał dziewczynom!

- Naprawdę uważa pan, że dobrze nam poszło - szczebiotała czarnulka spoglądając kokieteryjnie na Pierra. - Miło usłyszeć opinię prawdziwego znawcy.

Marie, wyłączona nagle z rozmowy, zwróciła się chcąc nie chcąc do Liz.

- Czy pani jest równie dobrego zdania? - zapytała grzecznie, aczkolwiek widać było, że opinia Liz i sama jej osoba nie interesują jej w najmniejszym nawet stopniu. Oczy miała zwrócone na Pierra.

- Nie jestem takim znawcą jak Pierre - odparła zdawkowo Liz. - Przepraszam panią, ale zdaje mi się, że miałam już przyjemność poznać tego pana - Liz wskazała nieznacznie głową w kierunku swego skrzyпка, stojącego przy oknie i palącego w zamyśleniu papierosa. - Czy to nie Charles Colon?

Marie spojrzała w stronę okna.

- Ma pani na myśli tego, który trzyma w ręku papierośnicę? - zapytała.

- Tak. To Charles, prawda?

- Niestety. Myli się pani. To Dominik Fogarty,

Liz przełknęła ślinę. Dominik! Zerknęła dyskretnie na zegarek. Pozostało jeszcze dwanaście minut do końca przerwy.

- Niemożliwe! - udała bezgraniczne zdumienie. - Mogłabym przysiąc... Poznałam go parę miesięcy temu u znajomych... Rzadko spotyka się takie podobieństwo... Ach - teraz udała, że podjęła nagłą decyzję - proszę mnie przedstawić. Muszę to wyjaśnić. Przecież nie cierpię jeszcze na sklerozę, żebym pomyliła nazwiska! Niewątpliwie przedstawiono mi go jako Cherlesa Colon!

- Jeśli pani sobie życzy... Proszę bardzo - Marie z ociąganiem skierowała się ku oknu.

- Pierre, przepraszam cię na sekundę, ale zdaje mi się, że widzę kogoś znajomego - powiedziała Liz i ruszyła za Marie. Znów zerknęła na zegarek. Do końca przerwy zostało dziesięć minut. Mam dziesięć minut, tylko dziesięć minut, tłukło się jej po głowie. Z trudnością przełknęła ślinę.

- Halo, Dominik - zawołała Marie. - Chciałabym cię przedstawić mojej znajomej...

- Liz Hartley - pomogła jej Liz. Spojrzała w niebieskie oczy i pomyślała, że więcej nie wykrztusi z siebie ani słowa. Musiała jednak coś powiedzieć, aby nie dopuścić do głosu Marie. Nie daj Boże, aby zaczęła opowiadać teraz tę głupią, naprędce wymyśloną przez Liz historyjkę, jakoby Dominik był Charlesem... - Mieliście państwo doskonały pomysł, aby zestawić te właśnie utwory Mozarta - zaczęła mówić z wysiłkiem. - Ich powstanie dzieli zaledwie rok czasu, a jednak widać tu jakby stopień po stopniu idącą ku szczytowi doskonałość.

- Dominik Fogarty - przedstawił się skrzypek i obrzucił Liz krótkim spojrzeniem.

Patrzyła na niego z napięciem, ale na jego twarzy nie zauważyła niczego, co wskazywałoby na to, iż ją sobie przypomina. Nie, dzięki Bogu, nie mógł jej sobie przypomnieć. Była wtedy gruba, źle umalowana, zmęczona i przygnębiona, ubrana w bury fartuch z drelichu! Uśmiechnęła się nie bez trudu.

- Jest pani wielbicielek Mozart? - zapytał Dominik Fogarty.

- Właściwie nie znam nikogo, kto nie byłby jego wielbicielem - odezwała się z trudnością. A jeśli chodzi o dzieła z okresu jego życia w Wiedniu...

- Za miesiąc przedstawimy jego sonaty i kilka drobniejszych utworów. Jeszcze nie podjęliśmy ostatecznej decyzji, które to będą. Pertraktujemy z kilkoma solistami i wygląda na to, że Conley, pianista, który był uczniem Rubinsteina, zgodzi się na naszą ofertę.

- Pianista? Przyznam się panu, że jakoś z oporami słucham utworów Mozarta na fortepian. Przecież one nie zostały napisane na fortepian, tylko na klawesyn. W pierwotnej wersji musiały brzmieć inaczej. A ja nigdy nie słyszałam klawesynu - powiedziała spontanicznie. - I prawdę mówiąc nie widziałam.

- Z zobaczeniem nie byłoby trudności. W Muzeum Instrumentów mają kilka pięknych klawesynów.

- Och, nie widziałam. A czy można na nich grać?

- Kiedyś próbowaliśmy wypożyczyć jeden na koncert, ale odmówiono, bo to szczególnie cenne eksponaty. Jeden z moich znajomych, który zajmuje się ich konserwacją, mówił mi, że mają piękny dźwięk.

- Grał pan kiedyś na takim instrumencie?

- Niestety.

- To co zrobić?

Niebieskie oczy popatrzyły na nią z sympatią.

- Zdaje się, że sprawa jest beznadziejna - powiedział z lekkim uśmiechem.

- Sprawa nigdy nie jest beznadziejna - zaperzyła się Liz. - Zawsze znajdzie się jakieś wyjście.

- Doprawdy? - uśmiechnął się szerzej. To był ten sam uśmiech, który kiedyś już widziała.

Liz przycisnęła mocniej torebkę do piersi. Dlaczego serce nie chce się uspokoić!

- Ostatecznie można pójść do muzeum i zagrać kilka taktów. Nie aresztują mnie chyba za to! - powiedziała to nie bardzo zastanawiając się nad tym, co mówi. Spojrzenie niebieskich oczu wywoływało w jej głowie zamęt.

Dominik Fogarty roześmiał się. Nieskazitelna biel jego zębów podkreśliła ciemną barwę jego opalonej twarzy.

- Nie mam co do tego pewności - rzekł rozbawiony. - Eksponaty zabezpieczone są systemem alarmowym i ponadto w każdej sali czuwa jakiś cerber. Nie radziłbym ryzykować.

- Ale jeśli patrzeć na wszystko w ten sposób, z góry trzeba z wielu rzeczy rezygnować! - zawołała Liz - Nie da się realizować marzeń bez odrobiny ryzyka!

- Mam wrażenie, że jest pani osobą, która realizuje swoje marzenia, panno Hartley - skrzypek uśmiechał się nadal, ale był to uśmiech pełen życzliwości.

- Trzeba samemu kształtować swoje życie, a nie pozwalać, żeby ono nas kształtowało - powiedziała dobitnie Liz to samo, co nie tak dawno Dominik Fogarty powiedział do niej w sklepie starego Bena.

Mężczyzna spojrział na nią uważnie.

- Niewątpliwie ma pani słuszność, panno Hartley - rzekł poważnie. A potem znów się uśmiechnął. - Jak zatem poradzi sobie pani z klawesynem?

- Hmm... Chyba właśnie tak, jak powiedziałam. Pójdę do muzeum i po prostu postukam palcem w klawisze! No i niech się dzieje, co chce.

W tej chwili rozległ się dość głośny dzwonek, znak, że przerwa niedługo się skończy i goście powinni wracać na miejsca, zaś muzycy powinni się skupić przed występem.

Mam jeszcze minutę, pomyślała Liz. Minutę, żeby nasze poznanie na tym się nie skończyło. Podniosła wzrok i spojrzała prosto w niebieskie oczy Dominika.

- Jeśli mi pan nie wierzy, proszę być jutro świadkiem tego wydarzenia w muzeum - powiedziała. W ustach całkiem jej zaschło i wydawało jej się, że wargi ma całkiem sztywne. Ale uśmiechnęła się. Nie tak kokieteryjnie, jak przed chwilą Marie i jej znajoma do Pierra. Uśmiechnęła się do niego, jak do starego przyjaciela.

I Dominik Fogarty odpowiedział na jej uśmiech.

- Nie mogę na to pozwolić, aby panią aresztowano, panno Hartley! Musiałbym stawać w sądzie jako świadek i to być może świadek oskarżenia. Postaram się, żeby mogła pani usłyszeć dźwięk klawesynu mniejszym kosztem. Zadzwoń do mego znajomego, o którym pani wspominałem, który jest konserwatorem instrumentów w muzeum, i poproszę go, aby dla pani zagrał kilka taktów.

- Dziękuję panu. Czy sądzi pan, że pański znajomy się zgodzi? To byłoby cudowne!

- Sądzę, że się zgodzi. Proszę mi dać swój telefon. Zadzwoń do pani.

- Rzadko kiedy czekałam na telefon z taką niecierpliwością, z jaką będę czekać na pański - powiedziała Liz podyktowawszy mu numer telefonu. I tym razem pozwoliła sobie na odrobinę kokieterii w głosie.

Utworów, które grano w drugiej części koncertu, Liz prawie w ogóle nie słyszała. Patrzyła na Dominika, na jego jasną głowę, na jego długie, szczupłe palce trzymające smyczek. Widziała przed sobą jego oczy, jego uśmiech... Był taki właśnie, jak go sobie zapamiętała. I wiedziała, że nic nie zdoła go wyrzucić z jej pamięci. Dziś rozmawiałam z tobą, pomyślała, a jutro mnie pokochasz!

Dominik Fogarty zadzwonił do niej po czterech dniach. Znajomy konserwator miał czas w sobotę po lunchu. Muzeum Instrumentów zamykano w sobotę o pierwszej, zwiedzających proszono o opuszczenie sal kwadrans wcześniej. W ciągu tego kwadransa sprawdzano, czy zamknięte są okna i czy w ogóle w którejś z sal nie znajduje się nic podejrzanego - z muzeum kilka miesięcy temu ukradziono instrument roboty samego mistrza Amatego - w ciągu tego kwadransa konserwator mógł zagrać na klawesynie jakiś drobny utwór Mozarta.

- Uprzedzam panią, że mój znajomy jest z zawodu konserwatorem, a nie muzykiem, więc zapewne gra jego będzie daleka od doskonałości - powiedział Dominik.

- A czy pan nie mógłby czegoś zagrać? - zapytała nieśmiało Liz.

- Byłbym jeszcze gorszy - zaśmiał się Dominik. - Dwa lata uczyłem się gry na fortepianie, ale nie miałem jakoś do tego serca. Uważam po prostu skrzypce za instrument znacznie doskonalszy.

- Paganini też tak uważał - uśmiechnęła się Liz - a zatem nie jest pan w swym mniemaniu odosobniony.

- Ba, gdybym jeszcze miał zdolności Paganiniego...

Dla mnie jesteś znacznie więcej wart niż Paganini. I Mozart. I wszyscy wielcy muzycy razem wzięci. I jutro mnie pokochasz - pomyślała Liz.

W sobotę rano Liz nie poszła z Pierrem biegać po parku. Wykręciła się kiepskim samopoczuciem. Nie była to właściwie nieprawda, bo Liz była tak podniecona i niespokojna przed spotkaniem z Dominikiem, że wszystko leciało jej z rąk, a na dekolcie pojawiło się kilka czerwonych plam - niewątpliwie oznaka zdenerwowania.

Pierre tego dnia umówiony był na lunch w domu wicedyrektora banku - był to jeden z wielu pożegnalnych lunchów, w jakich brał ostatnio udział Pierre. Za tydzień praktyka jego w banku kończyła się definitywnie. Pierre proponował Liz, by udała się na lunch razem z nim,

było to przyjęte, chodziło bowiem właściwie o niewielkie przyjęcie, w którym mieli wziąć udział jeszcze dwaj panowie z zarządu z żonami. Liz powiedziała mu jednak, że źle by się czuła w towarzystwie osób, które znają się bardzo dobrze - była obca. Ponadto oznajmiła zgodnie z prawdą, że wybiera się do Muzeum Instrumentów, by zobaczyć, jak wygląda klawesyn.

- Liz, nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać - stwierdził Pierre.

A Liz pomyślała nie bez smutku, że właściwie już bardzo niedługo przestanie go zadziwiać, bo Pierre wyjedzie.

Na lunch zjadła tylko kanapkę z kurczakiem na zimno, bo z podekscytowania nie miała apetytu. Potem włożyła swój beżowy kostium i kremową bluzkę, którą dostała wraz z sukienkami od pani Alison i starannie się umalowała. Lili uczesała ją wczoraj, o fryzurę nie musiała się więc martwić. O wpół do pierwszej pojechała autobusem do dzielnicy, gdzie znajdowało się Muzeum Instrumentów.

Dominik czekał już przed wejściem. Ubrany był w niekrępujący weekendowy strój składający się z luźnych, jasnych spodni i błękitnej koszuli z krótkimi rękawami. Wydał się Liz o wiele młodszy niż w poważnym ubraniu wieczorowym. I przy tym jakoś dziwnie bliski. Nie onieśmiał. Nie był z dalekiego świata. A jego oczy, podkreślone barwą koszuli, zdawały się Liz wprost szafirowe. Ach, był pięknym chłopcem i kiedy uśmiechnął się do Liz, pomyślała, że powinien grywać w filmach, a nie w orkiestrze.

- Dzień dobry - powitał ją wesoło - Udała nam się pogoda w ten weekend, prawda?

- Tak, żałuję teraz, że nie poszłam rano pobiegać do parku jak zwykle. Ale miałam tyle zajęć...

- Biega pani regularnie? - zainteresował się.

- Tak. Bardzo to lubię. Czuję się dzięki temu zawsze w formie. I zauważyłam, że nie męczę się tak szybko jak niegdyś.

- Ja pływam. Uwielbiam pływanie.

- Właściwie ja też, ale nie bardzo mam gdzie pływać. Pływalnie miejskie są zwykle przepełnione i nie zawsze tak czyste, jak bym sobie tego życzyła.

- Mieszkam dość daleko za miastem. Mój przyjaciel mieszkający w pobliżu ma duży basen i jest taki uprzejmy, że pozwala mi z niego korzystać bez ograniczeń.

No tak, wielki świat, pomyślała Liz.

- To wygodne - powiedziała.

- Proszę mi tylko powiedzieć, kiedy będzie pani miała ochotę popływać, a basen jest do pani dyspozycji. Nikt prawie teraz z niego nie korzysta, bo mój przyjaciel zwykle w lecie bawi na Karaibach.

- No tak, to coś znacznie lepszego niż basen w ogrodzie - uśmiechnęła się Liz. I pomyślała, że Dominik obracał się właśnie w takim towarzystwie, jak to sobie od początku wyobrażała - ludzi zamożnych, ludzi z innego świata. - Dziękuję w każdym razie za propozycję. Jeśli lato będzie nadal tak pięknie, chętnie skorzystam.

Dominik otworzył przed nią drzwi muzeum.

- Zbliży się pierwsza, George, mój znajomy, czeka już na nas. Jest pani bardzo punktualna, panno Hartley.

- Sama nie znoszę ludzi niepunktualnych, więc jakże bym mogła zachowywać się tak, jak oni - wzruszyła ramionami Liz.

- Kobiety z reguły są niepunktualne.

- Być może znał pan niewłaściwe kobiety - powiedziała Liz i uśmiechnęła się, by załagodzić szorstkość swoich słów. Tak zapewne było - owe bogate, rozpieszczone panny, z którymi miał dotąd do czynienia, nie musiały być punktualne. Miały wystarczająco dużo

czasu na zabawę i były pewne, że mężczyźni będą na nie czekać. Ona, Liz, nie miała czasu do stracenia.

- Być może ma pani rację - powiedział w zamyśleniu Dominik.

Konserwator instrumentów, starszy już człowiek z niewielką siwą bródką i jasnymi, bardzo młodymi oczyma, czekał już na nich przy kasie.

- George Marsh - przedstawił się.

Okazało się, że właściwie nie jest znajomym Dominika, ale przyjacielem jego ojca.

- Jak się miewa John? - zapytał. - Spotkaliśmy się ostatnio w Tokio na wystawie sztuki japońskiej. Miałem kupić dla naszego muzeum kilka starych instrumentów japońskich, ale nic z tego nie wyszło, bo Japończycy zażądali horrendalnych cen. Za to twój ojciec kupił kilka cennych malowideł. Zapłacił bajeczną sumę, ale mam nadzieję, że mu się to opłaciło. Twój ojciec nie robi złych interesów:

Dominik roześmiał się.

- To prawda. Mój ojciec - wyjaśnił Liz - ma galerie sztuki w Londynie, Wiedniu i Nowym Jorku.

- Gdyby chciała pani kupić Rembrandta albo Van Gogha, panno Hartley - uśmiechnął się George Marsh - John Fogarty znajdzie go dla pani w parę tygodni.

Liz roześmiała się serdecznie. Dobry Boże, obraz Rembrandta! Prawdę mówiąc w całym swoim życiu widziała ich tylko dwa w miejscowej Galerii Malarstwa.

- Będę o tym pamiętać - powiedziała. - Obawiam się jednak, że nie tak prędko, jakbym tego chciała, zostanę klientką pana Fogarty.

Mężczyźni roześmieli się.

Kiedy szli po schodach w górę, gdzie mieścił się dział instrumentów klawiszowych, Liz nie włączała się do rozmowy. Raz po raz spod oka zerkiała na Dominika. Więc było tak, jak przypuszczała - pochodził z bogatej rodziny, ze świata, który znała tylko z kina. I z książek - odkąd zaczęła wiele czytać. Piękny i bogaty. Idealny materiał na playboya. Aż dziw, że pracował. I to w tak szczególny sposób - grał w orkiestrze!

- Gdzie bawi John w tej chwili? - zapytał George Marsh.

- Od kilku tygodni jest w Wiedniu. Dobudowano piętro do jego galerii i uroczyste otwarcie odbędzie się jesienią. Ojciec powoli się do tego przygotowuje. Mam nadzieję, że przyjedziesz.

- Postaram się. Bardzo lubię wasz dom w Wiedniu.

- Tak, jest wyjątkowo pięknie położony. Ojciec kupił go zaraz po wojnie od jakiegoś węgierskiego arystokraty.

- Pamiętam. Ten Węgier miał nazwisko niemożliwe do wymówienia. I bardzo piękną córkę.

- Tego nie pamiętam - roześmiał się Dominik.

- Jak masz pamiętać, skoro cię w ogóle na świecie nie było. Ale twoja matka patrzyła na nią bardzo nieufnie. Niesłusznie, bo twój ojciec nie zwracał uwagi na żadną kobietę poza twoją matką.

- To pamiętam - rzekł miękko Dominik.

Szczęśliwe dziecko szczęśliwych rodziców, pomyślała Liz z odrobiną zazdrości.

- Kiedy się zobaczysz z ojcem? - pytał George Marsh.

- Prawdopodobnie dopiero na otwarciu galerii wiedeńskiej. Początek sezonu mamy gorący, a potem pojedziemy na miesiąc na tournée po kraju.

- To dość męczące, prawda?

- Owszem. Ale trudno sobie bez tego wyobrazić nasz zawód.

- Piękny zawód - powiedziała Liz. - Ogromnie żałuję, że nie umiem grać na żadnym instrumencie.

- Nic straconego - uśmiechnął się George Marsh.

- Uczyć się trzeba od dzieciństwa - westchnęła Liz.
- Żeby być wirtuozem - przyznał Marsh. - Ale jeśli chce pani grać sobie na własny użytek... Ja sam zacząłem grać mając dwadzieścia kilka lat.
- Naprawdę? - Liz aż zatrzymała się na schodach. - Sądzi pan, że mogłabym się nauczyć?
- Oczywiście. Jeśli ma pani dobry słuch i bardzo pani tego chce.
- Bardzo chcę - Liz żarliwie złożyła ręce. - No tak, ale kiedy... Chodzę na kurs komputerowy, na francuski...
- I prócz tego na pewno pani pracuje - Marsh patrzył na nią życzliwie.
- Oczywiście. Właściwie mam nawet dwa zajęcia...
- I regularnie biega pani, jak zdążyłem się dowiedzieć - wtrącił Dominik. - Chyba granie musi poczekać.
- Chyba tak - westchnęła Liz. - Ale kurs niedługo się skończy.
- Komputery? - George Marsh wydawał się nieco zdziwiony. - Młode damy pragną najczęściej zostać aktorkami, stewardessami czy w najgorszym razie kosmetyczkami. Ale komputery... Bardzo mi pani zaimponowała, panno Hartley.
Liz roześmiała się.
- Komputer to właściwie też instrument. Tak samo trzeba naciskać klawisze, żeby wydobyć z niego to, co w nim ukryte. I tak samo trzeba dużo pracować, aby być coraz lepszym.
- Piękne porównanie - pokiwał głową Marsh. - Obawiam się, że ja za mało pracowałem i kiedy zacznę uderzać w klawisze klawesynu, rozczaruję panią.
Jednak dźwięk klawesynu nie rozczarował Liz, chociaż zdawała sobie sprawę, że w ten piękny, letni dzień, kiedy stała obok Dominika Fogarty, który się do niej uśmiechał, nic nie było w stanie jej rozczarować. Później zwiedzili jeszcze całe muzeum i George Marsh zademonstrował im grę na kilku egzotycznych instrumentach - indiańskich piszczalkach, bębnie z Afryki i czymś w rodzaju gitary sprzed kilku wieków. Dominik także doskonale znał się na tych instrumentach, objaśniał Liz ich działanie i pochodzenie - widać było, że muzyka jest jego pasją w najszerszym tego słowa znaczeniu.
Kiedy żegnali się z Georgiem Marshem, powiedział on:
- Zapraszam panią serdecznie do ponownych odwiedzin naszego muzeum, panno Hartley. Mamy tu wielu zwiedzających, ale rzadko zdarza się ktoś tak prawdziwie zainteresowany jak pani. Z przyjemnością byłem pani przewodnikiem. Dawno już nie czułem, że moja wiedza nie jest bez znaczenia.
- Ależ naturalnie, że nie - zawołała Liz. - Jakże w ogóle coś podobnego mogło panu przyjść do głowy! Tak wiele się dziś nauczyłam!
- Mam wrażenie, że pani bardzo lubi się uczyć - uśmiechnął się Dominik, otwierając przed nią drzwi.
- Tak - potwierdziła radośnie. - Tylko mam tak mało czasu!
Kiedy wyszli na ulicę, zalały ich potoki słonecznego światła. Dzień był upalny, niebo bez jednej chmurki. Na ulicach było prawie pusto, nikt nie chciał pozostać w taki piękny dzień w mieście. W kawiarni ogródkowej po przeciwnej stronie ulicy zajęte były zaledwie dwa stoliki pod żółto-czerwonymi parasolami.
- Wypijemy coś chłodnego? - zaproponował Dominik.
- Chętnie - ucieszyła się Liz. - Z przyjemnością wypiłabym mrożoną kawę. W budynku było dość duszno, a powietrze po prostu pali.
- Piękne lato - uśmiechnął się Dominik.
- Nie sprawia to panu przykrości, że musi pan być w mieście, kiedy jest tak pięknie, i grać, zamiast wypoczywać gdzieś nad morzem?

- Przyznam się pani, że nie. Ja naprawdę lubię moją pracę. I kiedy mogę ją wykonywać, nic więcej nie potrzeba mi do szczęścia.

- Wie pan, jak rzadko słyszę coś takiego - zamyśliła się Liz.

- Być może nie zna pani właściwych ludzi - powiedział. Uśmiechnął się żartobliwie, ale słowa jego brzmiały poważnie.

Liz spojrzała mu prosto w oczy.

- Teraz już znam - powiedziała.

Przez długą chwilę nie odrywał od niej spojrzenia.

- A pani? Jest już pani po czy przed wakacjami? - zapytał wreszcie.

- Proszę mówić do mnie Liz. W tym roku nie mogę pozwolić sobie na wakacje.

- Kurs komputerowy?

- Między innymi. Kurs zacznie się właściwie dopiero za tydzień. Ale na pewno nie będzie łatwy. Będziemy się uczyć Pascala. To na początek.

- Pascala?

Liz z przyjemnością zaczęła mu wyjaśniać tajniki obsługiwanego komputera i jego wszystkie możliwości. Dopiero po dłuższej chwili zauważyła, że jego oczy robią się jakby coraz większe. Roześmiała się.

- Przepraszam pana....

- Dominik.

- Przepraszam, Dominiku - nie bez wzruszenia wymówiła jego imię. - Zapędziłam się...

- Nie, nie. Ja naprawdę potrafię zrozumieć, że coś może stać się prawdziwą pasją.

- Twoją pasją jest muzyka, prawda? Kiedy zaczęłaś uczyć się grać?

- Moja matka pięknie grała na pianinie. Odkąd pamiętam, fascynowało mnie to. Miałem niecałe pięć lat, kiedy mama zaczęła mnie uczyć. Ale potem kiedyś zabrała mnie na koncert i usłyszałem skrzypce. I od razu rzuciłem fortepian.

- Mamie nie było przykro?

- Właściwie nie. Moja matka była naprawdę wyjątkową kobietą. Umarła, kiedy miałem piętnaście lat.

- Dziś byłaby dumna z ciebie - powiedziała miękko Liz.

- Mam nadzieję. Chociaż...

- Tak?

- Myślę, że jeszcze bardziej cieszyłaby się, gdybym spróbował swoich sił jako solista...

- Czy coś stoi na przeszkodzie?

- Nie urodziłem się Paganinim - uśmiechnął się Dominik.

Liz dojrzała smutek w jego oczach.

- Zapewne. Nazywasz się Fogarty - rzekła zdecydowanie. - Ale cóż to ma za znaczenie. Nie znam się na pracy muzyka, ale tyle już wiem, że w życiu liczy się silna wola i wytrwałość. I kiedy naprawdę się czegoś chce, prawie zawsze można to osiągnąć.

- Talentu nie można wypracować. Trzeba się z nim urodzić.

- Czy naprawdę sądzisz, że w ogóle go nie masz? - podniosła nieco głos. - Przecież bez niego nie doszedłbyś nawet do tego, by grać w tej orkiestrze!

- Do pewnego stopnia masz rację...

- Na pewno mam rację! Czy należysz do ludzi, którzy nie wierzą w siebie? Nie odniosłam takiego wrażenia.

Dominik zamyślił się na chwilę. Pił swoją kawę z nieobecny wyrazem twarzy.

- Nie, nie należę do ludzi, którzy nie wierzą w siebie - rzekł z przekonaniem.

- Należysz do tych, którzy wiele od siebie wymagają, prawda? - uśmiechnęła się Liz. -

Wiesz, że byłbyś dobry. Ale ty chciałbyś być najlepszy.

Dominik spojrzał na nią uważnie, nie bez zaskoczenia.

- Jest pani szalenie przenikliwą osobą, panno Hartley! - powiedział.

- Nie sędę. Ja po prostu cię rozumiem, bo sama taka jestem. I co najdziwniejsze, całkiem niedawno to sobie uświadomiłam - rzekła Liz. I zawdzięczam to właśnie tobie, dodała w myśli.

Dominik wypił swoją kawę i natychmiast zamówił drugą.

- Może zjadłabyś lody? - zaproponował Liz.

- Dziękuję. Marzę o tym, ale nie mogę ulegać zachciankom. W zimie ważyłam sto czterdzieści funtów!

- Niemożliwe!

- Możliwe, możliwe. Muszę zapomnieć o istnieniu lodów.

Dominik roześmiał się.

- No cóż, nie wiem, w czym chcesz być najlepsza, ale na pewno będziesz - powiedział z przekonaniem.

Chcę być najlepsza dla ciebie, pomyślała Liz i uśmiechnęła się patrząc w niebieskie oczy.

- Przygotowujesz się do solowego występu? - zapytała.

- Prawdę mówiąc rozleniwilem się w lecie. Byłem z ojcem dwa tygodnie na jego jachcie. Ojciec mój jest namiętnym żeglarzem i ja też bardzo to lubię. Miałem szczerą wolę pracować - uśmiechnął się ze skruchą - ale wiesz, jak to jest...

- A teraz?

- No cóż, do grudnia mamy program opracowany. Będziemy grać kilka razy z rzędu utwory Mozarta, przyjedzie pianista z Ameryki... Nasz dyrygent planuje po Nowym Roku grać Brahmsa. I rozmawiał ze mną, czy bym nie spróbował...

- Musisz spróbować.

- Brahms... Wolałbym Vivaldiego... Wiele nad nim pracowałem. Bardzo lubię „Cztery pory roku”.

Liz nie miała pojęcia, co to są „Cztery pory roku”. Muszę zapamiętać ten tytuł, pomyślała, i zaraz jutro kupić płytę.

- Jeśli nie masz przekonania do Brahmsa, nie powinieneś się na niego godzić - powiedziała stanowczo. - Nie będąc zadowolony z siebie nie będziesz najlepszy. Wątpliwości sparaliżują twoją wiarę w siebie.

- Tak - mruknął Dominik i przyglądał się w zamyśleniu Liz.

- Czy myślisz, że dyrygent nie zmieni zdania?

- Carrolli? To dość trudny człowiek. Jest już na tyle sławny, by sądzić, że jest nieomylny. Bardzo trudno go przekonać do własnej koncepcji. Zawsze chce postawić na swoim.

- Ty też musisz stawiać na swoim.

- Jesteś niemożliwa, Liz - roześmiał się Dominik. - Powinnaś zostać agentem wahających się artystów.

- Zastanowię się nad tym - zaśmiała się również. - W każdym razie, jeśli chodzi o ciebie, nie spuszczę cię z oka.

- I nie pozwolisz mi grać Brahmsa? - śmiał się.

- Oczywiście, że nie pozwolę! Dopracujesz Vivaldiego, przedstawiś go dyrygentowi i on skapitułuje.

- Liz, kiedy się ciebie słucha, nie sposób w to wątpić!

- Dlaczego miałbyś wątpić? Jestem przekonana, że będzie tak, jak mówię.

- Ja...

- Musisz spróbować, Dominiku, inaczej przez całe życie będziesz miał do siebie pretensje, że nie wykorzystałaś szansy.

- Zapewne...

- Uda ci się! Ach, już sobie to wyobrażam, jak w styczniu po koncercie wręczam ci ogromny bukiet z gratulacjami!

Na sekundę ciepła ręka Dominika dotknęła jej dłoni.

- W takim razie muszę spróbować - rzekł ze śmiechem, ale oczy miał poważne. - Trzymam cię zatem za słowo i czekam na bukiet storczyków.

- Storczyków? - jęknęła udając przerażenie. - Trudno, zrujnuję się, ale będą storczyki. Dla sławnego skrzypka...

Zegar na pobliskiej wieży wybił czwartą.

- Już tak późno - zdziwił się Dominik. - Muszę się przygotować do koncertu. Przyjdiesz dziś nas posłuchać?

- Nie mam biletu.

- Załatwię ci. Będzie czekał na ciebie w kasie.

- Przyjdę z przyjemnością - ucieszyła się.

- Po koncercie idziemy zwykle na kolację do „Trzech taktów”. Może przyłączysz się do nas? Byłoby mi bardzo miło.

Mnie też, pomyślała Liz, ale zawahała się.

- Czy nie będę przeszkadzać? - zapytała. - Idziecie grupą i na pewno omawiacie przy okazji, jak wam poszło. Czy osoba postronna...

- Nonsens - przerwał jej. - Zawsze towarzyszą nam znajomi i osoby zaprzyjaźnione.

Zresztą w „Trzech taktach” spotykają się i muzycy, i aktorzy, i ludzie z opery... Wszyscy się tam znają i nie ma rozmów, tylko dużo hałasu - roześmiał się. - Trochę się pije, trochę tańczy. No, snobów tam też nie brak, ale i to należy do lokalnego kolorytu.

- Chętnie to zobaczę.

- Świetnie. Będzie czekał na ciebie przed wyjściem dla publiczności. Odwieźć cię teraz do domu?

- Nie, dziękuję ci. Ty nie masz wiele czasu, a ja się jeszcze chętnie przejdę.

- To do zobaczenia.

- Do zobaczenia. I dziękuję ci za miłe popołudnie.

- To ja ci dziękuję, Liz.

Kiedy odszedł, patrzyła za nim, dopóki nie zniknął za rogiem ulicy. Szedł szybko, poruszał się harmonijnie, szczupły i gibki.

- Czy podać coś jeszcze? - zapytał kelner zbierając ze stołu szklanek Dominika.

- Dziękuję - powiedziała. Gdzież jej teraz było w głowie jedzenie! Właśnie skończyła randkę z Dominikiem Fogarty, swoim skrzypkiem! I już umówiona była na następną! A Dominik był właśnie taki, jaki miał być!

- Liz, szczęśliwa z ciebie dziewczyna - powiedziała do siebie półgłosem. - Ale jesteś dopiero w połowie drogi!

W sierpniu, oprócz kolacji w „Trzech taktach”, Liz kilka razy jeszcze spotkała się z Dominikiem. Raz poszli do Muzeum Wyrobów Rzemiosła Miejskiego, ponieważ Liz wyczytała w gazecie, że zorganizowano tam wystawę instrumentów, które wyrabiano domowym sposobem dla własnego użytku. Były tam rozmaite fujarki i proste instrumenty strunowe, najczęściej nieporadnie wykonane.

- Są nieładne - powiedziała Liz do Dominika, kiedy oglądali je razem - ale ogromnie wzruszające.

- Masz rację - przyznał Dominik. - Świadczą o tym, że ci prości, zapracowani od świtu do nocy ludzie kochali muzykę, chociaż nie mieli możliwości się jej uczyć.

- Nie mieli nawet możliwości posłuchać jej w dobrym wykonaniu. A jednak nie rezygnowali.

- I ja nie zrezygnowałem - odezwał się po dłuższej chwili Dominik. - Rozmawiałem z Carollim.

- No i co? - zawołała niecierpliwie Liz.

- Obiecał, że przemyśli sprawę. Och, nie bądź taka rozczarowana, Liz - roześmiał się. - To naprawdę duże osiągnięcie. Z Carrollim naprawdę trudno się rozmawia.

- Więc ćwiczysz Vivaldiego?

- Dzień i noc.

Liz była w owym czasie tak osłuchana z „Czterema porami roku”, że mogła nucić niektóre fragmenty. Utwór ogromnie jej się spodobał i rozumiała, że Dominik bardzo pragnął go zagrać. Bezwiednie zanuciła kilka taktów.

- Prawdziwa telepatia - śmiał się Dominik. - To właśnie rano ćwiczyłem.

- Och, ja naprawdę bardzo często o tobie myślę - powiedziała Liz bez zastanowienia.

- A ja o tobie - rzekł Dominik.

Liz zarumieniła się. Nie tylko dlatego, że powiedziała to tak spontanicznie, ale dlatego, że w słowach Dominika było coś więcej niż grzeczne zapewnienie...

Innym razem spotkała się z Dominikiem w domu jego przyjaciela, kiedy Dominik namówił ją, by przyszła w niedzielę popływać. Przyjaciół Dominika był, jak się okazało, wziętym pisarzem, który pisał scenariusze telewizyjne. W domu - który okazał się ogromną, starą rezydencją - bywał rzadko, przeważnie bowiem bawił gdzieś na planie filmowym, by być pod ręką, jeśli potrzebne będą zmiany w scenariuszu. W domu pozostawiał dwoje służby i w ogrodzie - przepięknie utrzymanym - ogrodnika. Ogrodnik doglądał też basenu. Czyścił go i zmieniał wodę.

- Dobry Boże - powiedziała Liz, kiedy po raz pierwszy zobaczyła dom, ogród i basen - to wygląda jak dekoracja filmowa. Jest po prostu nieprawdziwe. I to wszystko dla jednego człowieka?

- I to w dodatku bardzo skromnego człowieka, który od rana do wieczora pracuje, bo ta praca jest jego prawdziwą pasją. On tego wcale nie potrzebuje.

- To po co to utrzymuje? - zdumiała się Liz.

- Kwestia prestiżu. Gdyby mieszkał skromniej, sądzono by, że nie stać go na lepsze mieszkanie, a zatem kiepsko zarabia. Skoro zaś kiepsko zarabia, jest widocznie kiepski. A u kiepskiego autora nie zamawia się scenariuszy - roześmiał się Dominik.

- Świat jest szalony - mruknęła Liz.

- Zapewne. Ale gdyby było inaczej, nie moglibyśmy dziś korzystać z tego pięknego basenu - śmiał się Dominik.

- Śmiało można by go wykorzystać jako publiczne kąpielisko - uśmiechnęła się Liz. - Jest po prostu ogromny!

- Ale dziś mamy go tylko dla siebie.

- No tak, to niewątpliwie miłe - przyznała Liz.

- Cudowna woda - mruknął Dominik. Miał na sobie granatowo-białe kąpielówki, odcinające się swą ostrą barwą od jego złociście opalonej skóry. Liz, pływając, śledziła go spod oka, jak wchodzi na trampolinę.

Dominik był o wiele wyższy od Pierra i inaczej zbudowany. Francuz był niewysoki i drobny, choć bardzo zgrabny. Dominik miał szerokie ramiona i ręce muskularne niczym kulturysta. Niewątpliwie musiał uprawiać bardzo intensywnie pływanie i to od wielu lat. Nogi miał bardzo długie. Liz pomyślała, że niejedna kobieta nie żaliłaby się, gdyby miała tak piękne nogi.

Dominik skoczył, wykonał zgrabną spiralę, a potem prosto, równiutko, niewiele burząc spokojną powierzchnię, zanurzył się w wodzie.

- Wspaniale - krzyknęła Liz. - Mógłbyś brać udział w zawodach sportowych.

- Dziękuję - Dominik usiadł na brzegu basenu. - Spróbuj i ty. To nie jest takie trudne.

- Chyba nie zaryzykuję - roześmiała się Liz. - Pływam kiepsko, a co dopiero takie wyczyny! Właściwie już jestem zmęczona!

- Źle koordynujesz oddech z ruchami - zauważył. - Widzę, że będę musiał zostać instruktorem.

- Ja naprawdę bardzo mało dotąd pływałam - usprawiedliwiła się. - Ale postaram się poprawić. Tylko odsapnę.

Wdrapała się na brzeg basenu i usiadła obok Dominika trzymając nogi zanurzone w wodzie. Po raz pierwszy w życiu miała na sobie bikini, prawdę mówiąc dość skąpe. Kiedy jednak zobaczyła je w sklepie, nie mogła mu się oprzeć. Było szafirowe, z białym paseczkiem na biustonoszu i majteczkach. I wyglądała w nim bardzo dobrze. Na biodrach nie miała już ani grama tłuszczu. Tylko opalenizny trochę jej brakowało. Dotąd, w sobotnie poranki zwykle opalała się w towarzystwie Pierra, ale odkąd Pierre wyjechał, rzadziej jeździła do parku. Nie miała samochodu, a do parku było daleko i wyprawa zabierała jej pół dnia.

Pierre wyjechał przed dwoma tygodniami. Pojechał prosto do Lyonu, do rodziny, która oczekiwała go z utęsknieniem. Potem, w początku września, mieli wszyscy udać się nad morze, do willi w Nicei.

Liz pomagała Pierrowi przy pakowaniu. Musiała przyznać sama przed sobą, że nie było jej łatwo pożegnać się z Pierrem. Był jej prawdziwym przyjacielem, posiadał pogodną, bezkonfliktową naturę i bystry, żywy umysł. Liz nie wątpiła, że będzie jej go bardzo brakować. Z drugiej strony nie było to aż tak bolesne, bo przecież od początku wiedziała, że za kilka miesięcy wyjedzie. No i poza tym był Dominik...

Pierre pakował się powoli, widać było, że jest w nieszczęśliwym humorze.

- Jesteś pewna, Liz, że nie możesz przyjechać do Nicei we wrześniu? - zapytał. - Mielibyśmy piękne wakacje. A poza tym...

- Pierre - przerwała mu szybko Liz. - Nie wracajmy już do tego. Czy myślisz, że nie chciałabym spędzić z tobą wakacji? W ogóle nie wiem, jak sobie teraz bez ciebie poradzę... Ale sam widzisz, że nie mogę. Drugi kurs komputerowy zaczyna się niedługo. Nie mogę zawieść Sama, który mi to załatwił. A poza tym jest to dla mnie szansa i nie mogę jej zmarnować. Chciałabym wreszcie zmienić pracę. Czy mam całe życie myć głowy bogatym, rozkapryszonym kobietom? Oczywiście ta praca ma wiele zalet, ale ja czuję się tam... no, po prostu niewykorzystana. Czuję, że mogę z siebie wiele dać. i kiedy zastanowię się przez chwilę nad tym, co robię, ogarnia mnie przygnębienie. Muszę to zmienić!

- Rozumiem to - rzekł Pierre. Podszedł do niej i objął ją. - Będzie mi ciebie brakowało, Liz. Jesteś dzielną dziewczyną i zawsze cię podziwiałem. I nie wątpię, że zrealizujesz wszystkie swoje plany.

Muszę je wszystkie zrealizować, pomyślała Liz, bo bez Dominika będę nieszczęśliwa.

- Zawsze będę pamiętać, ile ci zawdzięczam - powiedziała.

- No, mam nadzieję, że wspomnisz mnie przy każdej francuskiej konwersacji - uśmiechnął się Pierre. - Nigdy nie miałem lepszej uczennicy. Poczyłaś ogromne postępy, ale musisz nadal chodzić gdzieś na konwersacje, żebyś niczego nie zapomniała, no i doszła do zupełnej biegłości.

- Zastosuję się do pańskiej rady, panie profesorze - Liz przytuliła się do Pierra. - Jeszcze będzie pan dumny ze swojej uczennicy.

Pierre pocałował ją. Jego wargi były delikatne i jakże znajome. Tak, będzie jej go brakowało!

- Pierre, dziękuję ci - powiedziała miękko. I pomyślała, że gdyby nie on, być może nie wiedziałaby w ogóle, że musi tak uparcie walczyć o Dominika.

- To ja ci dziękuję, Liz. Wiele się od ciebie nauczyłem - powiedział w zamyśleniu Pierre. - Wiesz, w życiu przychodziło mi wszystko dość łatwo. I tak też wszystko traktowałem. Rzadko o coś zabiegałem. Od ciebie nauczyłem się, ile satysfakcji może człowiek czerpać z tego, że stawia życiu czoła.

Przy pożegnaniu, kiedy Pierre wsiadał już do pociągu, Liz zaczęła pociągać nosem i wreszcie całkiem się rozkleiła.

- Zadzwoń do ciebie - rzekł Pierre. - Może kurs nie dojdzie do skutku, może coś się zmieni i będziesz mogła przyjechać.

- Bardzo bym chciała - powiedziała Liz i rzeczywiście myślała tak naprawdę. Było jej bardzo ciężko na sercu.

A potem, kilkanaście dni później, żegnała się z Dominikiem. I to pożegnanie przygnębiło ją jeszcze bardziej. Okazało się, że tournée potrwać ma nie cztery tygodnie, jak pierwotnie zamierzano, ale sześć. Sześć tygodni bez Dominika? A znajomość ich była tak świeża, że trudno byłoby się dziwić, gdyby w tym czasie całkiem wyrzucił ją z pamięci. Bo kim właściwie dla niego była? Przypadkową znajomą, z którą spotkał się kilka razy, bo tak jakoś się złożyło. Należeli do tak różnych światów! I w dodatku nie miała zielonego pojęcia o muzyce!

Przed wyjazdem Dominik zaprosił Liz na kolację, ale nie do „Trzech taktów”, gdzie panował nieustanny zgiełk i ścisk, ale do tej samej restauracji, gdzie była kiedyś na lunchu z panią Alison. Liz zupełnie nie czuła się dzięki temu skrępowana i nawet zdawało jej się, że francuski kelner poznał ją i lekko skinął jej głową.

- Właściwie to tournée nie jest ci bardzo na rękę, prawda? - zapytała Dominika. - W czasie podróży nie będziesz miał wiele czasu, aby intensywnie ćwiczyć.

- To prawda - przyznał. - Taki objazd jest szalenie męczący.

- Ale chyba całkiem nie zaryzujesz ćwiczeń? - zaniepokoiła się.

- Nie - uśmiechnął się. - Byłoby mi wstyd przed tobą.

Uśmiechnął się do niej i patrzył na nią w taki sposób, że Liz aż się zarumieniła. Może... Może jednak ich znajomość miała dla niego jakieś znaczenie?

- Czy przyślesz mi pocztówkę z którejś z tych pięknych miejscowości, gdzie będziesz grać? - zapytała szybko, aby pokryć zmieszanie.

- Z każdej. Obiecuję solennie.

- Naprawdę? - rozjaśniła się Liz. I przez cały wieczór, mimo iż był to wieczór pożegnalny, miała znakomity humor.

Po kolacji Dominik odwiózł ją do domu swoim samochodem. Miał piękne, granatowe BMW, tak wygodne i obszerne, że Liz za każdym razem aż lekko wzdychała z zadowolenia moszcząc się wygodnie na głębokim, miękkim siedzeniu. Kiedy stanęli przed domem Liz, Dominik nie wyskoczył jak zwykle, by otworzyć przed nią drzwi.

- Chyba za długo plotkowaliśmy. Zrobiło się późno - rzekła lekko Liz, aby tylko coś powiedzieć. Bliskość Dominika działała na nią tak dziwnie... Gardło miała jakby zasznurowane i z trudnością wymawiała słowa. - Musisz bardzo wcześnie wstać, prawda?

- O piątej.

- Boże, a już dochodzi dwunasta!

- Jakoś dam sobie radę - uśmiechnął się, Obrócił się lekko w stronę Liz i uśmiechnął się do niej. Zapadło na chwilę milczenie.

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedziała spontanicznie Liz i kiedy tylko przebrzmiały te słowa, miała je sobie za złe. Nie tak dawno mówiła je Pierrowi. Ale Pierrowi można był je powiedzieć, Pierre był przyjacielem. Natomiast Dominik. Ach, zachowała się jak gaska! Szkoda, że jeszcze nie rzuciła mu się na szyję!

- Naprawdę, Liz? - głos Dominika był miękki, niski.

- Och, tak! Ja... Ty ... Tak było miło i... - płatała się Liz. - Do widzenia, Dominiku.

- Do widzenia, Liz.

Pochylił się ku niej i wziął ją w ramiona. W mrocznym wnętrzu samochodu, gdzie docierało tylko niewiele światła z ulicy, widziała przed sobą jego duże, błyszczące oczy.

Ogarnęła ją nagła słabość, która jednak nie była niemiła, przeciwnie, była przedziwnie słodka. Zakochałam się, pomyślała Liz, po prostu się zakochałam.

- I ja wolałbym nie wyjeżdżać - rzekł Dominik.

Pomyślała, że lepiej niech nic nie mówi. Zamknęła oczy i uniosła ku niemu głowę. A kiedy ją pocałował, doznała uczucia, że całuje się po raz pierwszy w życiu. Była jakby obezwładniona ogarniającym ją od stóp do głów uczuciem słodocy. Nie było samochodu, nie było pustej ulicy za jego szybami. Ach, nie było nawet jej ani Dominika. Były tylko ich wargi, oszołomienie i żar. Tak, warto było walczyć o Dominika! I będzie walczyła dalej. Tak długo, dopóki go nie zdobędzie.

- Dobranoc, Liz - szepnął, kiedy wreszcie oderwali się od siebie. - Do zobaczenia.

- Do zobaczenia - szepnęła. - I czekam na twoje kartki.

Liz postanowiła nie poddawać się złemu nastrojowi, brakowało jej Dominika, brakowało jej życzliwej przyjaźni Pierra, ale postanowiła, że nie będzie się nad sobą uzalać.

- Masz teraz wiele wolnego czasu, dziewczyno - powiedziała do siebie głośno. - Więc go wykorzystaj!

Rano uczyła się jak zwykle francuskiego. Ponieważ straciła możliwość konwersacji z Pierrem, a na opłacenie lekcji nie było jej stać, postanowiła poszukać dodatkowej pracy, chociaż ze dwa razy w tygodniu po parę godzin. Gdyby znalazła coś takiego, mogłaby chodzić na lekcje francuskiego. Przed wyjazdem Pierre polecił jej swoją znajomą, emerytowaną nauczycielkę, Francuzkę, która była znana ze swoich niekonwencjonalnych metod nauczania, ale i z dużych osiągnięć. Niestety, lekcje u niej były drogie.

Po namyśle Liz postanowiła zobaczyć się z Mary. Nie widziała się z nią od kilku miesięcy. Początkowo, wyprowadziwszy się do nowego mieszkania, Liz odwiedziła dawną przyjaciółkę kilka razy, ale potem wpadła w taki wir zajęć, że nie mogła sobie na to pozwolić. Dzwoniły więc tylko do siebie, ale później i ten kontakt się urwał, bo okazało się, że bardzo niewiele miały sobie do powiedzenia. Teraz jednak Liz pomyślała, że dobrze byłoby wynajmować się do pilnowania dzieci wieczorami, jak to robiła od dawna Mary. Mary zatrudniona była przez jakąś agencję pośredniczącą i Liz postanowiła dowiedzieć się o jej adres. A także porozmawiać z Mary, czy jest szansa, by znalazła się dla niej praca oraz jakie sumy wchodziły w grę. Zadzwoiła więc do Mary i zaprosiła ją w niedzielę na lunch do jednej z niedrogich restauracji niedaleko swego domu. Dania były tam niewyszukane - spaghetti, pizza, hamburgery, stek z groszkiem i ziemniakami, ale też dość dobra kawa i placek z owocami. Ceny były umiarkowane, a klientela średniozamożna, tak więc Mary na pewno nie będzie się czuła skrzepowana. Liz za nic nie chciała, aby dawną przyjaciółką pomyślała, że Liz pragnie jej zaimponować.

Na lunch Liz ubrała zwykłą, rozszerzaną dołem białą spódnicę i błękitną bluzkę z niewielkim golfem. Kiedy natomiast zobaczyła Mary, odczuła mieszaninę rozbawienia, rozżalenia i jakby ulgi. Rozbawienia, bo Mary miała na głowie ogromny kok z natapirowanych i mocno usztywnionych lakierem włosów, które wyglądały, jakby były nie myte od miesiąca. Potężna grzywka sterczała nad czołem na wszystkie strony. „Jakby piorun uderzył w szczypiołek” - mawiała Lili widząc tak ufryzowaną dziewczynę.

Jednocześnie Liz zrobiło się żal dawnej przyjaciółki.

Mary nie była brzydka, choć miała dość grube i pospolite rysy twarzy. Jednak pretensjonalna fryzura, mocno obrysowane czarnym ołówkiem oczy i lśniąca, zielona bluzka z haftem z kolorowych koralików przy szyi czyniły z niej postać raczej śmieszną. Liz naprawdę odczuła ulgę, że zdołała uwolnić się ze swojej poprzedniej osobowości. Kiedyś wyglądała podobnie jak Mary. I jak Mary musiałaby zostać do końca życia kimś z gorszej dzielnicy. Teraz, dzięki swemu uporowi wyzwoliła się z tego.

Mary rzuciła jej się z głośnym okrzykiem radości na szyję. Liz przez chwilę poczuła się niepewnie, bo kilkoro gości aż spojrzało w ich stronę. Liz odzwyczaiła się już od tak ostentacyjnego zachowania. Po chwili stwierdziła też, że razi ją zbyt głośne mówienie.

Mary długo jej się przyglądała.

- No, no - odezwała się wreszcie z niejakim przekąsem - patrzcie, co się porobiło z naszej Betty. Prawdziwa paniusia. Tylko kapelusza ci braknie na ty głowie!

Brakuje na tej głowie, chciała poprawić ją Liz, ale na szczęście w porę się powstrzymała.

- Nie przesadzaj, Mary - rzekła lekko. - Powiedz mi lepiej, jak zdrowie twojej mamy, no i co u ciebie.

- Matkę łamie w gnatach, jak zwykle - wzruszyła ramionami Mary. - A ja... Ja się chyba wydam - oznajmiła z triumfem.

- Naprawdę? Za Jimmy'ego? - o ile Liz dobrze pamiętała, ostatni chłopak Mary miał na imię Jimmy.

- Eee, nie. Jimmy się zmył - oznajmiła beztrudno Mary. - Zresztą był golec. Nawet mieszkania nie miał, tylko coś odnajmował: Wychodzę za Toma Dicka.

- Niemożliwe! Wydawało mi się zawsze, że za nim nie przepadasz!

- Eee, nie. Jego matka dużo ze mną rozmawiała. To porządny chłopak. Ma stałą pracę. I dom jest jego...

Liz z trudnością ukryła uśmiech pracowicie żując stek. Pani Dick oświadczyła się więc Mary! Naprawdę dobra mama!

- Zjesz na deser szarlotkę? - zapytała przyszłą panią Dick. Naprawdę nie chciała rozmawiać o Tomie, o jego koszmarnej matce i o losie Mary. Przyszłość Mary wydała jej się okropna. Dzięki Bogu, że ona, Liz, wyrwała się z tego środowiska!

- Oczywiście - ucieszyła się z propozycji Mary. - A ty?

- Ja zrezygnuję.

- No, żałujesz sobie?

- Właściwie tak - uśmiechnęła się Liz. - Walczyłam z nadwagą dość długo i nie mam zamiaru tego powtarzać.

- No, taka pani - znów z przekąsem zauważyła Mary - musi akuratnie wyglądać.

- Przede wszystkim lepiej się czuję - powiedziała Liz.

- Ee, ja się tam najlepiej czuję, jak mogę se podjeść.

Mary była bardzo pulchna, w talii prawie taka sama jak w biodrach. Liz pomyślała z żalem, że kiedy wyjdzie za Toma, za parę lat będzie tak samo bezkształtna i przedwcześnie podstarzała, jak wszystkie kobiety na jej ulicy. Znów poczuła żal. I ulgę, że ją to ominęło.

- Dobrze zarabiasz, co? - zapytała z zazdrością Mary.

- Nie, przeciwnie, właśnie chciałabym wieczorami dorabiać jako baby-sitter. Muszę opłacać lekcje francuskiego i...

- Lekcje francuskiego? - oczy Mary zrobiły się niemal okrągłe ze zdziwienia. - A po co ci to?

- No, wiesz... Potrzebuję tego w pracy - wykręciła się Liz. Bo jakże miała wytłumaczyć Mary swoje potrzeby, swoje plany, marzenia? Mary nie zrozumiałaby tego.

- Właśnie chciałam cię zapytać, czy twoja agencja nie znalazłaby czegoś dla mnie - ciągnęła.

Mary znów obrzuciła ją uważnym wzrokiem. Liz wręcz czuła jej spojrzenie na swoich prosto opuszczonych na ramiona kasztanowych włosach, na skromnej bluzce, na starannie pociągniętych jasnym lakierem paznokciach, na niewielkiej torebce z białej skórki.

- Ale ty się zmieniłaś, Liz. No, kto by to pomyślał... - Mary patrzyła na nią z mieszaniną zazdrości i podziwu. - Pewnie, że by się coś dla ciebie znalazło. Mamy czasem zamówienia od całkiem eleganckich ludzi. A Bob, znaczy się szef, mówi wtedy, że nie może ich przyjąć,

bo nie może przecież takim ludziom posłać żadnego flejtucha. Ty byś się nadawała. Nawet mówisz inaczej niż kiedyś.

- Wiesz, w mojej pracy... - usprawiedliwiła się Liz. Naprawdę nie chciała, by Mary pomyślała sobie, że chce jej zaimponować, ale nie potrafiła się dostosować do jej sposobu mówienia. Chociaż jeszcze niedawno sama tak mówiła.

- Kiedy mogłabyś zacząć? Mogę zaprowadzić cię do Boba - powiedziała Mary. Wyraźnie była zadowolona, że Liz od niej czegoś potrzebuje.

- Mogę iść z tobą w poniedziałek. We wtorek, czwartek i piątek mam kursy wieczorowe.

- O Jezu, Liz, nie masz co robić? Nie szkoda ci czasu?

Liz o mało się nie roześmiała. Taki punkt widzenia nie przyszedł jej do głowy.

- To obowiązkowe. Wiesz, w mojej pracy...

- Ach, tak - to Mary potrafiła zrozumieć. - A ty się nie wydajesz? Teraz tak wyglądasz, że nawet jakiegoś szefa mogłabyś złapać.

Teraz Liz nie mogła już się powstrzymać od śmiechu.

- Postaram się o tym pamiętać - zapewniła dawną koleżankę. - To naprawdę dobra rada, Mary.

- No nie? - ucieszyła się Mary. I do końca lunchu udzielała Liz rad na temat, jak odróżnić szefa, który da się złapać, od takiego, który będzie się wymigiwał ze wszystkich pułapek.

W końcu umówiły się na poniedziałek. A Liz wracając do domu myślała o tym, jak słuszny był jej wybór i jej pragnienie zmiany całego życia. Teraz żyła naprawdę, a Mary...

Niedługo potem Liz zaczęła regularnie dwa razy w tygodniu wychodzić wieczorami jako baby-sitter. Okazało się, że zapotrzebowanie było dość duże.

- Wie pani, ludzie chcą, żeby dziewczyna, która do nich przyjdzie, była czysta i wyglądała na to, że nie nauczy ich ukochanego potomka brzydkich słów. No i że z domu nic nie zginie. Wbrew temu, co można by sądzić, takich dziewcząt mam mało. Po prostu takie dziewczyny mają dobrą pracę i nie potrzebują wieczorami dorabiać - powiedział Bob.

Liz nawet polubiła tę nową pracę, chociaż dzieci były różne. Niektóre bywały grymaśne albo złośliwe. Na ogół jednak Liz radziła sobie z nimi. A wynagrodzenia starczało na opłacenie lekcji u pani Latour i jeszcze zostawało coś na płyty.

Wkrótce Liz była tak zajęta, że nie miała czasu myśleć wiele o Dominiku. Wstawała jak zwykle o szóstej, spać chodziła o jedenastej, dwunastej. Trzy razy w tygodniu miała kurs, dwa razy - najczęściej w weekend, pracowała z dziećmi, w środy i soboty przed południem chodziła na francuski. A oprócz tego, kiedy tylko miała wolne, chodziła do biblioteki. Teraz interesowała ją tylko muzyka. Wypożyczała biografie kompozytorów i gdy je czytała, kupowała płyty z utworami, które w tych biografiach wymieniano jako najwybitniejsze. Czytała i słuchała. Poznała nazwiska wielu wykonawców i dyrygentów. Miała też dwie płyty nagrane przez orkiestrę Dominika. Tych słuchała, rzecz jasna, z największą przyjemnością. W „Encyklopedii muzycznej” czytała o rozmaitych stylach i kierunkach w muzyce. Uczyła się, jak powinny być zbudowane niektóre utwory. I ze zdziwieniem stwierdziła, że muzyka sprawia jej coraz większą przyjemność. Tak, teraz rozumiała już ludzi, którzy chodzili na koncerty. Było to z niczym nieporównywalne przeżycie.

Pierwsza pocztówka od Dominika przyszła po tygodniu. Na zdjęciu był piękny żaglowiec, a na odwrocie ładnym, równym, energicznym charakterem pisma wypisane były pozdrowienia dla Liz, napomknienie, że tournée jest bardzo ciężkie z powodu panujących upałów oraz zapewnienie, że Dominik mimo wszystko regularnie ćwiczy i jest bardzo dobrej myśli. Tydzień później przyszła druga widokówka. Dominik przesyłał pozdrowienia i

stwierdzał, że czyni postępy. Kolejna wiadomość nadeszła dopiero po dwóch tygodniach. Były na niej tylko pozdrowienia. Potem skrzynka Liz cały czas była pusta.

Któregoś dnia u fryzjera pani Alison zagadnęła Liz, czy dobrze się czuje.

- Dziękuję pani. Oczywiście czuję się dobrze - odparła.

- Trochę jesteś blada, kochanie.

- To zapewne z powodu pogody. Jak na tę porę roku jest niezwykle ciepło. No i od rana miałyśmy dużo pracy.

- No tak, przed weekendem jest zawsze więcej klientek - przyznała pani Alison.

Uważnie przyglądała się Liz. - Może przyszedłabyś do mnie jutro na herbatę? Mój mąż wyjeżdża na parę dni w interesach aż na Sycylię i będę sama w domu. Byłoby mi miło, gdybyś zechciała mnie odwiedzić.

- Ależ oczywiście, przyjdę z przyjemnością - ucieszyła się Liz.

Kiedy siedziała z panią Alison na tarasie jej domu i piła znakomitą, mocną herbatę, zagryzając ciasteczkami domowego wypieku, poczuła, że musi komuś powiedzieć o swoim zmartwieniu.

- Ostatnio jestem w nie najlepszym nastroju - powiedziała z wahaniem.

- Widzę to, kochanie. W zeszłym tygodniu wydawałaś mi się blada i niewyspana, ale teraz jest jeszcze gorzej. Masz wyraźnie podkrążone oczy i wyglądasz na bardzo zgnębioną.

- Bo jestem - westchnęła Liz.

Pani Alison odstawiła na stolik swoją filiżankę z herbatą.

- Coś się stało, kochanie? Masz kłopoty? W pracy?

- Nie, w pracy układa mi się dobrze. Właściciel zaproponował mi nawet, że jeśli chcę się kształcić na fryzjerkę, przyjmie mnie na uczennicę.

- Cieszę się, że cię docenił. I co mu odpowiedziałaś?

- Podziękowałam za propozycję. Nie myślę jednak o tym, by zostać fryzjerką.

- Rozumiem. A zatem w czym problem? Liz milczała, nieco zakłopotana.

- Zakochałaś się? - pani Alison domyślnie pokiwała głową.

- Tak.

- To... To coś poważnego?

- Tak.

- I co? Nie układa się? - pani Alison była jak zwykle nadzwyczaj taktowna i nie pytała wprost.

- Tak. To znaczy nie. Ach, właściwie sama nie wiem. Ale teraz on wyjechał, obiecał do mnie pisać i nie pisze - wybuchnęła Liz.

- Muszę ci powiedzieć z doświadczenia, Liz - uśmiechnęła się pani Alison - że mężczyźni nie lubią pisać listów. A już szczególnie listów miłosnych. Uważają to za niemęskie. Byłam kiedyś ładną dziewczyną i miałam naprawdę sporo wielbicieli. Ale kiedy przychodziło do pisania listów...

- Ja właściwie nie oczekiwałam listów miłosnych - przyznała po namyśle Liz. - No, może trochę... Ale głównie chodziło mi o to, czy o mnie myśli, czy o mnie pamięta.

- Rozumiem. Myślisz o nim poważnie?

- Spotkałam go po raz pierwszy ponad pół roku temu. I już wtedy wiedziałam, że...

- Rozumiem.

- A kiedy go poznałam... Ja chyba całkiem straciłam głowę - wyznała cicho Liz.

- Kiedy ma wrócić?

- Jeszcze około dwóch tygodni.

- To już niedługo, kochanie - ucieszyła się pani Alison. - Sądząc z twojego zmartwienia przypuszczałam, że wyjechał co najmniej na rok.

- Zachowuję się głupio, prawda?

- Ależ skąd! Jesteś po prostu zakochana. Ja nie zapomniałam jeszcze, jak to jest! Ale zdaje mi się, że dwa tygodnie to naprawdę niedużo. Może zresztą otrzymasz jeszcze wiadomość. W każdym razie posłuchaj mojej rady, Liz. Żadnych wymówek, kiedy wróci, żadnych dąsów i dopytywania, dlaczego nie pisał.

- Tak myślałam.

- To dobrze. I bądź dobrej myśli, kochanie. Nie mówię tego tak po prostu, by cię zdawkowo pocieszyć. Jesteś ładną i bardzo wartościową dziewczyną. Masz sporo oleju w głowie. Ów młody człowiek, na którym ci zależy, musiałby być ślepy i głuchy, gdyby nie poznał się na tobie. Sądzę, że i na tym polu odniesiesz sukces, Liz.

- Muszę - zawołała gorąco Liz - bo inaczej...

- Wszystko będzie dobrze - pani Alison na moment dotknęła jej dłoni. - Może już jutro otrzymasz dobrą wiadomość?

Liz istotnie następnego dnia otrzymała dobrą wiadomość, ale nie od Dominika, ale od Sama Coldinga. Po zajęciach Sam poprosił ją, żeby na chwilę z nim została. Liz miała wobec niego, prawdę mówiąc, nieco nieczyste sumienie, bo nie nauczyła się na pamięć wszystkiego, co zadał na ostatnich zajęciach. Naprawdę nie miała głowy do tego - myślała nieustannie o Dominiku.

Była pewna, że Sam udzieli jej reprimendy.

- Nie szło mi dzisiaj najlepiej, prawda? - zapytała ze skruszoną miną.

- Nic podobnego - zapewnił ją Sam. - Wręcz przeciwnie, jesteś coraz lepsza. Już ci to kiedyś mówiłem, masz po prostu szósty zmysł do komputerów. Jesteś urodzona do tej maszyny. I jeśli byłabyś tym zainteresowana, miałbym dla ciebie pracę.

- Niemożliwe! Przy komputerach?

- Oczywiście. Nie sądziłaś chyba, że u krawcowej - roześmiał się Sam. Naturalnie będziesz musiała przejść rozmowę kwalifikacyjną, ale w twoim wypadku, sądzą, to tylko formalność.

- Och, Sam, ja naprawdę szukam pracy. Interesującej pracy. A komputery... To byłoby spełnienie moich najskrytszych marzeń!

- Myślę, że byłabyś zadowolona z tej pracy...

- Gdzie? - przerwała mu niecierpliwie Liz.

- W tej samej firmie, która zamówiła u nas obecny kurs i której pracowników właśnie szkolimy. To wielka firma budowlana. Cały koncern. Posiadają sieć fabryk produkujących elementy budowlane, od gotowych ścian do klamek. No i budują. Bardzo dużo budują. Osiedla, fabryki, domy prywatne. Właścicielami są Japończycy. Postanowili rozszerzyć swój ośrodek obliczeniowy i dział informatyki, bo są po prostu zbyt wielkim przedsiębiorstwem, by panować nad wszystkimi danymi bez komputerów. Dlatego chcieli szkolić u nas fachowców. Chcą przyjąć przynajmniej dziesięć osób do obsługi komputerów.

- I myślisz, że mam szansę? - Liz z nadzieją patrzyła na Sama.

- Bardzo dużą. Rozmawiałem już z szefem wydziału w chwili, kiedy wyjaśniał mi, o co mu chodzi, pod jakim kątem mam szkolić jego pracowników, czego będzie od nich oczekiwał. Powiedziałem mu, że mam niezwykle uzdolnioną uczennicę i że byłabyś osobą, której potrzebuje. Dlatego właśnie miałaś możliwość uczęszczania na ten kurs za minimalną opłatą. Rzec by można, że byłaś stypendystką tej firmy.

- Dlaczego mi nic nie powiedziałeś? - zawołała Liz.

- Z rozmaitych powodów. Żebyś nie czuła się skrępowana, że ktoś za ciebie płaci. Żebyś nie czuła się zobowiązana do wdzięczności. No, żebyś nie odczuwała żadnego nacisku. Poza tym... Szczerze mówiąc znałem cię mało. Widziałem, że jesteś pracowita i uzdolniona, ale musiałem się upewnić. Nie mogę polecać kogoś, kto naprawdę nie jest doskonały.

- Och, Sam, dziękuję ci!

- Podziękujesz mi, kiedy cię już przyjmą do pracy. Pojutrze zgłosisz się na rozmowę - Sam Colding wyjął z portfela wizytówkę. - Pod ten adres, do tego człowieka. Godzina jest na odwrócić. Uprzedzam cię, że rozmowa nie będzie łatwa. Ale to, co umiesz, wystarczy. Tym bardziej, że nawet jeśli cię przyjmą, nadal będziesz uczęszczała na kurs. Aż do jego zakończenia. Aha, znasz jakieś obce języki?

- Francuski.

- Dobrze?

- No, nie jak rodowity Francuz. Ale rozmawiam dość swobodnie i czytam książki po francusku.

- Dzięki Bogu - westchnął Sam. - Znajomość przynajmniej jednego języka była podstawowym warunkiem. Znając cię jednak sądziłem, że jakieś języki znasz. Idealnie byłoby, gdybyś znała trzy, albo chociaż dwa, ale francuski jest ważny, bo o ile wiem, budują też we Francji. I we Włoszech.

- Jak będzie trzeba, nauczę się włoskiego - powiedziała stanowczo Liz. - Dorabiałam jako baby-sitter i nawet jako pomoc domowa, ale jeśli dostanę przyzwoitą pensję, rzucę te dodatkowe zajęcia i będę miała więcej czasu na naukę.

Sam Colding roześmiał się z zadowoleniem.

- Nie pomyliłem się co do ciebie, Liz - powiedział.

Rozmowa Liz z szefem wydziału, który okazał się młodym, przystojnym mężczyzną, trwała dwie godziny. Szef nazywał się Charles Gragg, był absolwentem słynnej amerykańskiej uczelni i choć był doprawdy czarujący, Liz szybko zdała sobie sprawę, że to znakomity fachowiec, całkowicie oddany swojej pracy i niewątpliwie bezwzględny, jeśli idzie o egzekwowanie działalności jego pracowników.

Powitał Liz, jakby co najmniej pochodziła z rodziny królewskiej, kazał sekretarce podać kawę i gawędził z Liz, jak stary przyjaciel. Niemniej Liz orientowała się, że w ten sposób stworzył sobie po prostu możliwość zadawania jej bardzo osobistych pytań i sprawdzania między innymi ogólnego stanu jej wiedzy. Przez chwilę rozmawiał z nią nawet po francusku; na szczęście Liz poradziła sobie bardzo dobrze. Potem, kiedy najwidoczniej stwierdził, że Liz dostatecznie się już odprężyła towarzyską rozmową, zaczął ją egzaminować i to dość surowo. Liz nie wątpiła, że był dla niej tak surowy między innymi dlatego, że była kobietą - Sam uprzedził ją, że Japończycy niechętnie zatrudniali kobiety uznając je za mniej inteligentne. Jeżeli już szef jakiegoś wydziału decydował się wbrew nastawieniu bossów zatrudnić u siebie kobietę, musiała ona być naprawdę znakomita. Charles Gragg nie chciał ryzykować. To jednak ogromnie zdopingowało Liz. Oceniała Gragg na pierwszy rzut oka - z zamożnej rodziny, absolwent najlepszych prywatnych szkół, absolwent dobrej uczelni, znakomicie wychowany. Życie bez problemów, usłane różami. Wielki świat, podróże. Cóż dla niego znaczyła jakaś skromna kursantka Sama Coldinga?

Liz zacięła się jednak. Czekał, ja ci pokażę - pomyślała ze złością. Skupiła się wewnętrznie i naprawdę dała z siebie wszystko

- Od kiedy może pani u nas zacząć, panno Hartley? - rzekł wreszcie Gragg, znów uśmiechnięty i czarujący. - Od pierwszego? To już za trzy dni.

Liz poczuła, że robi jej się nagle słabo. Wyprostowała się na krześle. Nie, za nic na świecie nie pokaże temu człowiekowi sukcesu, co dla niej znaczy otrzymanie tej pracy. Jej twarz nie zmieniła wyrazu.

- To będzie możliwe - rzekła rzeczowo. - Pozostaje jednak jeszcze jeden problem, dość, jak mi się zdaje, istotny. Nie mówiliśmy o wynagrodzeniu.

- Pierwsze trzy miesiące traktujemy jako okres próbny i płacimy dwie trzecie tego, ile wynosi pełna pensja. Jeśli idzie o pani stanowisko pracy, przewidujemy... - wyciągnął z szuflady kilka arkuszy spiętych spinaczem. - Proszę, niech pani sama zobaczy, jak to wygląda

teraz i po trzech miesiącach. Punkt szósty w tabeli na dole. A po roku ma pani możliwość awansować. Punkt siódmy. O ile będziemy z pani zadowoleni, ma się rozumieć.

Będziecie, pomyślała zimno Liz. I spojrzała na punkt szósty tabeli. Spojrzała i tym razem naprawdę przyszło jej z trudnością zachować niewzruszony wyraz twarzy. Pensja jej miała obecnie wynosić dokładnie trzy razy tyle, ile zarabiała myjąc głowy klientkom i to wliczając sute napiwki. Gdyby zsumowała swą płacę u fryzjera i to, co zarabiała jako babysitter, i tak dostawałaby o wiele więcej. Nie będzie zatem musiała pilnować dzieci i wystarczyć jej, by płacić za mieszkanie, płacić w całości, rzuciwszy sprzątanie klatki schodowej, które było dla niej naprawdę ciężkie i zabierało jej codziennie tak wiele czasu! Ach, wreszcie będzie mogła sprawić sobie coś nowego do ubrania. I kupić dobry adapter, naprawdę dobry. I więcej płyt. I będzie mogła wziąć dodatkową lekcję francuskiego u madame Latour. Cóż za oszałamiające perspektywy! A jeśli przebrnie okres próbny i dostanie podwyżkę, będzie mogła sobie kupić na raty jakiś mały, używany samochódzik. Ileż to jej oszczędzi czasu, który traciła czekając na autobusy. Muszę natychmiast zapisać się na kurs samochodowy, żebym jak najprędzej miała prawo jazdy, pomyślała.

- Odpowiada to pani? - zapytał Gragg.

- Tak - odparła krótko i podniosła się. - A zatem do pierwszego.

- Cieszę się, że będziemy razem pracować - rzekł Gragg i przez chwilę Liz zdawało się, że nie jest to jednak tylko zdawkowa uprzejmość.

U fryzjera nie robiono Liz żadnych trudności. Od pierwszego mogła być wolna. W oknie wystawowym umieszczono ogłoszenie, iż poszukuje się panienki do mycia głów i już tego samego dnia zgłosiły się dwie kandydatki. Szef wybrał tę, która zgłosiła się jako druga. Była to ładna, niewysoka, filigranowa dziewczyna o pogodnym wyrazie twarzy i bujnych blond włosach.

- Zawsze to samo - mruknęła Liz do Lili. - Najważniejsza buzia jak u lalki i ładne nogi.

- Żyjemy w świecie mężczyzn, moja droga - roześmiała się Lili. - Ale widzę, że ty nie myślisz z góry rezygnować.

- Nie myślę - uśmiechnęła się Liz.

W przeddzień rozpoczęcia nowej pracy Liz podjęła z banku niewielką sumkę. Zdarzyło się to po raz pierwszy, że wzięła z konta cokolwiek poza pieniędzmi, którymi musiała opłacić mieszkanie. Długo się wahała, czy ma złamać swoje zasady - oszczędności ze sprzedaży domu ciotki Fanny były przeznaczone wyłącznie na mieszkanie. Chodziło jednak o to, że musiała sobie kupić coś do ubrania. Nie mogła przecież chodzić do pracy wyłącznie w beżowym kostiumiku! Poza tym była już właściwie jesień i lada dzień mogło zapanować prawdziwe, przenikliwe zimno, jak to bywało o tej porze roku. Musiała zatem kupić sobie odpowiednie ubranie. Zdawała sobie także sprawę, że w firmie, w której będzie pracowała, przywiązuje się wielką wagę do ubioru. Pracownicy są wszak wizytówką przedsiębiorstwa. Ich nienaganny wygląd budzi zaufanie klientów.

Tego popołudnia Liz dość długo chodziła po sklepach.

Po długim namyśle kupiła jasnogranatowy kostium, uszyty klasycznie z lekkiej, znakomitej w gatunku wełny. Do niego wybrała dwie bluzki - jasnoniebieską, zawiązywaną pod szyją na miękki węzeł, i białą, koszulową. Oprócz tego prostą, wąską, szarą spódnicę, która doskonale pasowała do zakładu kostiumu. Dobrała do tego odpowiednie, granatowe pantofle na niewielkim obcasie. Wolałaby oczywiście wyższy obcas, czułaby się lepiej, gdyby w ten sposób przybyło jej trochę wzrostu. Zdawała sobie jednak sprawę, że bieganie cały dzień w pracy na bardzo wysokich szpilkach nie będzie wygodne. Na koniec kupiła jasny, jesienny trencz, także bardzo klasyczny, i piękny niebiesko-granatowy, duży szal do niego. W planie miała jeszcze torebkę, ale kiedy zsumowała, ile już wydała na ubranie, złapała się dosłownie za głowę.

- Liz, wracaj do domu - powiedziała do siebie. - Za miesiąc dostaniesz pierwszą wypłatę. Wtedy kupisz sobie torebkę. Albo dwie. Ale nie dziś!

Praca podobała się Liz od pierwszego dnia. Początkowo duża sala, w której stał komputer koło komputera, telefon obok telefonu, rozmaite drukarki, kopiarki i mnóstwo różnorodnego sprzętu biurowego, onieśmieliła ją. Przeraził ją także nieco panujący tam zgiełk, choć nie mogła powiedzieć, że u fryzjera przyzwyczała się do ciszy. W sali pracowało chyba ze trzydzieści osób, kilkanaście rozmawiało właśnie przez telefon, kilka stuknęło w klawiaturę komputerów. Dobry Boże, pomyślała Liz, istny dom wariatów!

- W pierwszej chwili wydaje się nieco głośno - powiedziała sekretarka Gragga, która prowadziła Liz na miejsce pracy. Zdawała się czytać w myślach Liz. - Ale człowiek bardzo szybko się do tego przyzwyczaja. Proszę sobie wyobrazić, że pod koniec weekendu cisza w domu zaczyna mi doskwierać!

Jakoż istotnie nie minął tydzień i Liz przyzwyczała się i do hałasu, i do atmosfery pewnej gorączkowości panującej w nowym miejscu pracy. Pracować trzeba było szybko i sprawnie. A także mieć trochę fantazji i wykazywać inicjatywę. Ale Liz spodobało się to. Wreszcie czuła się na swoim miejscu. Pracujący z nią ludzie byli młodzi, inteligentni i życzliwi wobec siebie. Panowała wśród nich drobna rywalizacja, utrzymana jednak w granicach przyzwoitości. Szefowie firmy nie tolerowali złych stosunków w miejscu pracy. Ludzie konfliktowi natychmiast byli zwalniani. Nie minął tydzień, a Liz czuła się w nowym zespole jak ryba w wodzie. Znalazła wreszcie to, o czym marzyła. I nie mogła oprzeć się uczuciu dumy i uszcześliwienia. Jakże daleką drogę przebyła od sklepu starego Bena!

Któregoś dnia idąc do pracy Liz kupiła, jak to miała już od dawna w zwyczaju, gazetę codzienną. Do pracy jechała autobusem dobre dwadzieścia minut. Było to akurat tyle czasu, by przejrzeć nagłówki i zorientować się, co się dzieje na świecie. Czasem starczało też czasu, aby jeden lub dwa artykuły przeczytać od deski do deski. Tym razem jednak na jednej z wewnętrznych stron rzucił jej się w oczy nagłówek: „Po sukcesach w kraju orkiestra Marco Carolliego wraca do domu”.

Liz złożyła starannie gazetę w ten sposób, aby móc wygodnie czytać. Artykuł był niedługi. Informował czytelników, że w czasie tournée, które trwało sześć tygodni, orkiestra zjeżdżała niemal cały kraj, wystąpiła w piętnastu miejscowościach i wszędzie otrzymała entuzjastyczne recenzje. Po tygodniowej przerwie przeznaczonej na odpoczynek orkiestra wystąpi w macierzystej filharmonii z ambitnym programem złożonym z utworów Beethovena i Albiniego. „Jutro powitamy ten niezwykle uzdolniony zespół w naszym mieście. Pozostaje złożyć mu gratulacje i życzyć równie udanego jak tournée sezonu” - kończył się artykuł.

Liz poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. A więc Dominik jutro wraca. I co dalej? Wbrew optymistycznym przewidywaniom pani Alison oprócz trzech kartek nie otrzymała od niego żadnej wiadomości.

Następnego dnia po południu miała lekcję francuskiego. Pani Latour przepytowała ją z lekkiej powieści kryminalnej, której kilka rozdziałów kazała jej przeczytać, i skontrolowała, że Liz na pewno przeczytała, co było zadane, kazała jej samej „napisać” w skrócie powieść do końca. Liz musiała wymyślić rozwiązanie poznanej w książce intrygi kryminalnej i przekonywująco umotywić, kto i dlaczego popełnił morderstwo. Zadanie było nawet nietrudne - pani Latour przyzwyczała Liz do jeszcze bardziej karkołomnych pomysłów. Chodziło jej zresztą tylko o prawidłowe wysławianie się, a nie o odkrycie w uczennicy nowej Agaty Christie. Ale Liz zupełnie nie mogła się skupić, używała wyłącznie prostych słów, opowiadanie wypadło bardzo blado. Dwa razy przy tym źle użyła formy czasu przeszłego.

- Źle się pani czuje? - zapytała wreszcie z przyganą pani Latour.

- Bardzo - skłamała Liz. - Potwornie boli mnie głowa.

Pani Latour zaproponowała więc skrócenie lekcji - nadrobić miały innym razem. Liz skwapliwie skorzystała z propozycji. Do domu pojechała taksówką, co nigdy przedtem jej się nie zdarzyło. Ale tak bardzo się jej spieszyło! A nuż Dominik do niej dzwoni?

Dominik jednak tego wieczoru nie zadzwonił.

Liz nie mogła w nocy zasnąć. Tłumaczyła sobie, że przecież mógł jeszcze nie przyjechać. Skąd wiadomo, że przyjechali w ciągu dnia? Mogą równie dobrze przyjechać do miasta po północy. Ale tłumaczenia te nic nie pomogły. Nie zadzwonił, tłuło jej się po głowie, nie zadzwonił! Zapomniał o mnie! W ogóle mu na mnie nie zależy! I co teraz? Co teraz zrobić?

Następnego dnia była tak niespokojna, że zadzwoniła do Sama i przeprosiła go, że nie przyjdzie na kurs, bo jest chora. I całe popołudnie spędziła siedząc przy telefonie. Nie mogła czytać ani uczyć się, ani nawet oglądać telewizji.

Ale Dominik nie zadzwonił, Ani tego wieczoru, ani przez następne kilka dni.

Liz nie знаła numeru telefonu do Dominika - tak się jakoś złożyło. Oczywiście nie był to żaden problem, tak czy tak Liz mogła ten numer zdobyć - w informacji telefonicznej, od Marie, która ich poznała, czy w końcu od kierownictwa orkiestry. Jakiś sposób zawsze by się znalazł. Ale czy to ona powinna zrobić pierwszy krok? Obiecał pisać i obiecał zadzwonić po przyjeździe. Nie zrobił tego. Czy wobec tego nie byłoby to w jakiś sposób narzucaniem się z jej strony, gdyby ona zadzwoniła do niego? Gdyby musiała przyznać, że szukała jego numeru? Dominik nie miał wobec niej żadnych zobowiązań. Czy nie zniechęciłby się do niej, gdyby zaczął przypuszczać, że ona myśli inaczej? Nie, nie mogła zadzwonić do Dominika.

Po namyśle wybrała rozwiązanie najprostsze - kupiła bilet na pierwszy koncert orkiestry. Właściwie nie był to bilet, ale wejściówka na galerię - biletów już nie było. Widoczność z góry była kiepska, ale Liz mimo to od razu dostrzegła, że Dominika wśród wykonawców nie ma. Na jego miejscu siedziała wysoka, chuda pannica o prostych włosach topielicy. Liz poczuła się całkiem wytracona z równowagi. W czasie trwania pierwszej części koncertu nie słyszała ani jednej nuty. Myślała tylko o tym, co się mogło stać. Ale żadne sensowne wyjaśnienie nie przychodziło jej do głowy.

W czasie przerwy natychmiast pobiegła do pokoju orkiestry. Z uśmiechem podeszła do Marie.

- Dzień dobry. Co za wspaniały koncert - powiedziała wyciągając rękę do dziewczyny. - Nie mogłam się oprzeć, by nie przyjść z gratulacjami. Nie przypominasz mi sobie - uprzedziła pytanie Marie. - Jestem znajomą Pierra. Byliśmy tu u ciebie latem.

- Ach tak - przypomniała sobie Marie. - Dziękuję za gratulacje. Co słychać u was? Pierre dziś nie przyszedł?

- Niestety, wyjechał już do domu.

- O, szkoda. Był takim miłym kompanem.

- Istotnie - przyznała Liz z uśmiechem. - I wielkim wielbicielem waszej orkiestry. Czytałam recenzje z waszego tournée. Naprawdę serdecznie gratuluję. Robicie wielką karierę.

- Dziękuję - rozpromieniła się Marie. - Bardzo się staramy.

- Chciałam też dzisiaj pogratulować Dominikowi - rzuciła lekko Liz. - Ale nie widzę go.

- Ach, Dominik miał prawdziwego pecha. Mniej więcej w czwartym tygodniu tournée... A może w piątym? - zastanowiła się przez chwilę. - Ach, mniejsza z tym. Wyobraź sobie, że jedna z walizek w czasie jazdy spadła z półki i przygniotła mu lewą rękę.

- O Boże - przeraziła się Liz. - Złamał rękę? - złamana ręka to dla skrzypka koniec.

- Nie, nie, nie złamał. Nawet nie zwichnął - uspokoiła ją Marie - Ale palce miał tak potłuczone, że nie mógł już grać. Został z nami, bo miał nadzieję, że za kilka dni wszystko będzie dobrze. Ale nie było. I nawet dziś nie mógł z nami wystąpić.

- Czy to naprawdę nic poważnego? Długo nie wraca do formy...
- Istotnie. Ale palce muzyka... Dominik bardzo to przeżywa.
- Wyobrażam sobie.

Rozległ się dzwonek oznajmiający, że przerwa zbliża się do końca. Marie poprawiła włosy.

- Miło było spotkać się z tobą - powiedziała. Liz błyskawicznie podjęła decyzję.
- Znasz telefon Dominika?
- Oczywiście. Chcesz go pocieszyć?
- Myślę, że tego potrzebuje - odparła zgodnie z prawdą Liz.
- Masz rację - Marie otworzyła jedną z szafek stojących wokół pod ścianami, wyjęła torebkę, a z torebki notes, odszukała w spisie numer Dominika i podyktowała go Liz.
- Dziękuję. I życzę dalszych sukcesów - pożegnała ją Liz.

Na drugiej części koncertu Liz nie została. Wiedziała, że i tak nie ma to najmniejszego sensu. Nie miała głowy do muzyki. Ach, nie miała głowy do niczego prócz Dominika! Po przyjeździe do domu nie zastanawiała się ani chwili i nawet nie zdejmując płaszcza usiadła na krześle i nakręciła numer, który podała jej Marie. Kiedy w słuchawce odezwał się niski głos Dominika, przez chwilę nie mogła złapać oddechu.

- Dzień dobry. Liz Hartley - przedstawiła się. Mówienie przychodziło jej z trudem. - Byłam dziś na koncercie - przeszła od razu do sedna sprawy. - Marie powiedziała mi o twoim wypadku. Bardzo ci współczuję. Czy jeszcze ciągle bardzo cię boli?

- O, Liz - przez chwilę w słuchawce słychać było tylko jego oddech. - Dzień dobry. Cieszę się, że zadzwoniłaś.

Ja...

- Marie mówiła mi, że stłuczenie było poważne - przerwała mu szybko, nie chcąc, by się tłumaczył. - Rozumiem, co to dla ciebie znaczyło. Bardzo się zmartwiłam.

- Ja też - powiedział cicho. Głos jego zdradzał napięcie. - Nic gorszego nie mogło mi się przytrafić. Tournee było bardzo udane...

- Wiem, czytałam w gazecie. Naprawdę należą się wam gratulacje.

- Nie mnie - odezwał się z goryczą.

- Nie mów tak! Nie możesz być niesprawiedliwy wobec siebie. To nieuczciwe. W sukcesie całego zespołu masz prawie taki sam udział jak inni. Grałeś przecież z nimi prawie cztery tygodnie.

- Cztery i pół.

Uśmiechnęła się. Cztery i pół! Jak dziecko chwalił się swymi zasługami. Tak, nie myliła się. Bardzo potrzebował pocieszenia.

- No, sam widzisz - powiedziała. - I w dodatku w tym, co się stało, nie ma twojej winy, prawda? Pechowy przypadek. Każdemu mogło się zdarzyć.

- To prawda - w głosie jego było nieco odprężenia.

- A najważniejsze jest to, że ręka nie jest złamana.

- To prawda. Początkowo wszystko wskazywało na złamanie.

- Bardzo cię boli? - powtórzyła pytanie.

- Nie. Właściwie już nie - przyznał. - Ale palec wskazujący jest bardzo słaby. No i mam trudności z zaciśnięciem pięści.

- No cóż, musisz w takim razie unikać bójek - roześmiała się, choć nie przyszło jej to łatwo.

Dominik roześmiał się również.

- Och, Liz, jesteś niemożliwa.

- Jako dziecko miałam złamany palec u prawej ręki. Kiedy zdjęto mi gips, prawie dwa miesiące miałam rękę całkiem sztywną w nadgarstku, mimo że nadgarstek nie był przecież uszkodzony. A pięści nie mogłam zaciśnąć jeszcze dłużej. Nawet pióra nie mogłam utrzymać

w ręce. Potem jednak wszystko minęło absolutnie bez śladu. Myślę, że u ciebie to kwestia jeszcze paru dni. Czy robisz jakieś ćwiczenia?

- Oczywiście. Moczę rękę w płynie, który zapisał mi lekarz. A potem gram na pianinie.

- No proszę, a zatem nie marnujesz czasu. Może nie będziesz wyłącznie sławnym skrzypkiem, ale i pianistą.

W słuchawce znów zapanowało milczenie. Tym razem dłuższe.

- Nie wiem, czy w ogóle będę skrzypkiem - odezwał się w końcu głucho.

Acha, więc o to chodziło.

- Rozumiem - powiedziała. - Nie mogłeś pracować nad Vivaldim.

- Byłem już naprawdę dobry - rzekł ni to z żalem, ni to ze złością. - A teraz kilka tygodni przerwy!

- Czy rozmawiałeś jeszcze raz o twoim projekcie z Carrollim?

- Tak. W czasie tournée ciągle byliśmy wszyscy razem i miałem bardzo dużo okazji. A że odnosiliśmy sukcesy, był w bardzo dobrym nastroju. Wiesz, artyści muszą odnosić sukcesy, inaczej popadają w zwątpienie, które przynosi niemoc twórczą.

Tak, pomyślała Liz. Właśnie ty popadłeś teraz w zwątpienie. I nie chodzi o to, że stłukłeś sobie rękę i nie mogłeś dzielić radości zespołu w czasie tournée, nie chodzi o to, że masz słaby palec, bo dobrze wiesz, że to przejściowe, Chodzi ci o to, że nie możesz pracować nad Vivaldim, że odsuwa się twój debiut. A ty pragniesz sukcesu.

- I co ustaliliście? - zapytała.

- W zasadzie zgodził się ze mną, że gdybym był naprawdę dobry, lepiej żebym grał Vivaldiego. Lepszy sukces z Vivaldim niż mierny sukces z Brahmssem. Carrolli prawdę mówiąc zasięgnął już języka u pewnego producenta płyt. Tamten powiedział mu, że jest teraz moda na Vivaldiego i że chętnie nagrałby płytę z nami, gdybyśmy dobrze zagraли. To oczywiście nie było bez znaczenia dla Carrolliego. Płyty są dla kariery dyrygenta bardzo istotne.

- Kiedy zamierzałeś przedstawić mu swoje wykonanie?

- W początku listopada. Gdyby dobrze poszło, moglibyśmy zagrać Vivaldiego na koncercie w dzień Bożego Narodzenia - w głosie Dominika znów była gorycz.

- No i zagracie w tym czasie - stanowczo powiedziała Liz.

- Ale ja...

- Jeszcze parę dni i zaczniesz ćwiczyć.

- To nic nie da. I tak nie zdążę.

- Zdążysz. Jeśli będzie to konieczne, przestaniesz brać udział w koncertach. Ta długowłosa rusalka może cię zastąpić?

- Brenda? - roześmiał się. - Tak, to prawda, z tymi rozpuszczonymi włosami wygląda naprawdę jak rusalka.

- No, nieco zbyt wymoczona w wodzie - nie mogła się powstrzymać Liz. Dominik nie powinien zwracać uwagi na żadne dziewczyny!

Dominik śmiał się całkiem rozbawiony.

- Jesteś groźnym sędzią, Liz.

- Dopiero zobaczysz, jaka ja jestem groźna, o ile dopuścisz do tego, że nie będę cię mogła posłuchać w Boże Narodzenie!

- Liz... To nie zależy ode mnie!

- To zależy tylko od ciebie!

I ja dopilnuję, żebyś nie zawiódł samego siebie, pomyślała.

- Ach, Dominiku - powiedziała z udanym ożywieniem. - A może zjadłbyś ze mną lunch w sobotę? Zmieniłam pracę i muszę to uczcić.

- Zmieniłaś pracę? Na lepszą? - zainteresował się. - To gratuluję ci. A gdzie teraz pracujesz?

- Opowiem ci w sobotę. Znajdziesz trochę czasu?
- Chętnie - powiedział to bez wahania.
- W „Trzech taktach”.
- Świetnie. O której?
- O dwunastej trzydzieści.
- Przyjdę z przyjemnością - przez chwilę milczał. - Liz...
- Słucham?
- Dziękuję ci za telefon. Wiesz... Byłem nie w formie...
- Rozumiem. To do zobaczenia w sobotę.
- Do zobaczenia.

Liz odłożyła słuchawkę z mieszanymi uczuciami. Przede wszystkim odczuwała ulgę. Więc nie chodziło oto, że o niej zapomniał. Nie, on po prostu nie pisał i nie dzwonił, bo czuł się załamany. Zmierzał do sukcesu i nagle niepowodzenie zdawało się przekreślać jego plany. To go pochłonęło bez reszty. Och, zapewne prędzej czy później zadzwoniłby do niej. Ale chodziło o to, że trzeba mu było pomóc. Jak najprędzej trzeba mu pomóc! Myśląc o tym odczuwała niepokój. Na ile jest załamany? Tak niewiele go znała! Owszem, już w czasie pierwszego spotkania zrobił na niej wrażenie człowieka pewnego siebie. Sam przecież powiedział jej z przekonaniem, że człowiek musi kształtować własny los. I taki zapewne był, stosował się do swego credo. Potrafił przecież przeciwstawić się ukochanej matce, gdy rozumiał, że to skrzypce, a nie fortepian są jego przeznaczeniem. A jednak... Był artystą. A artyści są zwykle nadwrażliwi.

Liz przypomniała sobie wszystkie biografie muzyków, które przeczytała w ostatnim czasie, biografie kompozytorów i wielkich wykonawców. Jakże łatwo się załamywali, jak silnie przeżywali niepowodzenia. Artyści to szczególnie ludzie. Czy ona będzie w stanie pomóc Dominikowi?

- Muszę mu pomóc - powiedziała głośno - Nie zniosę, aby był nieszczęśliwy.

I pomyślała, że nieważne nawet, czy go zdobędzie, To, kim dzisiaj była, zawdzięczała tylko jemu, choć on o tym nie wiedział. I miała moralny obowiązek mu się odwdziżyć.

Tak jak lato było bardzo piękne tego roku, tak jesień była wprost obrzydliwa. Padało bez końca, po prostu lało dzień i noc. Liz musiała, sobie w końcu kupić kalosze, ładne niewysokie kalosze na niewielkim obcasie w granatowym kolorze. Chodziła w nich do pracy i tam dopiero przebierała się w normalne pantofle.

Z pracy z każdym dniem była bardziej zadowolona. A i z niej, jak widziała, także byli w firmie zadowoleni. Gragg przez pierwsze kilka tygodni formalnie patrzył jej na ręce. A potem przestał. I Liz wiedziała, że zdała egzamin.

W końcu października kurs komputerowy dobiegł końca. Sam w dniu jego zakończenia publicznie powiedział, że Liz była po prostu najlepsza. Liz o mało się nie popłakała w owej chwili. I pomyślała, że warto było sobie zadać tyle trudu, aby potem przeżyć taką piękną chwilę.

- Liz - powiedział jej na pożegnanie Sam Colding. - Gragg za jakieś pół roku awansuje. Wiem skądinąd, że szefowie są z niego zadowoleni. Przykładaj się do pracy, dziewczyno. Masz bardzo dobrą opinię. I są szansę, że jeśli tak dalej pójdzie, zostaniesz następczynią Gragga.

Liz stała jak wryta i patrzyła na Sama bez słowa.

- Zapewniam cię - roześmiał się. - Jest taka szansa.

- Co ty mówisz, Sam - wyjąkała wreszcie Liz.

- To, co słyszysz. Dokładnie. Gdybyś była mężczyzną, powiedziałbym, że masz osiemdziesiąt procent szans. No, ale nie jesteś... Mimo wszystko wierzę w ciebie. I pamiętaj, jak awansujesz, mam u ciebie butelkę najlepszej whisky.

- Butelkę? - roześmiała się Liz. - Skrzynkę, Sam, skrzynkę!

Prawdę mówiąc nie dowierzała jego słowom. Była nowym pracownikiem. I była kobietą. Ale niedługo potem Gragg któregoś dnia wezwał ją do siebie i powiedział, że mimo, iż upłynęło tylko dwa miesiące jej pracy, okres próbny można uważać za zakończony. Podnoszą jej pensję. Wówczas doszła do wniosku, że Sam może mieć rację.

Liz po namyśle postanowiła zaryzykować i kupić sobie samochód. Długo chodzili z Dominikiem na parkingi, gdzie stały używane samochody i szukali okazji. W końcu Liz zdecydowała się na małego renaulta, szarego, w bardzo dobrym stanie. Cena rozłożona była na sześć rat i Liz obliczyła, że z trudnością wprawdzie - ale będzie sobie mogła pozwolić na niego. Dominik oferował się, że pożyczycy jej pieniędzy, by mogła zapłacić od ręki, bo wypadłoby to taniej, ale Liz zdecydowanie odrzuciła jego ofertę.

- Ja po prostu nie mogę, Dominiku - wyjaśniała mu, kiedy zobaczyła, że się dąsa. - I nie chodzi tu o żadne takie uprzedzenia, że jesteś mężczyzną, a ja kobietą, czy coś w tym rodzaju. Że nie powinno się przyjmować pieniędzy od mężczyzn...

- Właśnie - przerwał jej. - Sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Jesteśmy, Dominiku - powiedziała czując miłe ciepło koło serca. - Ale chodzi o coś całkiem innego. Ja chcę sobie sama kupić ten samochód, rozumiesz? Sama.

Na szczęście Dominik zrozumiał to.

Kiedy kurs się skończył i kiedy Liz kupiła samochód, miała bardzo dużo czasu dla Dominika. Po południu chodziła trzy razy w tygodniu na lekcje francuskiego, a do czytelnicy całkiem przestała chodzić - książki brała do domu, a gazety kupowała, bo stać ją było na to. Czytała bardzo dużo - czytanie stało się jej namiętnością. Ale najważniejszy był Dominik.

Jak słusznie przewidywała, dłoń Dominika stała się całkiem sprawna w niedługim czasie. Ale, jak oceniła Liz, jego dusza nie była sprawna.

- Ach, Liz, nie zagram w grudniu Vivaldiego - rzekł jej już w czasie owego pierwszego lunchu, który zjedli razem po jego powrocie z tournée. - Byłem naprawdę dobry... Ale daleko mi było do tej wirtuozerii, jakiej po sobie oczekiwałem. A teraz... Miałem zbyt długą przerwę. No i nie wiadomo, co będzie z moją ręką... Nawet do ciebie nie miałem odwagi napisać, że wszystko poszło tak marnie - przyznał się, choć go o to nie pytała. - Obiecałem ci, że zagram... Czuję, że cię zawiodłem...

Nigdy mnie nie zawiedziesz, pomyślała Liz. Bo ja chcę tylko ciebie, nie twoich sukcesów. Twój Vivaldi nie jest mi do niczego potrzebny. Ale skoro ty go potrzebujesz, będziesz go miał!

I odtąd cały czas mówiła o koncercie grudniowym jak o czymś oczywistym. I Dominik zaczął wreszcie na powrót ćwiczyć. W październiku zrezygnował - za zgodą dyrygenta - z pracy w orkiestrze. Mało wychodził, aż w końcu Liz musiała niemal siłą wyciągać go na świeże powietrze. Najczęściej jeździli wówczas za miasto i spacerowali po polach albo po lesie. Jednak nie zdarzało się to tak często, jakby Liz sobie tego życzyła. W momencie, kiedy Dominik wierzył, że jego szansę nie są całkiem stracone, żył ogarnięty tylko jedną obsesją - ćwiczeniami. Liz przeżywała wszystkie jego wzloty i upadki. Zdarzało się, że dzwonił do niej o szóstej rano, by powiedzieć, że gra już godzinę i wspaniale mu idzie. Innym razem dzwonił w środku nocy, że nic z tego nie będzie, bo jest do niczego. Ale Liz była niewzruszona jak skała. Nie pozwalała mu się rozklejać, tylko zachęcała go do pracy.

Także podczas spacerów nie rozmawiali prawie o niczym innym, tylko o utworze. Dominik analizował każdą nutę. A w przeddzień przesłuchania u Carolliego był w bardzo złym nastroju. Siedział na pniu zwalonego drzewa i milczał ponuro.

Liz przysiadła przy nim i objęła go ramieniem.

- Dominiku - powiedziała łagodnie. - Wiesz przecież, że jesteś bardzo dobry. Carolli musiałby być szalony, gdyby zrezygnował z tego koncertu.

Dominik odwrócił się i położył głowę na jej ramieniu.
- Jestem zmęczony - powiedział.
Liz pogłaskała go jak dziecko po głowie.
- Widzę to. Ale można powiedzieć - roześmiała się cicho - że masz prawo do tego zmęczenia. Musisz się teraz dobrze wyspać.
- Nie ma mowy, żebym zasnął - poruszył się niespokojnie. Liz pocałowała go w czoło.
- Weźmiesz proszek nasenny, jeśli będzie trzeba - powiedziała.
Dominik podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy. Jak zwykle jego spojrzenie, nieprawdopodobnie intensywny błękit jego tęczywek zbił ją całkiem z tropu.
- Nie potrzebuję środka nasennego, Liz.
Poczuła nagłą suchość w gardle.
- A czego? - wyszeptwała.
- Potrzebuję ciebie.
Pochylił się i pocałował ją. Tym razem pocałunek jego był gwałtowny. W obu dłoniach trzymał jej odchyloną do tyłu głowę i całował z namiętnością, na którą od dawna czekała. Liz zatraciła się w tym pocałunku. Jej całe ciało drżało.
- Pojedziesz do mnie? - zapytał cicho.
Patrzyła w jego oczy, czuła jego ręce na swoich ramionach. I cały czas drżała. Jak listek na wietrze. Ale jak listek, pragnący, by wiatr porwał go i unióśł ze sobą.
- Tak - powiedziała.

Kiedy się obudziła, było jeszcze bardzo wcześnie. Zastłony nie były zaciągnięte, bo w pośpiechu oboje o tym zapomnieli. W pokoju panowały ciemności, ale niebo widoczne przez okno miało już jasny odcień, znak zbliżającego się świtu.

Dominik spał jeszcze. Spał spokojnie, głęboko, jak dziecko. Liz widziała jego nagie plecy i zarys policzka. Powoli, delikatnie, by go nie zbudzić, naciągnęła pled na jego ramiona. W pokoju było chłodno, on leżał prawie całkiem odkryty, bez poduszki pod głową... Liz także nie miała poduszki. Prawdę mówiąc łóżko wyglądało jak pobojuwisko.

Poczuła, jak rumieniec wpływa na jej policzki. Ach, to, co ją porwało, to nie był wiatr, to był prawdziwy wichur! Pierre był miłym chłopcem i dobrym kochankiem, Liz zawsze będzie go pamiętać. Ale Pierra nigdy nie kochała. Podobał jej się, bardzo jej się podobał. I bardzo go lubiła. Ale to nie była miłość. I nie mogła nawet porównać tego, co odczuwała kochając się z nim, z tym, co przeżyła dzisiejszej nocy. Wichur? Dobry Boże, nie! Burza, sztorm, nawałnica... Każde dotknięcie Dominika przenosiło ją w inny świat i nigdy nie czuła tak absolutnego oddania. Jego wargi były jak płomień. Ach, nie było nikogo i niczego, tylko on i ona. Kiedy zsunął z niej bieliznę i przytuliła się do jego nagiego ciała, wydało jej się, że cały świat eksplodował nagle i nikt na nim nie pozostał prócz nich dwojga. A przecież był to zaledwie początek.

- Kocham cię - powiedziała cicho. I przestraszyła się nie na żarty. Ale Dominik spał oddychając równo.

Pozwolę mu spać jeszcze godzinę, pomyślała z czułością. Potem musi wstać i stawić czoła Carolliemu.

Carolli po przesłuchaniu Dominika był pełen entuzjazmu. I Liz od razu wiedziała, że całe przedsięwzięcie zakończy się sukcesem. Dominik, choć uszczęśliwiony, miewał bardzo różnorakie nastroje. Raz pewien był, że wszystko będzie dobrze, innym razem przekonany był, że spotka go porażka. Prawdę mówiąc, był to dla Liz ciężki okres. Właściwie mieszkała cały czas u Dominika, gotowała mu, pilnowała, by ćwiczył, i znosiła jego humory. Była nieustannie niewyspana - ale o to akurat nie miała pretensji do Dominika, wręcz odwrotnie - i

w pracy musiała pracować z jeszcze większym skupieniem niż zwykle, by nie popełnić błędu. Na szczęście miała zdrowy, silny organizm i dawała sobie radę.

Mniej więcej tydzień przed koncertem Carolli dostał grypy. Był naprawdę chory, miał gorączkę i okropny katar. Dominik całkiem stracił głowę.

- No widzisz - mówił. - Sama widzisz. Wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Od początku prześladował mnie pech. A afisze już są rozlepione. Powiadomiłem mojego ojca. Ma akurat otwarcie galerii na Nowy Rok, ale obiecał przyjechać. A teraz co? Kompromitacja!

- Carolli jeszcze żyje, Dominiku - rzekła sarkastycznie Liz. - To mocny mężczyzna i jeszcze młody. Weźmie trochę leków i za parę dni stanie na nogi.

- A próby?

- Macie dosyć prób. W końcu wszyscy zwariujecie, jak będziecie całymi dniami siedzieć razem, patrzeć na siebie i grać sto razy od początku ten sam fragment.

- Ale tak musi być! Chodzi o perfekcyjne wykonanie!

- Ono już jest perfekcyjne. Może być tylko gorsze, nie lepsze. Właściwie należy się cieszyć, że Carolli zachorował. Przynajmniej wszyscy odpoczniecie.

- Ależ co ty mówisz!

- No, przynajmniej ty potrzebujesz odpoczynku - nie ustępowała Liz.

Oczywiście żywiła obawy, że Carolli nie wyzdrowieje na czas. Grypa to grypa. Po grypie lubiły przyplątać się rozmaite komplikacje. A Carolli wcale nie był krzepki. Był drobnym, szczupłym Włochem o ascetycznym wyglądzie. Liz wierzyła jednak w jego siłę woli. Wiedziała już, że ta czyni cuda. A przecież ten koncert był równie ważny dla Carollego jak dla Dominika.

Okazało się, że się nie pomyliła. Na dwa dni przed koncertem Carolli znowu zebrał zespół na próbie. Liz poszła na nią z ciekawości. Siedziała w łoży na piętrze, cichutko jak myszka, bo dyrygent w zasadzie nie tolerował obcych na próbie. I uznała, że wszystko wypadło jak najlepiej.

Nadszedł wreszcie dzień koncertu. Liz denerwowała się podwójnie. Miała dziś poznać ojca Dominika, owego osławionego marchanda, człowieka bogatego i wpływowego. Bardzo chciała mu się spodobać.

Na koncert, który miał być wielką galą z udziałem władz miasta, sprawiła sobie ciemną, lśniąca suknię w srebrzystym odcieniu, dopasowaną, trzymającą się na ramionach na dwóch cieniutkich paseczkach. Suknia była całkiem prosta, ale kiedy Liz się poruszała, materiał opinający jej ciało migotał jak srebrny płomień.

Dominik aż gwizdnął lekko, kiedy ją zobaczył.

- Liz, czy zamierzasz uwieść mojego staruszka? - zapytał z udaną groźbą.

- Oczywiście - wzruszyła lekko ramionami. - Po pierwsze każda dziewczyna chce poślubić milionera, a poza tym starsi panowie są stateczni, czego nie można powiedzieć o niektórych tu obecnych!

- Ostrzegam cię, że zazdrość może popchnąć mnie do najgorszego! Jeszcze mnie nie znasz! - objął ją i pocałował w policzek. - Wyglądasz pięknie, Liz!

Liz uśmiechnęła się uszczęśliwiona. Makijaż zrobiła sobie bardzo starannie, a Lili uczesała ją w kok. Tak, sama widziała, że wygląda nienajgorzej.

Przed samym koncertem przyniesiono telegram, że ojciec Dominika spóźni się, bo zatrzymują go sprawy związane z galerią. Dominik był bardzo rozczarowany.

A potem wszystko poszło tak, jak tylko można było sobie wymarzyć. Liz siedziała z boku w piątym rzędzie - było to najlepsze miejsce dla gości spoza listy honorowej, jakie można było zdobyć - patrzyła na scenę, gdzie jej Dominik - naprawdę jej Dominik - stał obok dyrygenta i lekko, śpiewnie, bezbłędnie technicznie grał Vivaldiego. Jego jasna głowa lśniła w świetle niczym szczere złoto. Miał na sobie frak i wyglądał tak jak wtedy, gdy Liz

zobaczyła go po raz pierwszy. A ileż od tego czasu się wydarzyło! To wprost nie do wiary, jak wiele!

Kiedy utwór się skończył, owacjom nie było końca. Dominik przez ten jeden wieczór stał się niewątpliwie gwiazdą! Gdy Liz pobiegła do pokoju orkiestry, nie mogła się wprost do niego docisnąć! Stała z daleka i czuła, jak wzruszenie ściska jej gardło. Wreszcie goście odplynęli niczym wielka fala, potem wyszli także członkowie orkiestry - w drugiej części koncertu były w planie drobne utwory siedemnastowiecznych mistrzów. Dominik nie grał w tej części. Jego miejsce wśród skrzypków zajęła długowłosa rusałka.

Dominik był zmęczony, na twarzy miał rumieniec. Ale w jego niebieskich oczach malowało się uszczęśliwienie.

- Dominiku - powiedziała cicho Liz.

Teraz dopiero ją zauważył. Podeszedł do niej szybko i wziął ją w ramiona. - Liz!

- Byłeś wspaniały!

- Nie. To ty byłaś wspaniała! Czy sądzisz, że nie rozumiem, że bez ciebie nic by mi się nie udało?

- Ależ...

Pochylił się i pocałował ją.

- Wiem, co mówię, Liz - ciągnął. - To ty natchnęłaś mnie swoją siłą. Uwierzyłem, że wszystko będzie możliwe. A potem cały czas stałaś przy mnie i podtrzymywałaś mnie na duchu. Ach, Liz, tylko tobie to zawdzięczam!

W tej chwili cicho uchylły się drzwi.

- Czy można? - zapytał miły, męski głos. W progu stał wysoki, przystojny, starszy pan, bardzo podobny do Dominika.

- Tato - zawołał Dominik.

- Gratuluję ci, synku. Spóźniłem się na pierwszą część, ale na drugą wpuszczono mnie na galerię. Byłeś znakomity. Jestem z ciebie bardzo dumny.

- Dziękuję, tato - twarz Dominika rozjaśniła się.

- Hm - chrząknął pan Fogarty. - Czy nie przedstawiś mnie tej młodej damie?

Dominik uśmiechnął się i otoczył Liz ramieniem.

- Ta młoda dama to twoja przyszła synowa, tato. O ile mnie, naturalne, zechce - powiedział.

Pan Fogarty spojrział na Liz uważnie i uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Nie śmiałem nawet marzyć o piękniejszej synowej - rzekł z galanterią. .

A Liz podając mu dłoń uśmiechnęła się do niego przez łzy. Tak, była młodą damą, była piękna i na pewno zostanie jego synową.